GÓRNY O ATAKU NA JASNĄ GÓRĘ:
PRÓBUJĄ UDERZYĆ W SERCE POLSKIEGO KATOLICYZMU



RUCH KUKIZ'15 WALCZY O ŻYCIE
CZY LIDER SIĘ OBUDZI?



CZAPUTOWICZ O KULISACH ROZMÓW Z ŁAWROWEM



DODATEK
SUKCESY II RP – SPORT

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 25 (343) 2019
24–30 czerwca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



TAK UMIERA KOD

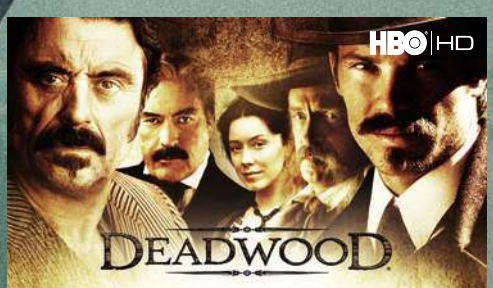
TYLKO U NAS

RUCH, KTÓRY GROMADZIŁ DZIESIĄTKI TYSIĘCY, DZIŚ JEST CIENIEM DAWNEJ POTĘGI. KOLEJNY LIDER ZREZYGNOWAŁ, AKTYWIŚCI SIĘ ROZPIERZCHLI. TO SYMBOL KLĘSKI CAŁEGO OBOZU III RP.
CO POSZŁO NIE TAK?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269908 25

CYFROWY POLSAT

CZARNOBYL
HBO HD HBO GO







Najlepsze filmy, seriale i sport na start
3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Oferta dostępna również w telewizji kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. PGE Ekstraliga w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „Deadwood" © 2016 Home Box Office, Inc. „Wielkie kłamstewka" © Home Box Office, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Po co opozycji Westerplatte?

Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz cyklicznie brutalnie atakuje obóz rządzący za próbę godnego wreszcie upamiętnienia świętego dla Polaków miejsca, jakim jest Westerplatte. W ostatniej wypowiedzi przywołała nawet „mroczne czasy stalinizmu".

Zdziera w tej sprawie gardło cała opozycja. A ja się zastanawiam, po co im właściwie Westerplatte?

Czyż wulgarnych często marszów homoseksualistów nie da się już organizować w tak umęczonej nimi stolicy?

Czyż nawet miasto Częstochowa, z której wychodzą ataki tych grup na Jasną Górę, nie wystarcza?

Czy w którejś z fundacji George'a Sorosa nie da się już organizować paneli o tym, jakim to obciążeniem i kamieniem u szyi jest polskość?

Czy za mało mają łamów na publikację antyreligijnych tyrad? A uniwersytetów na wykłady porównujące księży do świń taplających się w błocie?

Czy Jan Tomasz Gross nie ma dość grantów na książki stwarzające wrażenie, iż Polacy, bohaterski naród ofiar, był narodem sprawców zbrodni (w rzeczywistości niemieckich)?

Czy skończyło się już miejsce w ratuszu na debaty o konieczności rozbicia Polski na księstwa?

Czy haniebne „rondo Wolnego Miasta Gdańska", podkreślające tę niepolską i wrogą Rzeczypospolitej tradycję, nie może być punktem startowym dowolnych obchodów?

Czy na gdańskich tramwajach nie ma już miejsca na czczenie niemieckich działaczy?

Czy zastępcy samej Dulkiewicz nie mają już miejskich chodników, by wygłaszać przemówienia sugerujące odpowiedzialność Polski za wybuch II wojny światowej?

Itp. Itd.

Teraz nagle Polska i jej historia, polskość i cena krwi, jaką za nią płaciły pokolenia, są im tak potrzebne? Do czego? Obawiam się, że do nałożenia na to własnych znaczeń, niemających związku z prawdą historyczną. Mieli trzy dekady, by zająć się tym świętym miejscem. Jak strasznie ono dziś wygląda, opisał na naszych łamach kilka tygodni temu Andrzej Rafał Potocki: śmieci w bunkrach, niszczejące zabytki, żenujący poziom opowieści o historii miejsca. I trafnie spuentował: Gdańsk jest niegodny, by władać Westerplatte.

Potocki sugeruje, że w tle jest też gra polityczna. W mieście mówi się, że na 1 września planowano wielką fetę, na której władze miasta, tym razem z udziałem Donalda Tuska, kolejny raz obiecałyby budowę muzeum. I biznes – bo resztę gruntów oddano by deweloperom.

Niedoczekanie. Im szybciej rząd przejmie specustawą ten teren, tym lepiej. A władze Gdańska powinny zaprzestać gierek i ze wstydu zapaść się pod ziemię.

Michał Karnowski



SIECI

spis treści



24 *Nadlatują F-35*
Konrad Kołodziejski



61--72 Sukcesy XX-lecia międzywojennego
dodatek historyczny



97--112 II Forum Wizja Rozwoju w Gdyni
dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 GRA W KLIPY
Krzysztof Feusette

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 NASZE TAŁATAJSTWO GRYMASI
Jan Pietrzak

13 NAUKI Z EGZOTYCZNYCH WOJAŻY
Bronisław Wildstein

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 WSPÓŁCZESNA KOMUNA
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY
Dorota Łosiewicz

17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

18 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 I PO KOD-ZIE
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

24 NADLATUJĄ F-35
Konrad Kołodziejski

28 Z JACKIEM CZAPUTOWICZEM
rozmawia Jacek Karnowski

34 KUKIZ NA ROZSTAJU DRÓG
Marcin Fijołek

36 METODA TUSKA
Stanisław Janecki

40 WOJNA O DUSZE, WOJNA O UMYSŁY
Grzegorz Górny

44 Z EUGENIUSZEM KŁOPOTKIEM
rozmawia Marcin Fijołek

50 Z JACKIEM SARYUSZEM-WOLSKIM
rozmawia Edyta Hołdyńska

54 B JAK BOJARSKA (ANNA)
Hanna Karp

56 Z DR. WOJCIECHEM KOZŁOWSKIM
rozmawia Marcin Wikło

58 DOBRY OJCIEC, CZYLI JAKI?
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

73 LUC I ZABÓJCZE MUZY
Jolanta Gajda-Zadworna

76 OPERA BAROKOWA O POLSCE WYDARZENIEM W MOSKWIE
Adam Ciesielski

77 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

78 PLEJADA GWIAZD W OPOLU
Jolanta Gajda-Zadworna

80 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

82 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

OPINIE

86 NAJWIĘCEJ CZYTAJĄ MŁODZI
rozmowa Aleksandry Jakubowskiej

ŚWIAT

90 TRZEJ PANOWIE W KISZYNIOWIE
Jan Rokita

94 OCHRONA PRZYRODY PO TRUPACH
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

113 GAZOWA OPCJA NUKLEARNA ROSJI WOBEC UKRAINY
Marek Budzisz

NATURA DLA LUDZI

116 POWIEW LEŚNEJ WILGOCI
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

118 MOJE SMAKI: ALEKSANDRA KLONOWSKA-SZAŁEK
Jolanta Gajda-Zadworna

119 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 POLSKI PROGRAM NARODOWY
Wojciech Reszczyński

122 FELIETONY
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 PREZYDENT W DURSZLAKU
Aleksander Nalaskowski

125 TRZEJ TENORZY
Wiktor Świetlik

126 KIERUNEK – CMENTARZ!
Jan Pospieszalski

127 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 PRZYPADKI KONRADA M.
Ryszard Makowski

129 MUZYKA PORANNA
Leszek Długosz

130 STYK PŁYT TEKTONICZNYCH
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

partner działu gospodarka

Bank Pekao

4/0319/F | 21/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6


PGE
Zapewniamy energię
Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
Dbamy o to, aby pod Twoim dachem nigdy
nie zabrakło dobrej energii.
Jesteśmy przy Tobie.
www.gkpge.pl



Sygnalista nadaje

Tegoroczne Opole to był wyraźny przedsmak tego, jak może wyglądać Polska w czasie kolejnej kadencji Prawa i Sprawiedliwości. Nikt nie grymasił, wszyscy grzecznie śpiewali i także komplementowali. Bo rzeczywiście był to solidnie „wypasiony" festiwal w starym dobrym stylu. Także artyści, którzy zgarnęli najważniejsze nagrody, czyli Anna Karwan i Marcin Sójka, mają w sobie dawno niewidzianą klasę. Piękno, prawda i dobro znów są na fali.

Jedyny poważniejszy numer wyciął w czasie koncertu muzyki alternatywnej Tomasz Lipiński. Wystąpił w tęczowej musze i powiedział ze sceny: „Ostatnio dużo się mówi o wolności, rocznicowo i nie tylko... Z nią jest jak z powietrzem. Póki jest, nie zauważamy go; kiedy zaczyna brakować, powolutku zaczynamy się dusić. Niektórzy mają maski tlenowe i wydaje im się, że są bezpieczni". Zgoda, tęczowi totalitaryści niczego ani nikogo nie oszczędzą, nic przed nimi nie chroni, chcą pełni władzy nad naszym życiem.

W Opolu zaśpiewał także ***Paweł Kukiz*** i było widać, że miejscowi go kochają. Wyborcy jednak coraz mniej. Wiarę w samodzielne przekroczenie progu traci także sam lider. Poszedłby chętnie z PiS, ale stawia jeden warunek: obietnicę wprowadzenia ordynacji mieszanej, czyli takiej, w której część posłów wybierana jest w okręgach większościowych. Cena w sumie do przyjęcia.

PSL z kolei dojrzewa do samodzielnego startu. Nie tylko dlatego, że kolejna randka z Platformą mogłaby się skończyć polityczną śmiercią i pełnym triumfem PiS na terenach wiejskich. Także dlatego, że partie żyją z pieniędzy za wyniki w wyborach parlamentarnych. Jeśli ludowcy pójdą w ramach jakiejś dużej koalicji, klucze do sejfu z całym urobkiem będzie trzymał ***Schetyna***. I może coś da, a może nie. Raczej nie.

Zdaniem Włodzimierza Czarzastego „Schetyna to mądry człowiek". Twierdzi, że kiedyś sądził inaczej, ale „teraz poznał go bliżej". W tym przypadku szeroki gest lidera PO, który ofiarował postkomunistom, kosztem swojej partii, aż pięć miejsc w Brukseli, przyniósł mu przynajmniej dobre słowo ze strony Czarzastego. Ale Schetyna powinien uważać: SLD zażąda teraz jeszcze więcej, a po jesiennych wyborach znów zmieni zdanie. Taka ich natura.

Czarzasty przekonuje w tym samym wywiadzie, że Koalicja Europejska była sukcesem: „Jeżeli ktoś ogłasza klęskę, mając 38 proc., to działa nieracjonalnie. W tym samym czasie pan Biedroń ogłasza niesłychany sukces z 6 proc.! Gdzie w tym wszystkim jest logika?". W szeregach opozycji jest więcej wewnętrznej zgody na kolejne cztery lata dla PiS, niż to publicznie przyznają.

Z kolei sam Schetyna ruszył na wieś. „Z mieszkańcami Kruszyna (gm. Włocławek) rozmawiamy o służbie zdrowia, szkołach i drogach. Chodzi nam wspólnie o Lepszą Polskę!" – ogłosił w mediach społecznościowych, prezentując zdjęcia, na których widać circa 20 osób. Należą się brawa za pracowitość, to jest z pewnością jakiś pomysł, choć pewnie nie na teraz, ale gdzieś tak na wybory w roku 2027.

18 czerwca 1949 r. urodził się śp. Lech Kaczyński. Obejmując urząd prezydenta 23 grudnia 2005 r., powiedział: „Zwracam się do was, Rodacy, abyście mimo wszystkich zawodów raz jeszcze uwierzyli. Mamy zmienić Polskę, ale bez Was jej nie zmienimy. A zmienić ją koniecznie trzeba". Dużo już w Polsce udało się zmienić, ale wciąż długa droga przed nami. Ważne, że wielu Polaków naprawdę uwierzyło. Ich nie można zawieść.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Opozycja wciąż szuka pomysłu na pokonanie PiS. Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej, teraz w klubie PO-KO, proponuje Polakom likwidację państwa polskiego: „Jestem zwolennikiem Rzeczypospolitej Europejskiej, czyli odejścia od państw narodowych. Taki kierunek musimy przyjąć”. Pomysł do przyjęcia pod jednym warunkiem: najpierw swoje państwo zwijają Niemcy i Francuzi, a dopiero później my.



Ryszard Petru proponuje z kolei podpatrywanie konkurencji. „Nauczymy się od PiS. Hasło »500 plus« ma dwa słowa. Każdy wie, o co chodzi” – zauważył jak zwykle inteligentnie. Ale z opozycją też nie jest źle, również ma swoje krótkie hasła, szeroko znane w całym kraju i powszechnie rozumiane. Przykładowo słynne: „Piniendzy nie ma i nie będzie” Jacka Rostowskiego. Sam Petru też parę przebojów wypromował.

W kampanii nie zawodzi także warszawska radna Agata Diduszko. Żona słynnego bohatera sejmowego „puczu” proponuje teraz akcję zdejmowania krzyży wiszących w szkołach. Przytomnie zauważa, że „ze zdejmowaniem krzyży jest problem”, ale nikt nie ma wątpliwości, że ona sama nie miałaby z tym problemu. Szkoda, że pomysłu nie podjęły władze PO, ale i tak jest nieźle. Czy można się dziwić, że w PiS marzą o jakiejś porządnej paradzie równości tuż przed wyborami?



Swoją cegiełkę postanowił dołożyć również Jan Tomasz Gross. Ogłosił, że „Polacy wybrali PiS nie (tylko?, przede wszystkim?) dlatego, że dostali 500+ czy dodatkową emeryturę, ale dlatego, że w większości są endekami”. W tej sytuacji opozycja ma tylko jedno wyjście: masowa reedukacja narodu. „Moim zdaniem jego [PiS] kamieniem węgielnym – tak jak i w przedwojennym wydaniu – jest antysemityzm. A to prowadzi do konkluzji, że aby z PiS wygrać wybory, trzeba będzie w Polsce przewalczyć antysemityzm przynajmniej w takiej mierze, by chociaż część endeckiej publiczności zmieniła poglądy” – twierdzi „historyk”. Niestety, nie wskazuje, czy należy korzystać z wzorców powojennych, czy tych bardziej współczesnych.



Skoro politycy opozycji nie mają pomysłu na wygraną, muszą liczyć na pomoc show-biznesu. Reżyser Patryk Vega zaprezentuje w czasie kampanii film „Polityka”. Zamierza ujawnić domniemane romanse („to dwa wątki homoseksualne i jeden heteroseksualny”), ale podkreśla, że jego film „nie skupia się na jednej partii, ale uderza w polityków w ogóle”. Dowcipniś.

Vega twierdzi, że mu grożono. „Przychodzili do mnie ludzie ze świata polityki i mówili, że muszę przesunąć premierę” – ogłasza, dodając: „Scenariusz na etapie produkcji został wykradziony. To nie jest domniemanie – to fakt. To, co mówi prezes Kaczyński, świadczy o tym, że albo mu ktoś ten scenariusz zreferował, albo sam go przeczytał”. Obce służby nie upilnowały?

Tymczasem wielu celebrytów nie śpi po nocach. I nie chodzi tylko o perspektywę kolejnej kadencji PiS, ale także o zapowiedź powołania komisji śledczej badającej przypadki pedofilii nie tylko w Kościele, lecz i w innych środowiskach. „Nawet nie wiecie, jak powszechne są w tym świecie zachowania, które polskie prawo uznaje za przestępstwa” – mówi nasz informator, dodając: „Tam naprawdę byłoby co badać”. Komunikat prezesa dotarł tam, gdzie miał dotrzeć.

Również minister rolnictwa zrozumiał, co się do niego mówi, i ocalił głowę. Chodzi o stado zdziczałych krów z Deszczna, które hasały sobie po Lubuskim niczym bawoły po afrykańskiej sawannie. Jan Krzysztof Ardanowski najpierw ogłosił, że jeżeli zwierzęta będą chore, to muszą być ubite, ale potem szybko zmienił zdanie i otoczył stado (dość kosztowną) opieką. Prezes PiS Jarosław Kaczyński postawił sprawę jasno: albo zwierzęta ocaleją, albo dymisja. W tym układzie minister rolnictwa musi mieć żelazne nerwy.

Żelazne nerwy musi mieć także Kazimierz Marcinkiewicz, który wziął udział w zawodach triathlonowych Ironman. Nie obyło się bez kłopotów. „Cieszę się w ogóle, że wystartowałem, bo moja stalkerka wymusiła na komorniku odebranie mi roweru w czasie zawodów. Ciśnienie od razu 200. Na szczęście startuję na nie swoim rowerze i mam w telefonie na to dowód” – pochwalił się były premier. Owa „stalkerka” to oczywiście Isabel, była żona. Marcinkiewicz jest dziś naprawdę cennym nosicielem wartości konserwatywnych. „Mam nadzieję że pana historia będzie przestrogą dla wszystkich facetów, którzy tak burzliwie przeżywają kryzys wieku średniego” – celnie napisał jeden z internautów, komentując wpis byłego premiera.

Marcinkiewicz jest też człowiekiem młodym duchem. Oto fragment jego relacji z zawodów: „Zostałem finiszerem, choć nie poprawiłem wyników zeszłorocznych. Pierwszy raz pływałem open water bez pianki. […] Z jeszcze większym zaangażowaniem wracam do treningów. Oj ile uśmiechniętych ludzi dziś spotkałem”. Gimnazja można zlikwidować, ale gimbaza tak szybko nie umrze.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

Gra w klipy



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dzień dobry ten kotlecik?
Słucham?
Kotlecik? Smaczny?
Jaki kotlecik?
No, ten na talerzyku.
To nie jest talerzyk.
A co?
Miseczka.
Ale kotlecik ładnie pachnie.
To nie jest kotlecik.
A co?
Kota trzeba spytać.
To kotka kotlecik? Stop! Przepraszam, ale ta kwestia jest bez sensu! Przecież ja nie mogę mówić, że to ładnie pachnie! Gdzie jest Smarzowski? A Sekielski?! Reżyserowie do mnie!

Witam serdecznie, jak państwo zapewne się domyślili, jesteśmy dziś z kamerami na planie klipu wyborczego pani premier Ewy Kopacz, która udała się w Polskę B w celu pozyskania elektoratu. Obserwujemy ujęcie pierwsze, podczas którego pani premier pragnie przypomnieć społeczeństwu swoje najgłośniejsze kampanie medialne, ale, jak sama mówi, na „jeszcze bardziej wesoło, niż były". Jest to realizacja najważniejszej doktryny wyborczej Donalda Tuska, który zalecał opozycji więcej uśmiechu po porażce wyborczej. Po słynnej, nieomal oscarowej scenie z kotlecikiem przeniesiemy się w realia przychodni, do której pani premier jeszcze jako minister zdrowia dzwoniła, by umówić się na wizytę do specjalisty. Po otrzymaniu odległego terminu bez bicia przyznała się, kim jest i jakim konkretnie resortem kieruje. Termin skrócono o wieczność, panią przy telefonie – być może o głowę. W wyborczym klipie wcieli się w nią Maja Ostaszewska. Oczywiście – na znak protestu przeciwko znęcaniu się nad zwierzętami w programie „Big Brother". A, nie, przepraszam, pani Maja wolała nie zabierać głosu w obronie kur w TVN. Skoro stacja uznała, że mają nie żyć, widocznie coś tam przeskrobały.

A teraz przenieśmy się na plan kolejnego klipu wyborczego, który od paru dni kręci znany polityczny wałach... Halo, panie mecenasie, czy się słyszymy? Halo... Aha, otrzymuję informację, że wszystko się zgadza, chociaż nie bardzo. To klip ma być kręcony na wałach, a nie wałach będzie kręcił klip, przepraszamy za tę drobną pomyłkę. Tu także, jak w przypadku pani premier, twórcom zależy na pokazaniu jeszcze bardziej ludzkiej twarzy lidera Platformy. I oto widzimy już zbliżającego się z drożdżówkami Grzegorza Schetynę, którego, jak pamiętamy, witał na terenach zalanych zupełnie trzeźwy przedstawiciel władzy lokalnej. Skąd wiadomo, że trzeźwy? Ludzie po alkoholu na ogół mówią prawdę, tymczasem on stwierdził, że Schetyna to... przyszły premier, cha, cha. Przepraszam, musimy ściszyć głos, bo nasz bohater jest już przygotowany do wiersza, którym spot ma się rozpoczynać...

Jedzie Grześ
Na wieś
Worek bułek niesie
A przez dziurkę...

Głos reżysera (Agnieszka Holland): *Stop! Panie Grzegorzu, czemu pan mruga, jak mówi: „przez dziurkę"?*
Nie mrugam.
No, jak pan nie mruga, jak mamy to nagrane...
To nie wiem. Może tak mi się mrugnęło.
I bardzo dobrze. Bo to było bardzo dobre. No, dobrze. Bardzo dobrze. Córeczko, odłóż tę kamerę, bo znowu coś popsujesz. Zostawiamy to. Niech pan to sobie, jak mówimy my, artyści czujący zaduch na zadupi, zafiksuje.
Ja i bez tego fiksuję.
To znaczy?
No, fiksum-dyrdum. Stresuję się. Nie lubię kamer, nie lubię wystąpień publicznych, nie lubię z prompterem, nie lubię bez promptera. Ja jestem tygrys zza kulis, rekin drugiego planu, szacher-macher incognito. I dlatego zrobimy to po mojemu. Przyjmujemy wyborczą porażkę na klapę, to znaczy na klatę, sam nie wiem, czemu ten Klata tak mi się z jakąś klapą kojarzy... Ale to właśnie pan Klapa, kurde, Klata powinien to reżyserować. Najpierw znajdziemy inny wierszyk, bo tamten sieje defetyzm. O, jest: „O Grzesiu kłamczuchu i jego cioci". Jakiej znowu „cioci"? Co to ma być? Nie dość, że oszust, to jeszcze tęczowy?

A my musimy kończyć już naszą relację z plenerów filmowych liderów Platformy Obywatelskiej. Owoce pracy reżyserów demokracji – z panem Patykiem W. Ego na czele – obejrzymy tradycyjnie przed samymi wyborami. Bo kino to najważniejsza ze sztuk, jak mawiał pewien komunista Władysław, ale nie Cimoszewicz ani nie Czarzasty. Za nasz przemysł filmowy wzięła się, jak widać, ekipa znacznie poważniejsza.

59/0419/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

MINSK 2019 2nd EUROPEAN GAMES

100 1919 2019
100 LAT POLSKIEGO KOMITETU OLIMPIJSKIEGO



Polski Komitet Olimpijski @pkol_pl

Maja Włoszczowska, brązowa medalistka I Igrzysk Europejskich Baku 2015

21 – 30.06.2019
II Igrzyska Europejskie Mińsk 2019

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji na II Igrzyska Europejskie Mińsk 2019

ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 74b7eeeab6

USA

Trump zawalczy o reelekcję



Donald Trump w miniony wtorek oficjalnie ogłosił rozpoczęcie swojej walki o reelekcję. Przed 20-tysięcznym tłumem w Amway Center w Orlando na Florydzie przypomniał swoje zwycięskie hasło: „Make America Great Again", i zaproponował nowe: „Keep America Great" (Niech Ameryka pozostanie wielka). Przy okazji pochwalił budowę muru na granicy z Meksykiem („Będzie piękny, mocniejszy, większy, bezpieczniejszy i tańszy"), podkreślił przyjaźń z Izraelem i ostrzegł, że każdy głos oddany na demokratów doprowadzi do zwycięstwa radykalnego socjalizmu, który zniszczy Amerykę. Nic nowego, można by rzec. Ale to nie do końca prawda. Trump, wyśmiewany na początku swojej prezydentury nie tylko przez demokratów, lecz także przez część republikanów, nie ma dziś żadnej poważnej konkurencji po prawej stronie. Republikańscy przeciwnicy Trumpa, tzw. Never Trumpers, pokładali ogromne nadzieje w Larrym Hoganie, gubernatorze Maryland, wielbicielu Reagana. Hogan nie zdecydował się jednak na rywalizację z Trumpem, mimo że przez całą wiosnę jeździł po kraju, zbierając poparcie partyjnej bazy.

Zdaniem amerykańskich mediów rezygnacja Hogana oznacza, że antytrumpowski obóz wśród republikanów jest dziś w rozsypce. Prezydentowi udało się przejąć kontrolę nad partią, bo okazał się popularny nie tylko wśród tzw. alternatywnej prawicy („alt-right"), lecz także u bardziej umiarkowanych wyborców popierających niegdyś George'a W. Busha i Ronalda Reagana. Ma za sobą partyjną bazę, a żaden polityk republikanów, który chce być ponownie wybrany na kongresmena czy senatora, nie odważy się wejść z nią w konflikt.

Były gubernator Massachussets Willliam Weld zamierza wprawdzie wystartować w prawyborach przeciwko Trumpowi, ale jest to jedynie akt protestu bez jakiejkolwiek nadziei na zwycięstwo. Weld oskarżył Trumpa o nacjonalizm, a postawę własnej partii nazwał „milczeniem owiec". Prezydent wchodzi więc w kampanię o reelekcję z poparciem dawnych wewnątrzpartyjnych wrogów – senatora Lindseya Grahama, który w 2016 r. wsparł Teda Cruza i nazwał Trumpa „wariatem", a także senatorów Mitcha McConnella i Marca Rubio, przeciwników budowy muru na granicy z Meksykiem i likwidacji obamacare.

Jednak nikt nie jest bardziej zmartwiony upadkiem przeciwników Trumpa niż europejskie media. Niemiecki dziennik „Die Welt" stwierdził, że wśród republikanów „nie ma już nikogo, kto by sprzeciwiał się niszczeniu przez Trumpa demokracji i państwa prawa".

Aleksandra Rybińska

Fot. Tero Vesalainen/Shutterstock.com

Wielka Brytania

Politycznie poprawny terroryzm

Dziennikarze BBC mają nie używać słowa „terrorysta", aby nie stygmatyzować tych, którzy są „bojownikami o wolność". Brytyjski „Daily Mail" kilka dni temu zacytował źródło w BBC mówiące, że przy używaniu słowa „zamach" nie należy dodawać przymiotnika „terrorystyczny". „Ten, który dla jednych jest terrorystą, dla innych jest bojownikiem o wolność" – tłumaczy cytowana przez gazetę osoba z BBC.

Tak naprawdę to nie żadna nowość. Już w 2015 r. szef arabskiej edycji BBC Tarik Kafala uznał, że terrorysta to termin zbyt „naładowany znaczeniowo i wartościujący". Kafala wypowiedział te słowa po zamachach w Paryżu, wyjaśniając w „The Independent", że „staramy się unikać opisywania kogokolwiek jako terrorystę lub czynu jako terrorystyczny. To, co próbujemy zrobić, to mówić, że dwóch mężczyzn zabiło 12 osób w ataku na redakcję satyrycznego pisma. To wystarczy, wiemy, co to oznacza i co to jest".

Ówczesny poseł torysów Peter Bone powiedział, że ten rodzaj poprawności politycznej „nawet jak na standardy BBC jest czymś niesamowitym". Inny parlamentarzysta porównał wypowiedź Kafali do klimatu z „Roku 1984" Orwella opowiadającego o totalitarnym świecie, gdzie zmieniano znaczenie pojęć.

Wydawało się, że wypowiedź Kafali zostanie przemilczana przez BBC i inne politycznie poprawne media. Okazało się jednak, że rekordy głupoty istnieją po to, by je bić. BBC w przewodniku dotyczącym słownictwa, opublikowanym na swoich stronach internetowych, przekonuje, że wyeliminowanie słowa terrorysta wynika... z obiektywizmu. „Słowo terrorysta samo w sobie może być barierą, a nie pomocą w zrozumieniu. Musimy przekazywać naszym odbiorcom pełen opis zdarzenia. Powinniśmy używać słów, które opisują sprawcę jako bombera, napastnika, osobę uzbrojoną w broń palną, porywacza, rebelianta i bojownika. Nie powinniśmy adaptować języka innych ludzi jako swojego, naszą odpowiedzialnością jest pozostać obiektywnym i raportować tak, by nasza publiczność sama wyrabiała sobie zdanie, kto co komu robi" – czytamy w instrukcji obsługi politpoprawnego języka. Można tu też przeczytać, że BBC nie cenzuruje słowa „terrorysta" w ustach osób wypowiadających się w ich mediach. Jednak dziennikarze stacji powinni go unikać.

Cóż, może i terroryzm zniknie z BBC. Ale za cenę nasilenia terroryzmu politycznej poprawności.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Alexander Chizhenok/Shutterstock.com

Holandia

Rosjanie pomogli

Kierowany przez Holandię międzynarodowy zespół śledczy (JIT), zajmujący się ustaleniem okoliczności zestrzelenia malezyjskiego samolotu pasażerskiego nad Ukrainą w lipcu 2014 r., podał nazwiska czterech osób, którym zostaną postawione zarzuty doprowadzenia do katastrofy i morderstwa 298 pasażerów feralnego lotu MH17. Oskarżonymi są Igor Girkin (znany szerzej jako Striełkow), który pełnił w tym czasie funkcję „ministra obrony" separatystycznej tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, były oficer GRU Siergiej Dubinski ps. Chmurnyj, dowodzący wywiadem separatystów, oraz służący w tym wywiadzie były żołnierz rosyjskiego Specnazu Oleg Pułatow i Leonid Charczenko, jedyny w tym gronie Ukrainiec.

Śledczy zebrali dowody m.in. na podstawie analizy rozmów przeprowadzonych w 2014 r. pomiędzy przedstawicielami separatystów a wysoko postawionymi urzędnikami rosyjskimi. Zapisy tych rozmów zostały przechwycone przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy. Separatyści, wśród nich Girkin oraz ówczesny „premier" Donieckiej Republiki Ludowej Aleksander Borodaj (też Rosjanin), proszą o pomoc w walkach z Ukrainą. Wymieniają bardzo konkretne potrzeby, Girkin mówi np., że separatystom brakuje czołgów oraz artylerii przeciwpancernej i przeciwlotniczej. „I to wszystko musimy dostać wraz obsługą, bo sami jej nie zdążymy wyszkolić" – podkreśla. Jego rozmówcą jest gubernator aneksowanego Krymu Siergiej Aksjonow, który uspokaja, że decyzje w tej sprawie „już zapadły" i stworzono centrum koordynujące pomoc wojskową z Rosji. Z kolei Borodaj próbuje naciskać na Władisława Surkowa, kiedyś wpływowego ideologa Kremla, pełniącego funkcję doradcy prezydenta Putina. Surkow odpowiada Borodajowi, że problem jest „omawiany z towarzyszami" i oni obiecali już coś przedsięwziąć.

W trakcie tych rozmów przedstawiciele władz rosyjskich zgodzili się, że konieczne jest dostarczenie wojskowej pomocy rebeliantom. Wszystko też wskazuje na to, że w ramach tej pomocy na Ukrainę wjechała wyrzutnia Buk, z której zestrzelono malezyjskiego boeinga i prawdopodobnie była ona obsługiwana przez rosyjską załogę wojskową.

Na tej podstawie śledczy zarzucają oskarżonym, że uruchomili oni łańcuch zdarzeń, który zakończył się śmiercią 298 pasażerów malezyjskiego samolotu. Wobec podejrzanych wydano już międzynarodowe nakazy aresztowania. W procesie, który ma się zacząć przed holenderskim sądem w przyszłym roku, grozi im nawet dożywocie.

Nikt oczywiście nie wierzy w to, że ktokolwiek z oskarżonych stawi się przed holenderskim sądem. Ale wymiar polityczny sprawy jest znacznie szerszy. I obciąża bezpośrednio Kreml.

Konrad Kołodziejski

Wenezuela

Wojna magów

Od kilku miesięcy w Wenezueli trwa zacięta walka o władzę między dotychczasowym prezydentem Nicolásem Maduro a liderem opozycji Juanem Guaidó. Obaj antagoniści sięgają w niej nie tylko po środki polityczne, lecz także okultystyczne.

Maduro znany jest od dawna z zamiłowania do ezoteryki. W 2014 r. zasłynął głośnym przemówieniem z okazji 60. urodzin nieżyjącego poprzednika Hugo Cháveza. Oświadczył wówczas, że zmarły prezydent pojawił się u niego pod postacią małego ptaszka i oświadczył, że jest szczęśliwy i wzruszony lojalną postawą obywateli wobec swojego następcy.

Niedawno wenezuelski dziennikarz David Placer, mieszkający od 20 lat w Hiszpanii, opublikował książkę pt. „Dyktator i jego demony". Według niego Maduro od lat korzysta z magicznych usług kubańskich szamanów reprezentujących spirytystyczny kult zwany santerią. Ma też swojego osobistego czarownika, niejakiego Cirilo Enrique Rodulfa, mieszkającego na stałe w Miami, lecz przylatującego często do Caracas. W przeszłości polityk był również związany z sektą Sai Baby, którego odwiedził w 2005 r. w Indiach. W internecie krąży zdjęcie z tej wizyty, na której widać Maduro klęczącego u stóp hinduskiego guru. Adeptami tej samej sekty są także inni urzędnicy socjalistyczni reżimu w Wenezueli, m.in. owiany ponurą sławą szef więziennictwa Iris Varela.

Sam Hugo Chávez również parał się okultyzmem. Po objęciu urzędu prezydenta odbył rytualną kąpiel w wodospadzie u stóp świętej góry Sorte (centrum kultu marialioncera), zajmował się wróżeniem z tytoniu oraz korzystał z usług czarowników santerii i babalawos.

Osobistego wróżbitę i astrologa (o imieniu Dawid) ma też – według Placera – Juan Guaidó. Nietypowy „doradca życiowy" przekonuje lidera opozycji, iż jest człowiekiem wybranym przez niebiosa, by wyzwolić swą ojczyznę ze szponów zła. Zdaniem dziennikarza nie ma w tym nic dziwnego, skoro „od 1958 r. wszyscy prezydenci Wenezueli, z wyjątkiem Rafaela Caldery, byli adeptami czarów".

Grzegorz Górny

eprasa.pl 74b7eeeab6

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nasze tałatajstwo grymasi



Jan Pietrzak

Jeszcze prezydent Duda nie skończył wizyty w USA, a tu już nasze tałatajstwo grymasi, czepia się drobiazgów, wypatruje wpadki, lekceważy ważną deklarację, nie zwraca uwagi na niepoliczalny wymiar spotkania z prezydentem Trumpem. Nazwijmy to: wymiar życzliwości i sympatii...

Z jakim innym przywódcą światowym może nasz prezydent w tak bezpośredni, przyjazny sposób mówić o polskich sprawach i znajdować zrozumienie? Na pewno nie ze wschodnimi i zachodnimi, bliskimi sąsiadami. Pokazano w telewizorze znanego posła, który parokrotnie powtarzał, że przyjaciół trzeba mieć blisko, bo ci z daleka się nie przydadzą. Nasi najbliżsi sąsiedzi, panie Kłopotek, nazywają się Ribbentrop, Mołotow albo podobnie. Od stuleci mocno główkują, jak Polskę złupić, wyzyskać, okraść. Bardzo dobitnie na konferencji prasowej w Waszyngtonie prezydent Duda wyjaśniał, że Polacy nie mają nic przeciwko przyjaźni z Rosją, lecz druga strona życzy sobie dominacji, a nie przyjaźni. Władcy Kremla nie wygrzebali się jeszcze z RWPG i doktryny Breżniewa. Bardzo ich drażni dodatkowy tysiąc żołnierzy nad Wisłą, choć sami ustawiają tysiące rakiet wymierzonych w Polskę.

Tak się dziwnie porobiło, że sojuszników z Europy zagrożenie od wschodniej flanki nie interesuje, a prezydenta USA – owszem. I chwała Bogu! Korzystajmy z okazji, kiedy w Białym Domu mamy przyjazną postać. To rozumne i pożyteczne podejście. Natomiast anty-Polacy wszelkich maści, których każdy sukces Polski doprowadza do histerii i spazmów, wyczyniają jakieś łamańce, by pomniejszyć znaczenie zbliżenia Polski ze Stanami.

Były ambasador w USA (!) Schnepf przekonuje, że rosyjskie samoloty SU55 są lepsze od F35, bo tak mówili w radiu Sputnik. Ludowy Sawicki ma za złe, że prezydent nie zabrał z sobą walizki jabłek. Były minister, który rozgonił polską armię do domów, dziwi się, po co tyle wojska? Ktoś inny się złości, że Ameryka zarobi tu na gazie. „Ekolog" pyta, po co nam atomowa elektrownia, jak mamy wodę, wiatr i słońce? Itd. itp.

Można by tak długo cytować różne zasmarkane autorytety, zawsze marudne, chorobliwie skrzywione, szukające dziury w całym... A tymczasem na naszych oczach przyspiesza godna podziwu historia dzielnego narodu. To dobry czas dla Polski.



Kłamstwo bardziej błyszczy

*Z aktorką **Pauliną Walendziak** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Często słyszy pani, że wygląda jak z obrazu?

Paulina Walendziak: Spotkałam się z tym określeniem i na początku byłam zaskoczona. Od małego miałam kompleksy z powodu wyglądu. Niełatwo było mi uwierzyć, że specyficzna uroda może być atutem. Teraz się cieszę, gdy ktoś ją docenia. Myślę, że także trochę dzięki niej dostaję kolejne ciekawe aktorskie zadania.

Jak to najnowsze, zatytułowane „Ja teraz kłamię"?

W filmie Pawła Borowskiego zagrałam, po raz pierwszy, tak dużą kinową rolę. To było też niezwykle ciekawe doświadczenie planu. Zadawałam więc wiele pytań i jestem wdzięczna reżyserowi, że był gotowy na nie odpowiadać; że dał mi poczucie bezpieczeństwa przy budowaniu postaci Yvonne.

Dlaczego muzyczna gwiazdka Yvonne kłamie?

Bo musi się ukrywać, a ukrywa się, bo nie wierzy w prawdę. Otaczający ją świat jest już tak wypełniony różnego rodzaju gadżetami, że prawda przestała w nim być atrakcyjna i pociągająca. Kłamstwo lepiej pachnie, bardziej błyszczy, dlatego każdy celebryta, chcąc „przykleić się" do uszu i oczu odbiorcy, zaczyna „kreować" rzeczywistość. Bohaterowie filmu też to robią.

Jak się kłamie z Mają Ostaszewską, Agatą Buzek i Rafałem Maćkowiakiem?

Nie ukrywam, że byłam oszołomiona i zestresowana, czy będę potrafiła się odnaleźć w takim towarzystwie. Na szczęście reżyser umożliwił nam wiele prób. Mogliśmy się poznać i stworzyć na ekranie tyle prawdopodobnych wersji zdarzeń, by widz do końca – mam nadzieję – z uwagą śledził, kto i dlaczego tworzy własną prawdę.

Fot. Niemiec/AKPA

eprasa.pl 74b7eeeab6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nauki z egzotycznych wojaży



Kilka ostatnich dni spędziłem w Algierii, gdzie wraz z gośćmi z Czech i Węgier opowiadałem o wychodzeniu naszych krajów z komunizmu. Była to wspólna inicjatywa ambasadorów naszych krajów i przedstawicieli niezależnych organizacji Algierii. Ten największy kraj Afryki znalazł się dziś na rozdrożu. Ogromne manifestacje i strajki, które w kwietniu tego roku doprowadziły do dymisji prezydenta Abdelaziza Butefliki, trwają nadal. Rządzący obecnie pochodzą z tego samego obozu, co były prezydent. Wprawdzie, w celu uspokojenia ulicy, aresztują kolejnych jego ludzi i związanych z nimi biznesmenów, ale wybory, które mają przebiegać pod ich nadzorem, budzą wątpliwości. Algierczycy domagają się prawdziwej demokracji.

Buteflika, wybrany w kontrowersyjnych okolicznościach w 1999 r., po zdobyciu kolejnego mandatu doprowadził do likwidacji ograniczenia do dwóch kadencji trwania prezydentury, co wielu Algierczyków potraktowało jako zamach stanu, i rządził nadal. W kwietniu, pomimo narastających protestów, zatriumfował w kolejnych, piątych z rzędu wyborach, ale tym razem gigantyczne demonstacje – w samym Algierze osiągały one (według wielu przekraczały) milion uczestników – doprowadziły do jego rezygnacji. Pozostał system, który Buteflika personalizował w szczególny sposób.

Wieczorem, po konferencji, w luksusowym hotelu przy doskonałej kolacji i dobrym alkoholu – to kraj muzułmański, ale w miarę liberalny, w każdym razie w wyłączonych miejscach – rozmawiałem z przedstawicielami opozycji. Elokwentny i świetnie wykształcony ekonomista tłumaczył mi, że demokracja w Algierii jest na wyciągnięcie ręki. Jego argumenty potwierdziła informacja o aresztowaniu, za korupcję, premiera, który utracił swoje stanowisko ledwie dwa miesiące wcześniej. Rozmówca rozwiewał właśnie moje wątpliwości, co do możliwości przejęcia władzy przez armię, kiedy pojawiła się kolejna wiadomość o aresztowaniu tym razem najpoważniejszego, niezależnego kandydata w prezydenckich wyborach, byłego generała, który kilka lat wcześniej podał się do dymisji, gdyż nie chciał firmować skorumpowanych rządów Butefliki. Poruszony ekonomista oddalił się, rozmawiając podekscytowanym tonem przez telefon. Wcześniej tłumaczył mi, że wojsko nie będzie chciało wziąć odpowiedzialności za narastający kryzys gospodarczy, który musi doprowadzić do dewaluacji waluty i obniżenia poziomu życia Algierczyków. Na moją uwagę, że zwłaszcza w kwestiach władzy ludzie rzadko zachowują się racjonalnie, nie zdążył odpowiedzieć.

Nie piszę tego, aby wprowadzać czytelników w tajniki, skądinąd niezwykle ciekawej sytuacji, dla wielu jednak wyłącznie egzotycznego kraju. Chciałbym podzielić się refleksją na temat narodowej świadomości.

Algieria uzyskała niepodległość po krwawej walce w 1962 r. Od tego czasu jej mieszkańcy nigdy nie cieszyli się demokracją. Front Wyzwolenia Narodowego, który zorganizował antyfrancuskie powstanie w 1954 r., posługiwał się terrorem wymierzonym zwłaszcza w bardziej ugodowo nastawionych rodaków. Po wycofaniu się Francuzów wprowadził jednopartyjną dyktaturę. Próby demokratyzacji na początku lat 90. przyniosły sukces islamistom, interwencję armii i wojnę domową, która kosztowała 200 tys. ofiar. Model Butefliki to tylko konsekwencja monopartyjnego systemu, który musi prowadzić do korupcji, nepotyzmu i klanowości.

Algieria to bardzo bogaty w surowce kraj. Wielkie ilości gazu i ropy, ale także złota, uranu i licznych cennych pierwiastków otwierają przed nią ogromne możliwości. Dziś znajduje się na skraju kryzysu i okazuje się, że przez dłuższy czas żyła na kredyt. Jak na warunki afrykańskie dzieje się Algierczykom dobrze, ale nie jest to poziom Europy. Władze kupowały spokój społeczny. Obecnie rezerwy walutowe wyczerpują się i trzeba będzie zacisnąć pasa. Można mieć pewność, że gdyby Algieria pozostawała francuskim departamentem, funkcjonowałaby lepiej. Ale prawie nikt z jej mieszkańców nie tylko nie chce, lecz wręcz nie wyobraża sobie tego. Narodowa niezależność stanowi uznawaną powszechnie wartość.

Według norm islamu muzułmanie stanowią jedną wspólnotę, ummę. Sam podział na państwa narodowe trąci herezją. Algierczycy mówią po arabsku, jak we wszystkich bliskich sobie kulturowo krajach Maghrebu, niemniej jednak ich coraz bardziej zróżnicowane losy spowodowały, że poczucie krajowej odmienności jest dla nich, zwłaszcza »zeuropeizowanej« ludności pasa nadbrzeżnego – bardziej na południe, na pustyni, jej mieszkańcy żyją głównie w plemiennej tradycji – sprawą oczywistą. Można wyobrazić sobie, że w przyszłości odrodzenie się tożsamości określonych grup, np. Berberów, rozerwie nowe państwa, ale obecnie świadomość narodowej odrębności i poczucie jej wartości, się umacnia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

OGNIEM NA WPROST

Superpaństwo i piekielny pociąg



Były dyrektor teatru, antyklerykał, poseł znikającej partii, czyli Krzysztof Mieszkowski, wziął się do ewolucyjnego likwidowania państwa polskiego. Chodzi mu po głowie idea „Rzeczypospolitej Europejskiej". Europejskiego superpaństwa z własnym rządem, polityką zagraniczną, armią, wspólną walutą i oczywiście konstytucją. Polska według wizji Mieszkowskiego miałaby pełnić w tym tworze funkcję podobną do tej, jaką odgrywa Śląsk w Polsce. Jego zdaniem jesteśmy tak czy inaczej „na to skazani". Jakby przy okazji stwierdził, że „przeszkadza mu krzyż w Sejmie", a „dla wielu ludzi sierp i młot jest symbolem ruchów robotniczych". Czy rzeczywiście jesteśmy na to skazani? Wielki zwolennik tego typu koncepcji Emmanuel Macron właśnie w wyborach europejskich skończył się jako kandydat na prezydencką reelekcję, pozostawiając samotnie na placu boju swoją orędowniczkę, kanclerz Angelę Merkel. A ta z kolei, kiedy usłyszała wypowiedź Mieszkowskiego, najprawdopodobniej dlatego dostała drgawek. Nie dlatego, żeby była przeciw. Po prostu w ustach akurat tego posła jej wizja europejskiego superpaństwa pod przywództwem Niemiec obraca się w polskim społeczeństwie w śmieszność.

W nawiązaniu do idei superpaństwa Mieszkowskiego pod kierownictwem Berlina (no bo jakimż innym?) to właśnie od strzału w głowę oddanego z bliskiej odległości zginął polityk CDU, przewodniczący prezydium rejencji Kassel w Hesji Walter Lübcke. Zamachowcem był 45-latek związany z ruchem neonazistowskim. Powód: polityka multikulti, czyli sprowadzanie przez rząd Merkel tłumów „uchodźców" na głowę Niemcom. Z wnioskami na łamach „Die Welt" szybko pośpieszył były sekretarz generalny CDU Peter Tauber. Według tego bliskiego Merkel polityka za brutalizację polityki za Odrą odpowiada m.in. Alternatywa dla Niemiec, która jego zdaniem nakręca złe emocje. Należy więc jak najszybciej w sposób brutalny ograniczyć swobodę niemieckiej prawicy. Tauber widać zapomniał o niedawnych zamachach lewackich aktywistów na przedstawicieli AfD, skoro chce odbierać prawo do udziału w życiu politycznym tylko prawicy. Ale to dobry krok, żeby zamknąć usta przeciwnikom superpaństwa multikulti. Szkoda, że niekonstytucyjny i mało demokratyczny. Ale cel uświęca środki. W każdym razie według Taubera.

To, co się działo w pociągu TLK Gwarek z Katowic do Słupska, przechodzi ludzkie pojęcie. Zamiast spodziewanej dziewięciogodzinnej podróży pasażerowie musieli spędzić w pociągu 18 godzin. Jatka zaczęła się już na początku podróży. Od upału panującego w wagonach najpierw zasłabł 75-letni podróżny, który zmarł mimo reanimacji. Spowodowało to trzygodzinne opóźnienie pociągu, który stanął w okolicach Pleszewa. Potem ruszył, ale nie ujechał zbyt daleko. Kiedy zbliżał się do Rogoźna, poszły druty i szlag trafił sieć trakcyjną. Za gorąco. Przez kilka kolejnych godzin postoju pasażerowie padali jak muchy. Zemdlałych odwoziły do szpitala jedna po drugiej karetki pogotowia. Potrzebna była kolejna reanimacja, albowiem Gwarkiem podróżowało wiele osób starszych, które udawały się do sanatorium. „Coraz nas mniej!" – wołali z przerażeniem uczestnicy tego piekła zgotowanego przez PKP. W związku z niniejszą sytuacją i koniecznością „przeprowadzenia standardowych czynności dochodzeniowo-śledczych" na miejscu zdarzenia pociąg został zatrzymany na stacji na kolejne trzy godziny. Wreszcie dostarczono wodę i umożliwiono przesiadkę. 40 osób salwowało się ucieczką, ale blisko 300 twardzieli postanowiło pozostać. PKP Intercity z wrodzonym sobie poczuciem humoru wydały oświadczenie, w którym winą za wszystko obarczyły „splot nieszczęśliwych okoliczności".

Mazguła (formalnie pułkownik Wojska Polskiego) został wezwany na przesłuchanie za swoje wypowiedzi. Ten komunistyczny trep, a także obrońca kasy dla bezpieczniaków, przegiął, nazywając Jarosława Kaczyńskiego „wytwórcą jadu i nienawiści wśród Polaków" oraz uznając go za „odpowiedzialnego za atmosferę, która doprowadziła do morderstwa Pawła Adamowicza". Nie mam zamiaru komentować mazgułowych enuncjacji. Tym zajmie się w najbliższym czasie sąd. Natomiast wy, Mazguła, macie ewidentnie za dużo wolnego czasu. A jak sami wiecie z koszar, kto ma we wojsku za dużo wolnego, temu piardy zaczynają chodzić po głowie. Zajmijcie się wreszcie czymś konkretnym. Wyczyście kibel w chałupie, wynieście śmieci, pomóżcie kobiecie prać. I nie obrażajcie publicznie, bo wam sąd zabierze emeryturę, zostawiając 300 zł na życie. Aha! I nie zakładajcie munduru, bo jesteście zwykłym pryszczem na zdrowym ciele Wojska Polskiego.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

Współczesna komuna



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich latach za sprawą coraz szerszej oferty firm trudniących się szeroko pojętym wypożyczaniem bardziej dostępne stają się dobra dotąd dosłownie i w przenośni zarezerwowane na własność. Powszechnie wypożyczamy na minuty samochody, skutery, rowery, hulajnogi. Rozlokowujmy się na urlop w prywatnych mieszkaniach, których właściciele decydują się na krótkoterminowy wynajem. Praktykowane jest też zamienianie się mieszkaniami w okresach urlopowych. Wydaje się jednak, że docelowo każdy z nas potrzebuje wyłącznie swojej przestrzeni, w której ma zapewnione prywatność, intymność, poczucie bezpieczeństwa – miejsce dla rodzinnego ogniska.

Laboratorium należące do znanej szwedzkiej firmy produkującej meble i inne artykuły wyposażenia wnętrz przedstawiło w ostatnim czasie projekt oparty na idei współdzielenia przestrzeni mieszkalnych. Założeniem koncepcji jest odejście od pierwotnego modelu nabywania nieruchomości na własność na rzecz kupowania udziałów we wspólnotach nieruchomości. Budynki miałyby być wznoszone z drewnopochodnych prefabrykatów, które łatwo można byłoby przebudowywać, zmieniając wewnętrzne podziały na poszczególne lokale. Pomysłodawcy założyli bowiem, uwarunkowaną bieżącymi potrzebami, możliwość zamieniania się mieszkaniami przez członków wspólnoty. Mieszkanie w tego typu nieruchomościach miałoby być stosunkowo tanie, a czynsz obejmowałby opłatę za utrzymanie powierzchni wspólnych, bieżącą konserwację, energię elektryczną, ogrzewanie i wodę. Wspólnie pokrywane mogłyby być także koszty ubezpieczenia, żywności, a nawet transportu. Zasadniczym celem wznoszenia opisanych budowli ma być dbałość o zrównoważony, prospołeczny rozwój tkanki miejskiej i zapewnienie jak najlepszych warunków mieszkaniowych stale rosnącej liczbie mieszkańców miast.

Zaprezentowany w Szwecji pomysł współgra z tamtejszą polityką społeczną doskonale zobrazowaną choćby w filmie „Szwedzka teoria miłości", ale przede wszystkim budzi skojarzenia z modernistycznymi wizjami Charles'a-Édouarda Jeannereta-Grisa, powszechnie znanego jako Le Corbusier. Ten francuski architekt był przekonany, że urbanistyczna przyszłość to konstrukcje seryjne. Pisał: „Trzeba stworzyć ducha produkcji seryjnej, ducha produkcji seryjnej domów, ducha życia w domach seryjnych, ducha tworzenia domów seryjnych". Le Corbusier zawarł wytyczne realizacji swojej koncepcji w „Karcie ateńskiej" stanowiącej zbiór wniosków z IV Międzynarodowego Kongresu Architektury Nowoczesnej z 1933 r. Przewidywała ona budowę wielokondygnacyjnych domów z mieszkaniami o takim samym standardzie. Pierwowzorem miał się stać budynek nazwany Jednostką Marsylską.

Wywodzące się z takich nurtów awangardowych jak konstruktywizm i utylitaryzm zachodnie koncepcje urbanistyczne docierały do ZSRR, gdzie miały służyć zaplanowanej na dziesiątki lat inżynierii społecznej. Przez pewien czas przyjmowano założenie, że należy całkowicie wyeliminować rodzinę i gospodarstwa domowe, a podstawowym modelem budynku mieszkalnego miał się stać przypominający Jednostkę Marsylską dom komuna – kombinat mieszkaniowy przeznaczony dla kilku tysięcy lokatorów. Lokale mieszkalne miały być na tyle niewielkie, by zmusić mieszkańców do jak najczęstszego korzystania z przestrzeni wspólnych. Jak najszerszemu zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych służyć miały w PRL tzw. falowce. Zaczęto budować je w drugiej połowie lat 60. Najdłuższy z nich ma 850 m, pozostałe do 200 m. Były domami seryjnymi. Realizowano je ze specjalnie wytworzonych prefabrykatów nowszej technologii przemysłowej. Domami seryjnymi były także wieżowce z tzw. wielkiej płyty. Dziś jedynym atutem hurtowo stawianych niegdyś budynków pozostaje ich nierzadko dobra lokalizacja.

REKLAMA





45/0519/F

eprasa.pl 74b7eeeab6



Zebrała **Dorota Łosiewicz**

Tęczowe projekty

Okazuje się, że niemiecki rząd ma gest i chętnie wydaje na tęczowe projekty. Jak informuje portal pch24.pl, rząd Republiki Federalnej Niemiec wsparł w ciągu ostatnich dziesięciu lat ponad 100 projektów realizowanych przez środowiska LGBT na świecie. Kosztowało to niemiecki budżet państwa ponad 5 mln euro. Informacje te ujawniono po złożeniu interpelacji przez opozycyjną Alternative für Deutschland. Ministerstwo Spraw Zagranicznych tłumaczy, że dotacje na działalność środowisk LGBT wynikają z potrzeby wspierania „ważnego priorytetu polityki rządu federalnego w zakresie praw człowieka". „Niemieckie MSZ poinformowało, że pieniądze z budżetu państwa przeznaczone zostały na promowanie »sprawiedliwości płci«, »polityki płci« i »wspieranie kobiet« w różnych państwach na całym globie" – czytamy na pch24.pl. A można było wydać te pieniądze na te same cele w środowisku wyznawców Allaha w Niemczech, przecież imigrantom wolno wszystko.



712,4 km

tyle jest w Polsce płatnych autostrad zarządzanych przez państwo i koncesjonariuszy.

909 km

– tyle jest w Polsce bezpłatnych autostrad.

303 mln zł

– tyle dorzuci Bruksela do budowy obwodnicy Nowego Miasta Lubawskiego. To decyzja Centrum Unijnych Projektów Transportowych.



Tęczowa edukacja

W Szwecji menedżer parady równości próbował się umówić z 14-latkiem, obiecując nauczyć go wszystkiego o sado-maso. Sprawę opisali dziennikarze. Fikcyjne konto chłopca założone przez dziennikarzy śledczych szwedzkiego dziennika „Svenska Dagbladet" w celu zbadania rozprzestrzeniania się pedofilii w szwedzkiej społeczności LGBT otrzymało ponad 100 propozycji seksualnych, m.in. od „kluczowej osoby w społeczności parady Stockholm Pride" i urzędnika MSZ. O sprawie informuje m.in. portal Dzienniknarodowy.pl. A tyle było śmiechu z powodu wypowiedzi nowego szefa MEN, który połączył edukację równościową z pedofilią.

Tęczowe kucyki

Rewolucja światopoglądowa przechodzi przez kolejne bajki. Teraz pora na „My Little Pony". W nadchodzących odcinkach tego serialu ma się pojawić wątek LGBTQ, a konkretniej lesbijska para kucyków, którą mają tworzyć Auntie Lofty i Aunt Holiday. O sprawie informuje portal naEkranie.pl. „Myślę, że to fantastyczne móc pokazać, że to, co naprawdę określa rodzinę, to miłość – to właśnie jest dla mnie sedno »My Little Pony«" – tłumaczy Nicole Dubuc, showrunnerka produkcji. To równościowe szaleństwo przestaje być już śmieszne. Strach się bać, co pokażą twórcy serialu w kolejnych sezonach. Że miłość do dzieci może mieć różne odcienie tęczy?



eprasa.pl 74b7eeeab6



Tęczowa policja

Tymczasem w hiszpańskiej miejscowości Vall d'Uixo powstała specjalna jednostka policji LGBT, która będzie się zajmowała walką z „homofobią" i nienawiścią związaną z tzw. orientacją seksualną. Policja LGBT zaangażuje się również w działalność edukacyjną. O sprawie pisze portal Stoppedofili.pl. „Jak informują hiszpańskie media, jednostka policji LGBT ma być obecna podczas imprez masowych, gdzie rozstawione będą tzw. tęczowe punkty policji. Nowa jednostka policji w Vall d'Uixo ma również angażować się w działalność edukacyjną. Nie sprecyzowano jednak, na czym ma ona dokładnie polegać i jakie treści promować" – informuje portal. No i niech teraz ktoś spróbuje choćby krzywo spojrzeć... Homoterror postępuje.

„Nic już nie pozostało, jak tylko skakać przez ognisko, oplatać się byliną, stawiać wróżby" – tak o sytuacji Koalicji Europejskiej pisze na łamach „Wyborczej" Magdalena Środa. A podobno ciemnogród to wyborcy PiS.



Tęczowa propaganda

W Szkocji nawet nie potrzeba policji, by radzić sobie z myślącymi niepoprawnie politycznie. Przekonał się o tym uczeń, który został wyrzucony z klasy przez nauczyciela, ponieważ śmiał twierdzić, że istnieją tylko dwie płcie. „»Miałeś szansę się wycofać, zrobiłeś problem. Skoro chcesz mieć taką opinię, głoś ją sobie w domu« – tak powiedział nauczyciel do ucznia, który oświadczył, że istnieją dwie płcie. »Źle wybierasz« – dodał ostrzegawczo. Ostatecznie wyrzucił ucznia z klasy. Pedagog sugeruje, że opinie nastolatka są niezgodne z polityką władz" – informuje portal tvp.info. I to niby Polska ma problem z demokracją?

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Olav Holten/Stockholm Pride

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Między prostatą a menopauzą



Dominik Zdort

Reklam można nie znosić. Można je lubić lub tolerować. Nie ulega jednak wątpliwości, że od dziesiątków lat tylko dzięki nim wiele mediów może funkcjonować. Reklama wrosła we współczesną kulturę. Bon moty z co bardziej błyskotliwych (lub wręcz przeciwnie) materiałów promocyjnych są wykorzystywane w dziecięcych dowcipach i w całkiem poważnych dziełach sztuki.

Reklama jako element kultury podlega też wszystkim napięciom współczesnego świata. Kiedy kilka miesięcy temu jedna z sieci handlowych w Niemczech na Dzień Matki przedstawiła kilka obrazów mających pokazywać, jak nieudolni potrafią być wobec swoich córek ojcowie i jak troskliwe są matki (z puentującym stwierdzeniem: „Mamo, dziękuję ci, że nie jesteś tatą"), od razy rozległy się protesty. Paru tatusiów wyraziło swoje niezadowolenie w mediach społecznościowych, najgłośniej jednak protestowała feministyczna organizacja Pinkstinks. „To policzek dla wszystkich wyzwolonych kobiet" – komentowała, narzekając, że reklama powiela stereotyp... dobrej matki.

Jest kraj, gdzie – od ubiegłego tygodnia – nikt już nie będzie mógł sobie pozwolić na taki występek. W Wielkiej Brytanii weszły w życie przepisy zakazujące reklam, które „mogłyby spowodować szkodę, obrażać lub przyczyniać się do powielania przestarzałych i seksistowskich stereotypów". Chodzi o to, aby – jak tłumaczą autorzy przepisów (ASA, czyli Advertising Standards Authority) – w reklamach nie pokazywać kobiety, która ma trudności z zaparkowaniem samochodu lub odkurza mieszkanie, podczas gdy mężczyzna siedzi leniwie na kanapie. Dlaczego? Bo w ten sposób utrwalane są nierówności w społeczeństwie i ograniczane są aspiracje wielu ludzi.

Teraz tylko chłopcy będą reklamować lalki, a dziewczynki samochodziki. Ciężkie ładunki w reklamach będą podnosić wyłącznie panie, a jedynie panowie będą myć naczynia. W męskiej wyprawie w góry (której kulminacyjnym momentem jest wspólna konsumpcja piwa przy ognisku) będą musiały uczestniczyć (i prezentować męską krzepę) kobiety. Natomiast w salonie fryzjerskim farby do włosów będą sobie polecać panowie.

Jednak „wykorzenienie przestarzałych seksistowskich stereotypów" w pełni zostanie zrealizowane dopiero wtedy, gdy kobiety zaczną reklamować leki pomagające im na kłopoty z prostatą, a mężczyźni środki, które ułatwiają życie w okresie menopauzy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 74b7eeeab6

RZECZY POSPOLITE

Cywilizacja śmierci



Tomasz ***Łysiak***

Śmierć małego Szymonka wstrząsnęła Polakami – pojawiły się głosy, że lekarze podjęli decyzję wbrew rodzicom i w taki sposób, by ci nie mogli wobec niej zareagować. Tata i mama Szymona o odejściu dziecka podobno dowiedzieli się po tym, jak bez ich wiedzy zrezygnowano z zabiegów podtrzymujących życie. Lekarze bronili się, tłumacząc, iż nie było innego wyjścia.

A przecież dopiero co świat przeżywał śmierć Alfiego Evansa, dopiero co napłynęły informacje o eutanazji nastolatki nieumiejącej poradzić sobie z problemami psychicznymi, a teraz doszła smutna informacja o wydarzeniach ze stolicy naszego kraju.

Przy wszystkich otwierających się kontekstach w tej sprawie chciałbym dodać jeszcze jeden ważny aspekt wpisujący się w debatę wokół kwestii „cywilizacji śmierci". Chodzi o to, co wielokrotnie podkreślała w swoich książkach Oriana Fallaci – o starcie cywilizacji, którego jesteśmy uczestnikami i świadkami, o wojnę między Zachodem a islamem.

Czy naprawdę wszystkim europejskim lewakom łażącym na parady równości i wypisującym na fejsbukach brednie o tym, jak to powinniśmy przyjmować tysiącami imigrantów, nie zapala się w głowie jakaś lampka alarmowa, gdy się okazuje, że nie są już w stanie spacerować ulicami wielu miast europejskich wieczorem, z nieodzowną latte sojową w łapsi? Nie są w stanie, bo na każdym rogu stoi banda ciemnoskórych młodzieńców, którzy nie tylko wyrwą ten „boski" napój z rąk, lecz pozbawią jeszcze zegarka i portfela?

I czy kiedyś dotrze do nich, że pielęgnując ideologiczne idiotyzmy promujące eutanazję, tak naprawdę wspomagają jedno wielkie zbiorowe samobójstwo, jakiego dokonuje współczesna Europa?

Przywoływana tak często Fallaci wieszczyła już lata temu – muzułmanie pokonają nas demografią. Europejczycy zamiast walczyć o życie, po prostu zabijają się sami. Aborcja, eutanazja, brak troski o tradycyjnie rozumianą rodzinę: to wszystko razem tworzy wielką pętlę zakładaną na szyję Zachodu.

Ile jeszcze smutnych historii musi się wydarzyć, ile dyskusji dotyczących tak trudnych moralnie decyzji na temat prawa do decydowania o czyimś życiu i śmierci przetoczyć poprzez media i sumienia, żeby Europa się w końcu obudziła? Zanim będzie za późno?

Czas concealers

„Lato. Lato wszędzie, zwariowało, oszalało..." – śpiewała Formacja Nieżywych Schabuff. Właśnie lato nam się zaczęło. Zgodnie z kalendarzem noc sobótkowa wypadła, w której chłopcy z dziewczętami..., kojarzenie..., wianki i te sprawy..., mniejsza z tym, bo to anachronizm jakiś. Ktoś pamięta, o co chodziło? Jacy chłopcy...?! Dzisiejsi młodzi osobnicy płci z anachronicznymi wpisami w metrykach niby męskiej wyglądają jak pół słupskiego eksprezydenta zza krzaka. Męskość stała się kwestią wręcz umowną, klimatu dla szarmanckich, eleganckich Bondów czy Rambów z pozszywaną na okrętkę skórą na ramionach ani nawet na Gołasów z uwodzicielską szczeliną między siekaczami nie ma!



Piotr ***Cywiński***

Ta, jak dla mnie, najpiękniejsza strona życia, podział na płcie dwie, odchodzi w przeszłość. Pominę fakt depilowania sobie przez młodych facetów (?) owłosienia z torsów, golenia i innych miejsc, że włosy poniżej brody są passè. Jest jeszcze jeden, handlowy miernik dzisiejszej męskości, nazywa się: concealers. Gdyby ktoś nie był na bieżąco, są to korektory, które dla współczesnych mężczyzn (?) przestały być wyrazami obcymi. Tacy Amis pięć lat temu wydawali na środki do pielęgnacji ciała 2,5 mld dol., dziś już trzy razy tyle. Nie chodzi o mydło czy wody po goleniu, lecz o eksplozję popytu na „męskie" kremy na noc, na dzień, pod oczy, na czoła, o pomadki do ust, tusze do rzęs, pudry itd. dla „panów", którzy też chcą być „beauty". Np. bożyszcze Biberek, obecnie 25-letni Biber z Kanady, nim został idolem, miał całą ekipę, która woziła za nim kontener upiększaczy do użytku zewnętrznego. Albo eksmałżonek piosenkarki Katy Perry, też dwa w jednym, prezenter radiowo-telewizyjny Russell Brand, zakochany w kosmetykach, marki nie wymienię, aby nie być posądzonym, że biorę na boku za ich reklamę. „Mężczyźni z make-upem to dziś żadne tabu", podsumowała w brytyjskim „Telegraphie" znana wizażystka Charlotte Tilbury.

Wczoraj chodziło o to, żeby mężczyzna był... męski, czyli dobrze zbudowany, zadbany, elegancki, pachnący, emanujący opanowaniem i spokojem, z czarującym uśmiechem. Dziś „trendy" są wymoczki z podkrążonymi oczami od płaczu i błagalnymi spojrzeniami o kromkę chleba jak z reklam Calvina Kleina. A propos Klein miał dwie żony, a po rozwodzie z tą drugą zaczął prowadzać się za rączkę z modelem Nickiem Gruberem... – taka evolution! Przyznaję, wypadłem z obiegu, u mnie wciąż lato, lato wszędzie i wariuje, i szaleje moje serce, a ty dziewczę zaraz wpadniesz w moje ręce... – ja chyba zbokiem jakimś jestem...

eprasa.pl 74b7eeeab6

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER, MICHAŁ WARGIN / EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR X2, MATEUSZ ZELNIK, MAREK BARCZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 74b7eeeab6

I po KOD-zie

W Komitecie Obrony Demokracji robią dobrą minę do złej gry. Ruch społeczny, który miał zmieść Prawo i Sprawiedliwość z powierzchni ziemi, niepostrzeżenie się rozsypał. Choć liderzy się zarzekają, że organizacja ma się świetnie i przygotowuje się do kolejnej walki – przed jesiennymi wyborami – to nie sposób nie dostrzec marazmu, frustracji i wewnętrznych żalów. Właśnie odchodzi kolejny lider, a skłóceni działacze wiedzą już, że roztrwonili potencjał, który miał wynieść ich do roli jednej z najważniejszych sił politycznych. Jak do tego doszło?



Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

eprasa.pl 74b7eeeab6



W 2016 r. politycy obozu rządzącego mogli się naprawdę zatroskać. Krótko po wyborach pojawił się w Polsce potężny ruch, zdolny wyprowadzić z domów dziesiątki tysięcy osób. Zapachniało uliczną rewolucją. Takie zresztą były marzenia opozycji, by zmobilizowanych w ramach Komitetu obywateli zachęcić do wypowiedzenia posłuszeństwa państwu. Chwilami wprost wzywano do siłowego obalenia rządu, a w grudniu 2016 r. podjęto nawet taką próbę.

Środowisko, które w 2015 r. zostało z hukiem pozbawione władzy, dostało prezent od losu – oddolną inicjatywę, która mogła pozwolić sobie na więcej niż ono samo. Dlatego w tamtym czasie politycy tak chętnie przyklejali się do Mateusza Kijowskiego. On rozdawał karty, decydował, kto wystąpi na kodowskiej scenie, autoryzował partyjnych liderów. To Sławomir Neuman, Władysław Kosiniak-Kamysz, Ryszard Petru czy Barbara Nowacka występowali na wiecach obok Kijowskiego, a nie odwrotnie. Budował tym samym również (a może: przede wszystkim) siebie. Zastanawiano się nawet, czy to nie Kijowski będzie liderem całej opozycji.

Paradoksalnie to on sam stał się największym balastem. Po aferze alimentacyjno-fakturowej KOD znalazł się na równi pochyłej.

PLANKTON

Dziś sytuacja jest diametralnie inna niż przed trzema laty. KOD chciałby jeszcze coś znaczyć po opozycyjnej stronie sceny politycznej. Ale pełni już tylko funkcję planktonu, szczęśliwego, gdy uda mu się przykleić do silniejszego, gdy ktoś jeszcze o nim pamięta. Na dwa tygodnie przed ostatnimi wyborami Komitet dołączył do Koalicji Europejskiej, wspólnie z takimi tuzami jak Inicjatywa Polska, Unia Europejskich Demokratów, Inicjatywa Feministyczna, Wolność i Równość, Wolne Sądy czy Socjaldemokracja Polska.

Po wyborach pytanie o kondycję Komitetu Obrony Demokracji jeszcze mocniej staje się pytaniem o obóz III RP. W końcu KOD był jego „zbrojnym ramieniem". Dziś z wielotysięcznych marszów pozostały wyłącznie wspomnienia. Choć Jarosław Marciniak, jedna z najważniejszych postaci Komitetu, w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" tłumaczy to inaczej: – Zmieniła się perspektywa i forma działania naszej organizacji. Do masowych protestów dochodzi wtedy, gdy mamy do czynienia z bardzo złym zachowaniem partii rządzącej. Wtedy, gdy ona dokonuje radykalnych zmian, które niszczą praworządność, wtedy pojawiają się ludzie na ulicach.

Jak na jednego z liderów KOD, to zaskakujące wyjaśnienie. Czyżby bowiem władza PiS nie zachowywała się już „bardzo źle"? Marciniak dopowiada: – KOD zaczął teraz pracować z ludźmi u podstaw, a to nie jest tak widowiskowe jak np. marsz na 250 tys. osób. Teraz działamy szeroko w Polsce, w regionach, w powiatach. Organizujemy spotkania. Ostatnim naszym dużym przedsięwzięciem była Obywatelska Kontrola Wyborów, którą zorganizowaliśmy przy wyborach samorządowych i europejskich. Mówimy o kilkuset wolontariuszach monitorujących cały proces wyborczy.

Rzeczywiście przed eurowyborami była mowa o OKW, ale po 26 maja o tej inicjatywie jest dużo ciszej. Nie było do czego się przyczepić czy też zabrakło wolontariuszy? Dość powiedzieć, że w ciągu miesiąca żaden raport się nie ukazał (po wyborach samorządowych takowy powstał, był wtedy nawet plan wspólnych badań z Fundacją Batorego). To kolejny dowód na to, że KOD już tylko pozoruje działania, a jego inicjatywy lepiej wyglądają w internetowych manifestach niż w rzeczywistości.

ŚLEPE TŁUSTE KOTY

Ten upadek jest fascynującym zjawiskiem społecznym. O jego analizę prosimy więc jednego z najwybitniejszych badaczy, prof. Andrzeja Zybertowicza. Zastrzega on, że dynamiki KOD nie eksplorował drobiazgowo, nie prowadził systematycznych badań, ale chętnie dzieli się kilkoma socjologicznymi refleksjami: – Każdy ruch społeczny można ująć dwuwarstwowo – jest w nim to, co jest spontaniczne, i to, co jest zorganizowane. Z jednej strony to, co jest oddolne, a z drugiej – to, co bywa manipulowane. Wydaje mi się, że w ostatecznym rozrachunku o klęsce KOD

eprasa.pl 74b7eeeab6

przesądziło, że to, co organizacyjno-manipulacyjne, znalazło się ponad tym, co autentyczne i oddolne. Miałem niedawno dłuższą rozmowę z pewną panią, przedstawicielką klasy średniej (prowadzi dwie działalności gospodarcze), uczestniczką wielu manifestacji KOD, która zapytała, czy wiem, dlaczego w czasie ich marszów zawsze zakłada duże ciemne okulary. „Bo ja wtedy płaczę ze szczęścia, że jesteśmy razem" – zwierzyła mi się. To pokazuje głęboką potrzebę wspólnoty i poczucia słuszności działań. Tacy ludzie stali się ofiarami środowiska „tłustych kotów", członków establishmentu, którego wpływy zostały znacząco zmniejszone. Dobrymi symbolami są tu pewien znany dziennikarz i pewien znany prawnik, będący wyrazicielami poglądów opozycyjnych.

Naukowiec dodaje, że KOD nie poradził sobie z problemem przywództwa. – W tym środowisku „tłustych kotów" fascynujące jest, że gdy pojawił się lider iście kabaretowy, to owe „tłuste koty" przez długi czas nie widziały w tym nic niestosownego.

Rzeczywiście, przez ponad rok nie przeszkadzało to żadnemu z liderów politycznych, łącznie z Donaldem Tuskiem. Szef Rady Europejskiej wówczas był nieco mniej (oficjalnie) zaangażowany w walkę z PiS, a pozostawał wielką nadzieją opozycji. Sam widział w Mateuszu Kijowskim sprawnego organizatora antyrządowej złości i dlatego przyjmował go na salonach w Brukseli.

Na pytanie, dlaczego przez kilka lat ruch z wielotysięcznym poparciem, zapleczem organizacyjnym i wsparciem ludzi doświadczonych w społecznym działaniu nie był w stanie wyłonić mocnego i trwałego przywództwa, prof. Zybertowicz odpowiada: – Prawdopodobnie dlatego, że nastąpiło coś odwrotnego do tego, czego się spodziewałem. W zapleczu kadrowym były tam przecież osoby rozumiejące mechanizmy władzy, budowania autorytetów, organizacji, mobilizacji, które mogły ten ruch ukierunkować, by był maksymalnie silny. Ale okazało się, że ich zdolności inżynierii społecznej nie spotkały się z rzeczywistym obywatelskim gniewem i rozczarowaniem. Ludzie, którzy w imię demokracji przystępowali do KOD, na wielu szczeblach działania tej struktury zauważali różne mechanizmy manipulacji.

SZEF NIE UMIE ZREZYGNOWAĆ

O silnym przywództwie nie można mówić w przypadku obecnego szefa KOD. Krzysztof Łoziński to pomysłodawca powołania Komitetu (po jego artykule w „Gazecie Wyborczej" Kijowski założył grupę na Facebooku i kula śniegowa ruszyła), ale trudno obsadzać go w roli charyzmatycznego wodza. To raczej człowiek do analiz, teoretyzowania, pisania manifestów. Tłumów nie porwie. I nie porwał. Na dodatek, jak twierdzi, kierowanie organizacją przypłacił zdrowiem, uszczupleniem portfela, stresem. 8 czerwca ogłosił, że rezygnuje z kierowania Komitetem.

> KOD chciałby jeszcze coś znaczyć po opozycyjnej stronie sceny politycznej. Ale pełni już tylko funkcję planktonu, szczęśliwego, gdy uda mu się przykleić do silniejszego

Pięć dni później okazało się, że znów coś się posypało – jak to na szczytach KOD – i dymisja się nie udała. Łoziński tłumaczył w mediach społecznościowych, że chciał przesunąć Krajowy Zjazd Delegatów, by „móc złożyć rezygnację, umożliwić odbycie się pełnej kampanii wyborczej. Niestety okazało się to niemożliwe". Pozostały mu tylko groteskowe tłumaczenia: „W związku z tym nie złożyłem, zgodnie z wymogami prawa, swojej rezygnacji na piśmie, wszelkie informacje o mojej formalnej rezygnacji są przedwczesne, choć jej zapowiedź jest prawdziwa". KZD odbył się w miniony weekend.

Jak drugą zmianę władzy w KOD traktują działacze? Sądząc po internetowych wpisach, większość przyjmuje ją ze zrozumieniem, życzy prezesowi zdrowia i dziękuje za dotychczasowe zaangażowanie. Niektórzy do beczki miodu dokładają łyżkę dziegciu, jak Grzegorz Borys: „Dziękuję, może dzięki temu w końcu uda się uchwalić program/strategię".

Inni wprost się oburzają. Ludwik Turno: „Twa argumentacja – oświadczyłem wprawdzie publicznie, ale nie napisałem odpowiedniego rezygnacyjnego pisma – wybacz, ale nie trzyma się kupy. Nie tylko z prawnego, ale przede wszystkim z normalnego ludzkiego punktu widzenia. I jest tak niezależnie od wszelkich innych tu komentarzy, nieodpowiedzialnie nadużywających słowa »odpowiedzialność«". Jacek Grzegorz Wiśniewski: „Potwierdza się, Krzysztof, jedynie to, że z jakichś powodów nie podejmujesz decyzji w sprawach KOD sam. Z organizacji, która miała bronić demokracji, zrobiliście trampolinę wyborczą dla Magdy i Jarka [chodzi o Magdalenę Filiks i Jarosława Marciniaka z zarządu stowarzyszenia – przyp. red.]. A przynajmniej usilnie próbujecie zrobić".

Marta Masłowska idzie dalej: „Nie powinien był się Pan w ogóle tej funkcji podejmować, zwłaszcza zważywszy na fakt, że pełni ją Pan mocno tak sobie (ja nie widzę żadnych efektów)". Łoziński krytyki nie przyjął i dość buńczucznie odpowiedział: „Gdybym się tej funkcji nie podjął, KOD od dwóch lat by nie istniał". Dalszy dialog wyglądał tak:

Masłowska: – Myślę, że przetrwanie KOD to raczej, a może wyłącznie zasługa struktur oddolnych, regionalnych.

Łoziński: – No to jest pani w błędzie.

Masłowska: – Pozostaniemy przy swoich zdaniach. Proszę jednak przyjąć moje słowa jako odzwierciedlenie tego, jak zarządzanie KOD jest postrzegane przez zwykłych, szarych ludzi, którym od początku nigdy nie było wszystko jedno.

KOD w regionach zawsze był bardzo silny. Teraz ten zapał wystygł. Przeglądamy strony lokalnych oddziałów, to tu skupiało się życie Komitetu w terenie. W niektórych ośrodkach jakby

eprasa.pl 74b7eeeab6



Mateusz Kijowski nie zwalnia. Zakłada kolejne stowarzyszenia, nawet miesiąc po miesiącu. W eurokampanii były lider KOD ujawnił się jako żołnierz LGBT ze sztabu Danuty Hübner. Jeżdżąc po Warszawie na dachu autobusu kandydatki, radośnie powiewał tęczową flagą

Fot. Fratria

wszystko zamarło – ostatnie aktualności pochodzą sprzed wielu miesięcy.

NIEDAWNA PREHISTORIA

Jesienią 2015 r. „Gazeta Wyborcza" relacjonowała wszystko, co dzieje się wokół KOD z drobiazgowością znaną z brytyjskich bulwarówek oszalałych po narodzinach royal baby. 21 października 2015 r.: „Dziś mijają trzy dni od założenia na Facebooku grupy Komitet Obrony Demokracji. Ma już ponad 27 tys. zwolenników. Nowych cały czas przybywa". Autorzy gazety zachwycali się, że społeczeństwo tak szybko odpowiedziało na zmianę władzy: „Grupa powstała jako reakcja na pierwszy tydzień rządów Prawa i Sprawiedliwości". Mateusz Kijowski był wtedy gwiazdą, a dziennik Michnika spijał każde słowo z jego ust: „Demokracja jest mocno zagrożona, niektórzy mówią, że doszło do zamachu stanu i zbliża się totalitaryzm" – mówił lider.

19 grudnia Kijowski trafia na okładkę „Wyborczej", co jest jednoznaczną deklaracją wsparcia dla nowej inicjatywy. Ta sama gazeta potrafi marginalizować olbrzymie patriotyczne marsze, jednak tym razem wyłuskuje z internetu małą „społeczną" inicjatywę i ze wszystkich sił ją nagłaśnia. Co więcej, krzyczy o konieczności wyjścia z KOD na ulicę, a po niespełna miesiącu piórem Piotra Pacewicza zachęca obywateli do wznoszenia takich haseł: „Okupanci!", „Precz z Kaczorem dyktatorem!", „Duda, jesteś tylko kotem prezesa!", „Szydło do wora!", „Beata, trzeba ci bata!". Kijowski w obszernym wywiadzie nie protestuje przeciwko takiej retoryce. Podkreśla za to, że KOD nie jest ruchem „przeciwko" komukolwiek, tylko „za" demokracją, co nie przeszkadza mu krytykować nowej władzy za „arogancję" i „skandaliczne zachowania". Przypomnijmy, dzieje się to półtora miesiąca po wyborach.

Rozmawialiśmy wtedy z Kijowskim w jego domu. Przed nami udzielał wywiadu niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel", w kolejce już czekali następni. Świetnie czuł się w centrum uwagi. Ktoś wtedy porównał go do Wałęsy z okresu największego boomu Solidarności, gdy przywódca udzielał audiencji wybranym dziennikarzom i z miną mędrca analizował sytuację polityczną.

To było zaledwie 3,5 roku temu, a wydaje się, jakbyśmy mówili o prehistorii.

KRZYŻYK NA „MATYSIE"

Wiele osób w KOD – włącznie z obecnym kierownictwem – wolałoby o Mateuszu Kijowskim zapomnieć, ale ta postać wyznacza swego rodzaju cezurę dla organizacji. Czas KOD dzieli się na ten z „Matysem" (tak mówią na niego bliscy i przyjaciele) i późniejszy. Były lider jest rozgoryczony, trudno uznać jego życie po KOD za pasmo sukcesów. Wydana w Londynie książka „Buntownik" nie okazała się bestsellerem, a była żona wciąż oczekuje na spłatę długu alimentacyjnego, choć sam Kijowski twierdzi, że sprawa została umorzona.

W sądzie w podwarszawskim Pruszkowie trwa proces, w którym Kijowski jest oskarżony o poświadczenie nieprawdy w fakturach i przywłaszczenie 121 tys. zł ze zbiórek KOD. Grozi mu do ośmiu lat więzienia.

Na blogu NaCzatach.pl od czasu do czasu publikuje emocjonalne wpisy. 9 lipca 2019 r. w felietonie zatytułowanym „Całujcie mnie wszyscy w dupę, czyli elity są nagie!" rozlicza się ze wszystkimi, którzy skreślili go z powodu niepłacenia alimentów. Jacek Poniedziałek, Tomasz Sianecki, Andrzej Morozowski, Jan Hartman, Władek Frasyniuk, Agnieszka Gozdyra – o nich pisze: „Z takimi elitami nigdzie nie zajdziemy i nic nie zmienimy. Takim mediom nie można zaufać".

Kijowski zakłada kolejne stowarzyszenia, nawet miesiąc po miesiącu – w lutym tego roku powstało Stowarzyszenie „Wolność, Równość, Demokracja", a w marcu – „Art. 42. Stowarzyszenie Zlinczowanych". W eurokampanii ujawnił się natomiast jako żołnierz LGBT ze sztabu Danuty Hübner. Jeżdżąc po Warszawie na dachu autobusu kandydatki, radośnie powiewał tęczową flagą.

O ile znajdziemy pojedynczych działaczy, którzy z tęsknotą myślą o Kijowskim, o tyle od Konrada M. z KOD-Kapeli praktycznie wszyscy „koderzy" odsuwają się jak od trędowatego. Lider zespołu przygrywającego na marszach dziś jest poszukiwany przez policję. Nie stawił się w areszcie do odbycia kary 4,5 roku więzienia za handel kobietami.

TERAZ DO SEJMU

Ambicją KOD na początku działania było obsesyjne wręcz dystansowanie się od zawodowej polityki i pokazywanie siebie jako lepszych uczestników życia publicznego, bo wspartych siłą ulicy i działających na niej. Także na Wiejskiej, ale raczej przed gmachem Sejmu, a nie w nim. Teraz może się okazać, że ucieczką do przodu dla liderów Komitetu będzie znalezienie się na biorących miejscach list wyborczych jakiejkolwiek partii opozycyjnej.

Jarosław Marciniak już widzi się w roli parlamentarzysty: – Zawsze mówiłem, że jeśli chcemy mieć realny wpływ na kwestie praworządności w Polsce, jeśli chcemy doprowadzić do realnej zmiany, to można to uczynić, tylko zasiadając w Sejmie. Jeśli będzie taka możliwość, to tak, podejmę takie wyzwanie, ale to bardziej temat do rozmowy na jesień, a nie na czerwiec.

Wychodzi na to, że sen o obywatelskim ruchu potrwa najdalej do jesieni. Od wyniku wyborów zależeć będzie, w jakim humorze obudzi się kierownictwo KOD, bo szeregowi członkowie, tak czy inaczej, zostaną na aucie.

Historia Komitetu Obrony Demokracji najlepiej pokazuje, co opozycji „udało się" przez ostatnie cztery lata ugrać. Prawo i Sprawiedliwość miało być epizodem, który przez przypadek znalazł się u władzy, ale zostanie szybciutko poskromiony. Tymczasem to poskramiacze stali się mało istotnym elementem, o którym za chwilę nikt już nie będzie pamiętał.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Nadlatują F-35

W trakcie najbliższych sześciu lat polskie lotnictwo wojskowe wzbogaci się o pierwszą eskadrę supernowoczesnych samolotów bojowych Lockheed Martin F-35. Druga eskadra – zgodnie z zapowiedziami MON – ma zostać zakupiona po 2026 r. Łącznie będziemy więc posiadać 32 maszyny tego typu

Fot. Shutterstock



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przez całe lata zakup nowych samolotów był przedmiotem niekończących się analiz. Choć czas naglił, nie podejmowano żadnych decyzji, głównie z powodów finansowych, ale również ze względu na nieustannie zmieniające się koncepcje. Przełom nastąpił po kolejnej, czwartej już, katastrofie myśliwca MiG-29 w marcu tego roku. Rząd postanowił natychmiast zakończyć wieloletnie debaty ekspertów i zastąpić stare rosyjskie samoloty najnowszymi amerykańskimi maszynami piątej generacji. Od tej chwili sprawy potoczyły się już bardzo szybko. Na wiosnę minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak wpisał zakup samolotów F-35 do planu modernizacji technicznej na lata 2017–2026. Pod koniec maja MON wysłało zapytanie ofertowe do Stanów Zjednoczonych, a w ostatnim tygodniu podczas Salonu Lotniczego w podparyskim Le Bourget przedstawiciele firmy Lockheed Martin oficjalnie potwierdzili, że kolejnym nabywcą ich najnowszej maszyny ma być Polska. Podpisania umowy należy się spodziewać na jesieni.

Polska – podobnie jak zdecydowana większość nabywców – zamierza kupić standardową wersję F-35A. Oprócz niej produkowane są droższe, wyspecjalizowane wersje o skróconym starcie i pionowym lądowaniu dla lotnictwa marynarki wojennej (F-35B) oraz dostosowane do potrzeb amerykańskich marines (F-35C).

NADARZYŁA SIĘ OKAZJA

Wraz z zakupem F-35 polskie lotnictwo wojskowe wejdzie do elitarnego grona użytkowników samolotów piątej generacji. Są one produkowane seryjnie jedynie przez Stany Zjednoczone. Rosja i Chiny dopiero testują swoje maszyny tego typu, choć w przypadku Rosji wiadomo już, że w najbliższym czasie nie wejdą one do masowej produkcji. Europejskie koncerny zbrojeniowe pracują nad własnymi projektami, kolejnej już szóstej generacji, ale pojawią się one w powietrzu najwcześniej za 15–20 lat. Zatem F-35 to najbardziej nowoczesny samolot, jaki jest dziś dostępny na rynku.

Maszyny tego typu zamówiły już Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Włochy, Holandia, Norwegia, Dania, Australia, Japonia, Korea Południowa i Izrael. Niedawno kontrakt na dostawy F-35 podpisała również Belgia. Jeszcze jednym użytkownikiem miała być Turcja, ale wszystko wskazuje na to, że kontrakt na dostawę stu samolotów F-35 do tego kraju zostanie anulowany. Powodem jest coraz wyraźniejsza izolacja Turcji od sojuszników z NATO i zacieśnianie współpracy z Rosją. Niedawno Ankara, pomimo amerykańskich ostrzeżeń, zakupiła rosyjski system rakietowy S-400. Amerykanie obawiają się, że Rosjanie mogliby poznać sekrety F-35 i skalibrować swój system tak, aby skutecznie zwalczał amerykańskie samoloty. Pentagon nie ukrywa, że choć F-35 może być eksportowany (w odróżnieniu np. od myśliwca F-22), to jego odbiorcami mogą być jedynie zaufane państwa.

Niewykluczone, że groźba zerwania tureckiego kontraktu okazała się szansą dla Polski. Na liniach produkcyjnych firmy Lockheed Martin zwolni się bowiem miejsce dla stu samolotów. Skoro nie zostaną wyprodukowane dla Turcji, to trafią do innych krajów. Amerykanie szukają więc nowych klientów. Oprócz Polski próbują zainteresować swoim samolotem m.in. Finlandię, Szwajcarię, Hiszpanię, Węgry, Kanadę oraz Singapur.

Dodatkowym atutem, obok szybkiego tempa dostaw, jest również spadająca cena samolotu. W tej chwili zbliża się ona do 80 mln dol. za sztukę, a wkrótce – wraz ze wzrostem produkcji – może spaść poniżej tego poziomu. To porównywalny wydatek z zakupem maszyny wcześniejszej generacji, takiej jak choćby najnowsze wersje dwusilnikowego samolotu F-15, który zresztą również był oferowany Polsce, tyle że przez Boeinga.

Oczywiście do 80 mln dol. za samolot musimy doliczyć jeszcze – niektórzy twierdzą, że nawet drugie tyle – na zakup uzbrojenia, wyposażenia oraz przystosowania infrastruktury naziemnej. F-35 jest bowiem samolotem zupełnie innym od swoich poprzedników. To prawdziwy skok w przyszłość.

POZA WZROKIEM WROGA

Do tej pory pilot wsiadał do obwieszonego uzbrojeniem samolotu i ruszał do walki. W zależności od rodzaju misji i przeznaczenia samolotu atakował cele naziemne lub brał udział w bitwie powietrznej. Początkowo używano w takiej bitwie działek, później wraz z rozwojem technologii zastępowano je rakietami odpalanymi na długo, zanim piloci wrogich maszyn zdołali się wzajemnie zobaczyć w powietrzu.

Im bardziej samoloty były nafaszerowane elektroniką, tym częściej pilotom towarzyszył drugi członek załogi odpowiedzialny za obsługę systemów uzbrojenia. Maszyny stawały się coraz większe i cięższe, dlatego konstruktorzy nie ścigali się już między sobą na szybkość czy manewrowość. Dzięki odpowiednio

eprasa.pl 74b7eeeab6

sprofilowanym kształtom oraz materiałom samoloty zyskiwały obniżoną wykrywalność przez radary (tzw. technologia stealth), a ich nowoczesne pociski samonaprowadzające były odpalane przez załogi w bezpiecznej odległości od celu (fire and forget – odpal i zapomnij).

Taktyka ta miała jednak swoje ograniczenia. Przede wszystkim radary nowej generacji mogą dziś dość szybko namierzyć wrogi samolot i nakierować na niego własne rakiety. Aby tego uniknąć, trzeba inwestować w dalszy rozwój technologii stealth oraz inteligentnych pocisków, tak aby można było je odpalać z jeszcze większej odległości od celu. To jednak oznacza wyższe koszty.

F-35 ma być próbą pokonania tych ograniczeń. Skonstruowano go przy użyciu najnowszych materiałów pochłaniających fale radarowe, dzięki czemu jego wykrywalność jest niższa niż innych współczesnych maszyn bojowych. Samolot może przenosić podstawowe uzbrojenie w wewnętrznych komorach w kadłubie, co również zmniejsza jego odbicie radarowe – im mniej wystających elementów, tym słabsza wykrywalność przez radar. Dziś F-35 przenosi w ukrytych komorach cztery pociski, a już wkrótce będzie ich mógł przenieść sześć, co jest porównywalne z myśliwcem F-16. Ma być również przystosowany do przenoszenia broni jądrowej. Oczywiście istnieje możliwość podczepienia uzbrojenia na zewnętrznych pylonach, wariant w tej wersji – nazywany Beast (Bestia) – może udźwignąć aż 16 sztuk broni. Wtedy jego wykrywalność przez wrogie radary jest większa, choć może to nie mieć znaczenia w przypadku operacji bojowych przeciwko słabszemu technologicznie przeciwnikowi.

Dzięki dużemu promieniowi działań bojowych wynoszącemu ponad 1 tys. km (oznacza to możliwość dolotu do celu i powrotu do bazy) F-35 potrafi znacznie skuteczniej niż inne samoloty podkraść się w pobliże nieprzyjaciela. To jednak może nie wystarczyć, jeżeli przeciwnik również dysponuje nowoczesnym uzbrojeniem. Dlatego znów zaczyna wracać do łask szybkość i manewrowość. Oczywiście F-35 może latać z prędkością ponaddźwiękową, a jego zwrotność opiera się głównie na mniejszych rozmiarach i masie samolotu, choć – zdaniem niektórych pilotów – nie jest ona wyraźnie większa od tej, którą osiąga starszy F-16. Inni, przeciwnie, twierdzą, że samolot jest wyjątkowo zwinny. Niezależnie od tego, kto ma rację, dużą przewagę daje utrudniona wykrywalność, która pozwala pilotom F-35 długo pozostawać poza wzrokiem wroga. Ponadto w F-35 zastosowano wiele rewolucyjnych technologii obronnych, np. związanych z redukcją śladu cieplnego pozostawianego przez samolot, a to bardzo utrudnia zestrzelenie maszyny przez wrogie rakiety kierujące się na źródło ciepła. W symulacjach walk z najnowszymi rosyjskimi samolotami F-35 uzyskuje przewagę 2:1 (inne dane mówią nawet o przewadze 3:1).

DOWÓDCA ROJU

Tym, co najbardziej wyróżnia F-35, jest jego zdolność do działania na tzw. sieciocentrycznym polu walki. Oznacza to, że samoloty te są przystosowane do współpracy z innymi systemami uzbrojenia. Mogą podczas misji bojowej wykrywać cel i – w zależności od konkretnej sytuacji – przekazywać jego współrzędne bardziej efektywnym środkom niszczenia, np. artylerii rakietowej. Inaczej mówiąc, na sieciocentrycznym polu walki działania różnych rodzajów broni są z sobą zharmonizowane, a akcję podejmuje ten, kto ma największą szansę zniszczyć cel, lub ten, kto dysponuje bardziej adekwatnymi środkami. Pilot F-35 może więc przekazać współrzędne zauważonego celu do żołnierzy walczących na ziemi. Nie ma bowiem sensu, aby np. myśliwiec używał wartej miliony dolarów rakiety do strącenia nieprzyjacielskiego drona, jeśli może to zrobić żołnierz z wyrzutnią na ramieniu. F-35 jest zatem nie tylko samolotem, lecz także – mówiąc w przenośni – latającą bazą danych zbieranych podczas misji i wymienianych w czasie rzeczywistym dla zwiększenia siły bojowej własnych oddziałów.

F-35 może więc działać jako latające stanowisko dowodzenia. I to w sensie dosłownym. Istnieją bowiem technologiczne możliwości, aby pilot F-35 dowodził tzw. rojem dronów. Wyobraźmy sobie kilkadziesiąt uzbrojonych dronów, które reagują na komendy pilota F-35 i atakują wrogie cele. W ten sposób jeden samolot, operujący w bezpiecznej odległości od nieprzyjaciela, może być równie groźny co cała eskadra bombowców. Przy tym nawet, jeżeli zostałby zestrzelony, drony nie zaprzestałyby ataku, są one bowiem tak zaprogramowane, aby przekazywać sobie autonomicznie współrzędne oraz przełączyć się w razie potrzeby pod inne stanowisko dowodzenia.

WRESZCIE DRGNĘŁO

Czy to oznacza, że F-35 to samolot pozbawiony wad? Niezupełnie. Największą z nich są koszty wdrożenia całego systemu (samolot to jedynie jeden z jego elementów). Inną jest wrażliwość na potencjalne uderzenia przeciwnika. Nie chodzi tutaj o same samoloty, ale np. o infrastrukturę naziemną, z której korzystają F-35 i która jest niezbędna, aby wykorzystać ich pełne możliwości bojowe.

Polska zamierza kupić dwie eskadry tych maszyn. Choć wraz z użytkowanymi przez nasze lotnictwo trzema eskadrami F-16 staniemy się wtedy lokalną potęgą lotniczą (dla porównania Czechy mają jedynie 14 samolotów bojowych Gripen), to jednak ciągle będzie to zbyt mało, aby skutecznie przeciwstawić się potencjalnemu przeciwnikowi, jakim w naszym przypadku jest Rosja. Eksperci twierdzą, że w tym celu konieczne jest przynajmniej siedem eskadr samolotów. Biorąc pod uwagę koszty, być może warto byłoby uzupełnić tę lukę kupnem najnowszych odmian F-16, które są dobrze znane naszym pilotom i które nie wymagają dodatkowych nakładów. Mają przy tym tę zaletę, że wykorzystują część technologii zastosowanych w F-35.

Warto również rozważyć pomysł zgłoszony przez prezydenta Andrzeja Dudę, aby obecny zakup F-35 sfinansować z osobnego programu rządowego, bo w przeciwnym razie „pożre" on wszystkie inne środki na modernizację armii. A potrzeby ciągle są ogromne, ponieważ ostatnie kilkanaście lat – w odróżnieniu od potencjalnych nieprzyjaciół – ewidentnie przespaliśmy. Dlatego trzeba docenić to, że wreszcie drgnęło w programach zbrojeniowych. I to mocno drgnęło.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Lockheed Martin F-35A „Lightning II”

Historia

Samolot F-35 powstał w ramach programu Joint Strike Fighter (JSF), który wystartował w kwietniu 1995 r. Ideą było zbudowanie wszechstronnego samolotu, który mógłby spełnić odmienne wymagania sił powietrznych, lotnictwa marynarki wojennej oraz lotnictwa piechoty morskiej (marines). Dlatego samolot przygotowany był od razu w trzech wersjach, każda dla innego rodzaju lotnictwa oznaczonych literami A, B i C. Połączenie różnych wymagań w ramach jednego samolotu miało pozwolić na ograniczenie kosztów produkcji przy jednoczesnym zachowaniu bardzo wysokich standardów technologicznych. Do rywalizacji o kontrakt przystąpił Lockheed Martin (początkowo we współpracy z koncernem Northrop-Grumman) oraz konsorcjum Boeinga i nieistniejącego już dziś McDonell-Douglasa. Po przeprowadzonych testach zwyciężyła konstrukcja firmy Lockheed Martin. Pierwszy seryjny samolot F-35 oblatano w grudniu 2006 r. Jego nazwa „Lightning” (Błyskawica) została nadana na cześć słynnego myśliwca z II wojny światowej Lockheed P-38.



Użytkownicy

USA, Wielka Brytania, Włochy, Holandia, Norwegia, Australia, Japonia, Korea Południowa, Izrael. Samolot został zamówiony również przez Belgię, Danię i Turcję, jednak dostawy do Turcji mogą zostać wkrótce anulowane. W tej chwili na świecie służy ponad 400 samolotów tego typu, stacjonujących w 17 bazach. W 2023 r. ma to być już ponad 1 tys. samolotów w ponad 40 bazach i na okrętach wojennych. Największym użytkownikiem F-35 (wszystkich trzech wersji) są Stany Zjednoczone, wstępne zamówienie opiewa na 1 763 samoloty.

Dane techniczne (wersja F-35A)

Wysokość (bez statecznika):	4,38 m
Wysokość (ze statecznikiem):	6,86 m
Długość:	15,67 m
Rozpiętość skrzydeł:	10,67 m
Pułap:	15,24 km
Zasięg (bez dodatkowych zbiorników z paliwem):	2 220 km
Promień bojowy:	1 135 km
Prędkość maksymalna:	2 250 km/h (1,8 Ma)
Masa własna:	13,17 t
Udźwig uzbrojenia:	8,16 t
Paliwo (w wewnętrznych zbiornikach):	8,28 t
Maksymalne przeciążenie:	9 g

Cena

Szacowana dzisiaj na 80 mln dol. Ocenia się, że wkrótce może spaść nawet do 71 mln dol. za egzemplarz.

eprasa.pl 74b7eeeab6

wylot silnika

Silnik Pratt & Whitney F135 został skonstruowany specjalnie do napędzania samolotu F-35. W samolocie zainstalowano specjalne systemy redukujące ślad cieplny, co utrudnia zestrzelenie maszyny przez wrogie rakiety kierujące się na źródło ciepła.

grzbiet

Powierzchnia samolotu została wykonana ze specjalnych materiałów pochłaniających fale radarowe, co utrudnia wykrycie samolotu i pozwala mu niepostrzeżenie zbliżyć się do celu. Również kształt kadłuba został opracowany tak, aby skutecznie odbijał fale radaru.

skrzydła

Pod skrzydłami można umieścić dodatkowe uzbrojenie np. pociski manewrujące o dużym zasięgu, zbiorniki z paliwem lub z dodatkowym wyposażeniem, np. do rozpoznania. Zwiększa to jednak możliwość wykrycia samolotu przez radary.



spód

Podstawowe uzbrojenie ukryte jest wewnątrz kadłuba, aby ograniczyć wykrywalność samolotu przez radary. W kadłubie znajduje się działko kalibru 25 mm z zapasem 180 sztuk amunicji. Wewnętrzne komory mogą też przenosić bardzo szeroki wachlarz uzbrojenia, m.in. do sześciu pocisków powietrze-powietrze, dwie bomby o masie po 910 kg lub cztery samonaprowadzające bomby szybujące o zasięgu do 70 km, albo bomby kasetowe. Możliwe też jest uzbrojenie samolotu w pociski przeciwpancerne i przeciwradarowe. W przyszłości samolot ma zostać przystosowany do przenoszenia broni jądrowej. Rozważa się też instalację broni laserowej.

kabina

Pilot jest wyposażony w **specjalny hełm**, który wyświetla mu przed oczami najważniejsze parametry lotu samolotu oraz wskazania systemów. Hełm z wbudowanym wyświetlaczem jest wart od 500 do 800 tys. dol. Pilot może przekazywać współrzędne dostrzeżonych celów do oddziałów na ziemi.



dziób

W samolocie znajdują się liczne sensory i elektronika bojowa najnowszej generacji: radar, system walki elektronicznej, system ochrony dookólnej, układ integracji z sieciocentrycznym otoczeniem, centralny komputer oraz system optoelektroniczny, który pozwala wykrywać cele z odległości ok. 100 km. Samolot przez cały czas zbiera dane i przekazuje je w czasie rzeczywistym do własnych oddziałów na ziemi. Może też służyć jako powietrzne stanowisko dowodzenia, wykorzystując zbierane dane do koordynowania działań na polu walki, np. do naprowadzania dronów bojowych lub żołnierzy na cel.

Fot. Mat. prasowe USAF, Shutterstock

eprasa.pl 74b7eeeab6

Powinniśmy rozmawiać z Rosją

Głównym tematem mojego spotkania z Siergiejem Ławrowem była kwestia zwrotu wraku samolotu. Z kolei minister Ławrow poruszył sprawę braku zaproszenia przez nas Rosji na wrześniowe uroczystości 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej

Jacek Karnowski rozmawia z Jackiem Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych

Wizyta prezydenta Andrzej Dudy w Stanach Zjednoczonych została ogłoszona jako przełom, ale czy patrząc na to, co konkretnie przyniosła – 1 tys. dodatkowych żołnierzy, obietnica F-35, plany w sprawie elektrowni atomowej – nie należy w niej widzieć raczej kolejnego kroku w długim procesie?

Jacek Czaputowicz: To jest rzeczywiście proces. Poprzednia wizyta prezydenta, we wrześniu 2018 r., przyniosła podpisanie deklaracji o współpracy strategicznej, a po niej nastąpiły rozmowy. W międzyczasie w Warszawie odbyła się konferencja bliskowschodnia, która była wydarzeniem dla Amerykanów bardzo ważnym, choć zbyt mało w Polsce docenionym. A można ją traktować jako pewnego rodzaju przełom w relacjach z USA.

W jakim sensie?

Potrafiliśmy zorganizować wydarzenie, na którym zależało Amerykanom, potrafiliśmy też przeciwstawić się bardzo silnym naciskom ze strony Rosji, Iranu, wielu państw Europy Zachodniej, które dziwiły się, dlaczego w ogóle Polska zajmuje się Bliskim Wschodem, co to za ambicje? Również w Polsce mocno nas krytykowano, i z prawej, i z lewej strony. A mimo to zorganizowaliśmy konferencję w taki sposób, jak założyliśmy. To zostało docenione.

To pytanie, po co Polska w to się pakowała, słychać do dziś. Po co nam to było?

Na kolacji w Zamku Królewskim przy jednym stole z prezydentem Andrzejem Dudą zasiedli wiceprezydent Mike Pence, sekretarz stanu Mike Pompeo oraz Jared Kushner, zięć prezydenta Donalda Trumpa. To była świetna rozmowa, która zbudowała bliskie relacje osobiste. Ale najważniejsze jest to, że Amerykanie zobaczyli, że w sprawach dla nich bardzo ważnych mogą na nas liczyć, że jesteśmy naprawdę bliskim sojusznikiem, który jest gotów podjąć ryzyko i wytrwać w obliczu presji.

To po tej konferencji zapadły decyzje w sprawie zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej?

Amerykanie zobaczyli wówczas, że warto zainwestować w sojusz z Polską. Wstrzymali publikację raportu dla Kongresu w sprawie zaangażowania militarnego w Polsce, przyjęli bardziej otwartą postawę wobec naszych postulatów. Dzięki temu mamy dziś bardziej konkretne porozumienie, więcej wojska, na bardziej pewnych, długotrwałych zasadach, do tego z elementami dowództwa dywizji. W przyszłości obecność tę będzie można rozwijać i w tym sensie jest to początek procesu. Amerykanie doszli do wniosku, że ich obecność w Polsce ma uzasadnienie, że wszystko się właściwie układa, a do tego dobrze się u nas czują.

Nie można było wywalczyć np. 5 tys. żołnierzy, tak by wysłać naprawdę mocny sygnał w stronę Rosji?

Tu nie chodzi tylko o liczbę żołnierzy, ważny jest charakter tej obecności, różnorodność zaangażowania, ilość i jakość sprzętu. Wiemy, że będzie to bardzo nowoczesne i kosztowne wyposażenie, w tym drony i samoloty. A że nie będzie takiej bazy jak Ramstein? Dziś już się takich baz nie buduje.

To Polska ma jednak zapłacić za infrastrukturę, z której będą korzystali Amerykanie.

Ale to będzie nasza infrastruktura, która przecież u nas zostanie. W dużej części to są inwestycje, które i tak realizujemy. Chodzi o te elementy, które mają zapewnić wojskom NATO mobilność, szybki transfer, szlaki zaopatrzeniowe. Poza tym wartość amerykańskiego sprzętu wojskowego, który będzie służył naszej obronie, będzie wielokrotnie większa.

Czyli z naszej perspektywy inwestycja w Donalda Trumpa się opłaciła? Bo to był jednak rodzaj inwestycji, choćby ta feta w Warszawie niedługo po jego wyborze czy konferencja bliskowschodnia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6



To nie była ani nie jest inwestycja w Trumpa, to jest inwestycja w relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Gdyby prezydentem USA był ktoś inny, nasza polityka byłaby podobna. Na marginesie, sam słyszałem, jak prezydent Trump mówił, że swoje przemówienie pod pomnikiem Powstania Warszawskiego w Warszawie uznaje za swoją najlepszą mowę w całej karierze; przywoływał także opinie, według których było to najlepsze przemówienie wygłoszone kiedykolwiek przez prezydenta USA za granicą. On to świetnie pamięta, uważa, że to jest ważny dorobek jego prezydentury.

Właśnie, na ile prezydent Trump kieruje się wyłącznie biznesem, racjami politycznymi, a na ile ta domniemana sympatia do Polski jednak coś waży?

Myślę, że pozytywny stosunek do Polski wynika przede wszystkim z amerykańskich interesów politycznych. Jest on także wzmacniany świetnymi relacjami osobistymi par prezydenckich. Nasze interesy są zbieżne, zarówno gdy chodzi o odstraszanie Rosji, jak i o eksport gazu, który jest tańszy od rosyjskiego.

Wciąż jednak żywe są obawy, że Trump wcześniej czy później będzie chciał się dogadać z Rosją przeciwko Chinom i że zapłaci Moskwie Europą Środowo-Wschodnią. Czy w pana ocenie to realne zagrożenie?

Nie ma takiego zagrożenia. Nie mamy nic przeciwko rozmowom amerykańsko-rosyjskim, choćby w sprawie Syrii, Wenezueli czy rozbrojenia nuklearnego. Rosja była zaproszona na konferencję bliskowschodnią do Warszawy. Natomiast nie sądzę, by Amerykanie zgodzili się na jakąś rosyjską strefę wpływów w Europie Środkowej czy porzucili obronę integralności terytorialnej Ukrainy. To, że Amerykanie zwiększają i utrwalają swoją obecność wojskową w Polsce, dowodzi, że traktują i będą w przyszłości traktowali Rosję jako zagrożenie.

Na marginesie konferencji bliskowschodniej: czy nie obawia się pan, że konfrontacja USA z Iranem doprowadzi do wybuchu wojny, która może zmusić Polskę do bardzo trudnych wyborów i która wiele zmieni na gorsze?

To jest dziś spekulacja. Obserwujemy pewne napięcie związane z jednej strony z sankcjami, z drugiej z programem nuklearnym Teheranu. Chcielibyśmy zachowania pokoju, osiągnięcia porozumienia, wycofania się Iranu z polityki destabilizacji regionu. Również jako członek Rady Bezpieczeństwa ONZ zabiegamy o pokój. Jeżeli wojna by wybuchła, byłoby to wyzwanie dla całego świata, nie tylko dla Polski.

Stojąc obok prezydenta USA, Andrzej Duda krótko i zwięźle opisał relacje polsko-rosyjskie na przestrzeni dziejów. „Wielkiej przyjaźni z Rosją nie mieliśmy nigdy. Rosja zawsze czyhała na nasze terytorium" – usłyszeliśmy. Trump w odpowiedzi podkreślił, że „Rosja, Polska, Niemcy – wszyscy powinni się dogadywać". To była reakcja, która ma jakiś głębszy sens?

Te głosy się nie wykluczają. Zgadzamy się, że wszyscy powinni się dogadywać, trzeba rozmawiać. Co nie oznacza, że akceptujemy zaborcze wojny czy łamanie prawa międzynarodowego. Cały czas oczekujemy, wraz z innymi państwami, że Rosja zmieni swoje postępowanie.

Miesiąc temu spotkał się pan z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem. To pierwsza od lat rozmowa na tak wysokim szczeblu. To było spotkanie wyłącznie kurtuazyjne czy początek jakiegoś otwarcia?

Głównym tematem tego spotkania była kwestia zwrotu wraku samolotu, który wciąż jest w Smoleńsku. Rada Europy wydała rezolucję wzywającą Rosję do zwrotu wraku. Deklarowałem, że w razie zwrotu szczątków jesteśmy gotowi zapewnić dostęp do wraku rosyjskim ekspertom, gdyby chcieli prowadzić jakieś czynności. Padła jednak negatywna odpowiedź, bo zdaniem mojego rozmówcy deklaracja Rady Europy jest niewiążąca.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

Z drugiej strony w ramach pomocy prawnej Rosja udostępnia wrak polskim śledczym.

Minister Ławrow, jak rozumiem, nie wskazał nawet jakiejś daty w przyszłości, jeśli chodzi o zwrot polskiej własności?

Rosjanie oczekują zamknięcia śledztwa przez stronę Polską, twierdząc, że rzekomo wszystko zostało wyjaśnione. W sumie to był sygnał nieoptymistyczny, choć nam by zależało, by pójść do przodu w tej kwestii przed 10. rocznicą tragedii, przypadającą w kwietniu przyszłego roku.

Jakie jeszcze wątki zostały poruszone w rozmowie z Ławrowem?

Dla Rosjan problemem jest usuwanie pomników związanych z Armią Czerwoną. W odpowiedzi podkreśliłem, że groby żołnierzy, cmentarze są pieczołowicie chronione, i tu pojawił się pomysł, że być może należałoby to pokazać jasno rosyjskim dziennikarzom. Jeśli zaś chodzi o symbole komunizmu, mamy prawo je usuwać. Zadeklarowałem gotowość do rozmów z Rosją o sprawach historycznych, choćby w ramach komisji ds. trudnych, która praktycznie nie funkcjonuje. Ze strony Rosji nie ma jednak zbytniego otwarcia w tej kwestii. Minister Ławrow poruszył też sprawę braku zaproszenia na wrześniowe uroczystości 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Tego zaproszenia Rosja nie dostała i nie dostanie?

To prawda. Zostały zaproszone państwa natowskie, państwa Unii Europejskiej i państwa partnerstwa wschodniego. Chcemy świętować tę datę w naszym, europejskim gronie. Także dlatego, że 1 września 1939 r. Rosja nie była stroną wojny, chyba że w kontekście paktu Ribbentrop-Mołotow, który w pewnym sensie rozwiązał Hitlerowi ręce. Rosja przystąpiła do wojny 17 września jako sojusznik Hitlera, dokonując agresji na Polskę. W styczniu 2020 r. będziemy obchodzić 75. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz, w tym wypadku wizyta delegacji rosyjskiej byłaby uzasadniona.

Po tej rozmowie można wnosić, że w relacjach z Rosją możemy co najwyżej oczekiwać tego co dotąd: w miarę stabilnego chłodu?

Mimo różnic powinniśmy rozmawiać. Niektóre sprawy da się być może rozwiązać. Jesteśmy zainteresowani rozwijaniem relacji między przedsiębiorcami, między społeczeństwami. Możemy szukać także pewnych płaszczyzn współpracy międzynarodowej. Umówiliśmy się, że będziemy informować Rosję o pracy grup roboczych będących rezultatem konferencji bliskowschodniej w Warszawie. Inny przykład to nasza inicjatywa w ONZ ustanowienia międzynarodowego Dnia Upamiętniającego Ofiary Aktów Przemocy ze względu na Religię lub Wyznanie. Ten dzień będzie obchodzony 22 sierpnia. Planowana jest wówczas debata, która przypadnie na czas polskiego przewodnictwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, a Rosja jest stałym członkiem tego ciała.

Zmieniając temat. Czy majowe wybory w Polsce i bardzo wyraźne zwycięstwo partii rządzącej zostały dostrzeżone w unijnych stolicach i w Brukseli?

To na pewno zostało dostrzeżone. Nasi partnerzy już od dawna mają świadomość, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że to PiS będzie konstruowało kolejny rząd. Nasza pozycja w Unii wbrew temu, co mówi opozycja, jest silna. Spore wrażenie zrobiła na naszych partnerach inicjatywa premiera Mateusza Morawieckiego, na którego zaproszenie 1 maja do Warszawy przyjechali premierzy lub ministrowie reprezentujący 13 państw regionu. Obchodzili oni w Warszawie 15. rocznicę przystąpienia do UE, a w przyjętej z tej okazji deklaracji przedstawili wspólną, pozytywną i ambitną wizję Unii. Polska pokazała, że potrafi wyjść z ważną inicjatywą dyplomatyczną i wyrazić interesy nie tylko swoje, lecz także większej grupy państw regionu.

Trzeba jednak pamiętać, że te państwa są dość podatne na presję Zachodu. Czasem wystarczy jakieś wsparcie albo tupnięcie nogą, by grzecznie wracały do szeregu.

Jednak premierzy przyjechali do Warszawy, i to tuż przed unijnym szczytem w Sybinie. Rozumieją, że mamy wspólne interesy w Unii Europejskiej, których powinniśmy bronić. A że są różnice? Są. W państwach Grupy Wyszehradzkiej władzę sprawują partie należące do czterech różnych frakcji europejskich. Jednak współpraca międzyrządowa ma dla nich pierwszeństwo przed współpracą partyjną.

> Na kolacji w Zamku Królewskim przy jednym stole z prezydentem Dudą zasiedli wiceprezydent Pence, sekretarz stanu Pompeo oraz Jared Kushner, zięć prezydenta Trumpa. To była świetna rozmowa, która zbudowała bliskie relacje osobiste

Czy po kolejnych wyborach, jeśli PiS utrzyma władzę, Bruksela odpuści Polsce? Pozwoli dokończyć reformę wymiaru sprawiedliwości?

Unia Europejska nie ma prawa decydowania o tym, czy możemy przeprowadzać reformę wymiaru sprawiedliwości. My po prostu ją robimy.

Jednak wycofaliśmy się z kilku zmian w Sądzie Najwyższym pod presją, uznając, że nie są warte wojny.

Do niektórych kwestii zostaliśmy przekonani, w innych są orzeczenia TSUE, które należy stosować. Nie zmienia to jednak kierunku naszych reform. Problem niezależności wymiaru sprawiedliwości dotyczy

eprasa.pl 74b7eeeab6

zresztą nie tylko Polski. Niemcy przegrały niedawno sprawę przed TSUE, który stwierdził, że ich prokuratura nie jest niezależna. Z kolei my wygraliśmy sprawę w kwestii podatków od supermarketów. To pokazuje, że Komisja Europejska nie zawsze ma rację. A jeśli chodzi o art. 7, jesteśmy zadowoleni z wyniku, przewidziana w traktacie instytucja, czyli Rada, nie stwierdziła naruszenia praworządności. To jest dziś problem Komisji, a nie nasz.

Viktor Orbán ogłosił, że Węgry nie poprą takiego kandydata na szefa Komisji Europejskiej, który pokazał, że nie szanuje państw regionu. To jest także stanowisko Polski?

Tak. Uzgadniamy takie sprawy w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Poprzemy takich kandydatów, którzy będą realizowali naszą wizję UE. Ale proszę nie pytać mnie o nazwiska.

Ukraina ma nowego prezydenta. Czy można już powiedzieć, w którą stronę poprowadzi Ukrainę Wołodymyr Zełenski?

Widziałem się z nowym prezydentem już dwukrotnie, to były dobre rozmowy. Prezydentowi Zełenskiemu należy dać szansę. Jego program jest zgodny z oczekiwaniami społeczeństwa: walka z korupcją, reforma i wzmocnienie państwa ukraińskiego, szukanie pokojowego rozwiązania, rozwój regionów wschodnich. Wspieramy i będziemy wspierać suwerenność Ukrainy i jej walkę z rosyjską agresją. Silna Ukraina zapewnia bezpieczeństwo również Polsce. A Ukraina ma duży potencjał – ludnościowy i terytorialny – by odgrywać ważną międzynarodową rolę.

W tym kontekście można też spotkać obawy, że w przyszłości powstanie oś Berlin–Kijów, po cichu skierowana przeciwko Polsce.

Nie dostrzegam takiego zagrożenia. Niemcy są państwem demokratycznym, a prezydent Zełenski chciałby np. poszerzyć format normandzki – a więc grupę złożoną z Rosji, Niemiec, Francji i Ukrainy – o Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. To ciekawy pomysł, choć dziś trudno ocenić, na ile realny.

Jak wyglądają relacje z Białorusią? Czy możliwe jest jakieś nowe otwarcie?

Chcemy wspierać Białoruś w takiej polityce, która prowadzi do zbliżenia z Unią Europejską. Białoruś należy do Partnerstwa Wschodniego. Z niepokojem obserwujemy silną presję, którą Rosja wywiera na Białoruś. Jesteśmy otwarci na rozmowy, odbyło się ostatnio kilka wizyt na wysokim szczeblu. Dobrze rozwijają się kontakty gospodarcze i międzyludzkie. Podnosimy także problem mniejszości polskiej i jej praw.

> To, że Amerykanie zwiększają i utrwalają swoją obecność wojskową w Polsce, dowodzi, że traktują i będą w przyszłości traktowali Rosję jako zagrożenie

Ważnym wątkiem polskiej polityki zagranicznej od kilku lat są relacje z Izraelem. Dziś wygląda na to, że wszyscy czują się poobijani i nikt nie chce znów ryzykować.

Trzeba się uzbroić w cierpliwość. Sytuacja polityczna w Izraelu jest niestabilna, we wrześniu odbędą się tam kolejne wybory, trudno o daleko idące deklaracje w tym okresie.

Ale czy mamy coś, na czym Izraelowi naprawdę zależy? Tylko wówczas te relacje mogą być realnie partnerskie.

Uczestniczymy razem ze Stanami Zjednoczonymi w warszawskim procesie bliskowschodnim, który jest dla Izraela bardzo ważny. W Unii Europejskiej nie brakuje państw krytycznych wobec Tel-Awiwu i na tym tle Polska wykazuje większe zrozumienie dla racji Izraela. Dla nas podstawą relacji jest deklaracja premierów Netanjahu i Morawieckiego oparta na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Niektóre wypowiedzi przedstawicieli Izraela były z tym dokumentem sprzeczne. To tworzy dysonans, pojawia się podejrzenie o brak szczerości.

Jak wygląda sytuacja związana z wymianą kadr w MSZ? Czy ten proces postępuje?

Z mocy prawa z MSZ odeszli współpracownicy komunistycznych służb specjalnych, co nie jest regułą w innych ministerstwach. Z pozostałych pracowników zdecydowana większość zaczęła pracę już po 1990 r.

Problemem polskiej dyplomacji były jednak nie tylko komunistyczne korzenie, lecz również specyficzna postawa, widoczna dziś dobrze choćby w deklaracjach tzw. Konferencji Ambasadorów, która zalecała polskiej dyplomacji milczenie po ataku na ambasadora Magierowskiego. Mieliśmy też wypowiedź Ryszarda Schenpfa, który uznał za „nietakt" brak konsultacji z Niemcami w sprawie zwiększenia amerykańskiej obecności w Polsce.

Te osoby nie pracują w MSZ. Ich opinie pokazują stopień zaangażowania politycznego po stronie opozycji. Nie mają one na celu obiektywnego przedstawienia stanu rzeczy, ale zaszkodzenie rządzącym.

Czy udało się zmienić sytuację, w której po 2015 r. niektórzy polscy dyplomaci po cichu zachęcali zachodnie rządy do ostrego kursu wobec rządu PiS?

Takich ludzi w dyplomacji nie ma. Prawie wszyscy ambasadorzy zostali wymienieni. Ale musimy pamiętać, że dyplomata to zawód. Rzadko się zdarza, by pojawił się ktoś tak utalentowany jak wspomniany Marek Magierowski, który przychodząc z zewnątrz, świetnie funkcjonuje jako ambasador. Trzeba mieć kompetencje, przygotowanie, doświadczenie, predyspozycje.

22/0519/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Postaw na sprawdzonego partnera
Wybierz PPK w PZU

- Brak opłat za zarządzanie w pierwszym roku funkcjonowania PPK
- Kompleksowa pomoc dla pracodawców i pracowników
- Profesjonalne inwestowanie powierzonych oszczędności

Sprawdź:
emerytura.pzu.pl
infolinia **22 640 06 22**
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o PPK oferowanym przez TFI PZU SA są zawarte w „Regulaminie zarządzania pracowniczym planem kapitałowym przez PPK inPZU Specjalistyczny Fundusz Inwestycyjny Otwarty". Materiał nie stanowi oferty ani porady prawnej. TFI PZU SA podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Słaby wynik w wyborach do Parlamentu Europejskiego i jedno zdanie marszałka Ryszarda Terleckiego wystarczyły, by przyszłość Kukiz'15 stanęła pod wielkim znakiem zapytania. Tymczasem ludzie Pawła Kukiza prowadzą nerwowe dyskusje, w jakiej formule pójść do jesiennych wyborów – czasu jednak mają dramatycznie mało

Na rozstaju dróg



MARCIN FIJOŁEK

Jeszcze w niedzielny wieczór Paweł Kukiz pokazał, że jest w bardzo dobrej formie – przynajmniej tej artystycznej. Były lider zespołu Piersi wystąpił na festiwalu w Opolu, gdzie uświetnił koncert największych przebojów ostatnich 30 lat. Kukiz zaśpiewał tam piosenkę „Na falochronie", ale złośliwi od razu wskazywali, że tekst: „Powiedz mi, kto dał im prawo walk, gdy moje serce chce bić...", można będzie wkrótce interpretować jako krzyk o polityczne przetrwanie Kukiz'15. Nie minęło kilkanaście godzin, a tak właśnie się stało. W poniedziałkowy poranek Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu z ramienia PiS, oznajmił w Radiu Kraków: „Kukiz się rozsypuje. Przychodzą do mnie posłowie od Kukiza i aplikują o przyjęcie ich do klubu PiS. Nie podjęliśmy jeszcze takich decyzji. Zastanawiamy się, czy podtrzymywać istnienie Kukiz'15". Wypowiedź ta została odebrana jednoznacznie jako deklaracja, że to od partii rządzącej zależy dziś przyszłość ugrupowania Pawła Kukiza.

Niemal natychmiast sejmowe kuluary obiega plotka: oto przynajmniej czterech posłów zamierza zamienić legitymację Kukiz'15 na PiS. Wymienia się nazwiska Tomasza Rzymkowskiego, Bartosza Jóźwiaka, Tomasza Jaskóły. Kontaktujemy się zatem z parlamentarzystami i działaczami Kukiz'15, niektórzy pod nazwiskiem, inni chcąc zachować anonimowość, kreślą nam ich perspektywę. – Nie jesteśmy własnością PiS! – nie kryje złości poseł Piotr Apel, gdy pytamy go o całą sprawę. – To wszystko brzmi jak zapowiedź wrogiego przejęcia, delegalizacji, pełno w tym arogancji – dodaje.

Także w kierownictwie klubu Kukiz'15 słowa Ryszarda Terleckiego zostały przyjęte z olbrzymim oburzeniem – tym bardziej że w ostatnich tygodniach trwały rozmowy z Prawem i Sprawiedliwością. Z naszych informacji wynika, że prezes Jarosław Kaczyński miał zaproponować posłom Kukiz'15 miejsca na listach wyborczych PiS do parlamentu – sam Kukiz był sceptyczny co do tego pomysłu, ale negocjacje się zaczęły. – Gdybyśmy dostali gwarancję, deklarację publiczną, podpisaną w światłach kamer, w takich sprawach jak weto ludowe, próg referendalny czy mieszana ordynacja, można byłoby rozmawiać, ale słowa Terleckiego ucięły te negocjacje w zarodku – słyszymy od jednego z posłów Kukiz'15.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Lider formacji nie chce oficjalnie komentować całego zdarzenia. W swoim stylu – bo na facebookowym profilu – oznajmił jedynie: „Panie Terlecki... Jeśli rzeczywiście są tacy, którzy – jak pan twierdzi – »aplikują« do PiS, to bierz pan w ciemno, bo z pewnością w ogromnej mierze podwyższą poziom IQ waszego »zakonu« :-). Jeśli zaś o mnie osobiście chodzi, to delikatnie powiem – nie dla psa kiełbasa".

W nieformalnych rozmowach ze współpracownikami miał rzucić również, że jeśli tak dalej pójdzie, to w okręgach, w których PiS nie jest pewne mandatu do Senatu, Kukiz'15 wystawi własne mocne nazwiska. – Sami nic z tego mieć nie będziemy – poza gorzką satysfakcją i schadenfreude z ewentualnej porażki PiS – mówi nam osoba będąca przy tych rozmowach.

W samym obozie Zjednoczonej Prawicy dużego ciśnienia w sprawie wspólnych list z Kukiz'15 nie ma. Na zlecenie PiS zamówiono wewnętrzne badania, z których ma wynikać, że przy wciągnięciu na pokład i listy wyborcze parlamentarzystów Kukiz'15, poparcie dla partii rządzącej nie wzrasta we wprost proporcjonalny sposób do wyniku Kukiz'15. – Z badań wyszło nam, że co najwyżej 30–40 proc. wyborców Kukiza byłoby w stanie zagłosować na ich kandydatów na listach PiS. Summa summarum bardziej opłacalne może być utrzymanie Kukiz'15 przy życiu i w tym znaczeniu Terlecki może mieć rację – słyszymy od jednego z czołowych polityków obozu rządowego.

> Z badań wyszło nam, że co najwyżej 30–40 proc. wyborców Kukiza byłoby w stanie zagłosować na ich kandydatów na listach PiS – mówi polityk obozu rządowego

Scenariusz wspólnych list PiS z Kukiz'15 ma jeszcze jedną trudność – rozmowy ludzi Pawła Kukiza (w tym samego lidera) z politykami PSL. Po tym, jak Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił chęć budowania Koalicji Polskiej, ruszyły dyskusje, kto mógłby wzmocnić ten projekt. Na razie padają pojedyncze nazwiska: Marka Biernackiego i Bogdana Zdrojewskiego (wyrzuconych na margines partii Grzegorza Schetyny), a także politycznych emerytów z zacięciem analitycznym, jak Ludwik Dorn czy Aleksander Hall. Ale w samym PSL nie wykluczają szerszego sojuszu, a wtedy ich szeregi mogliby zasilić politycy Kukiz'15. – Nie mamy z tym większego problemu, ale i u nas pamiętamy, jak Kukiz nazywał nas „zorganizowaną grupą przestępczą". I co, teraz ma startować z list i pod szyldem tej mafii? – śmieje się polityk z zieloną koniczyną w klapie marynarki. Wśród ludowców nie ma zresztą decyzji co do formuły startu – jeśli udałoby się przekonać kierownictwo PO do wspólnych list tworzonych tylko przez polityków dwóch partii, to ludowcy porzucą myśl o wspólnym starcie z Kukizem.

Zegar tyka. W poszczególnych ruchach i ugrupowaniach politycy dają sobie czas do końca czerwca, najdalej połowy lipca – jako horyzontu, za którym musi się zacząć już żmudna i mozolna praca u podstaw, w terenie. – Potrzeba przecież będzie czasu, by oswoić wyborców z szyldem Koalicji Polskiej czy decyzją o wspólnym starcie z PiS. A jeśli pójdziemy samodzielnie, to rękawy trzeba będzie zakasać podwójnie – tłumaczy nam jeden z polityków Kukiz'15. W tle rozmów z PSL i PiS są także dyskusje z Bezpartyjnymi Samorządowcami i szeregiem mniejszych ugrupowań. – Zależy nam przede wszystkim na jednoznacznej deklaracji w sprawach, które forsujemy od lat – oprócz spraw referendalnych na tapecie są także sędziowie pokoju czy zakaz podwyższania podatków. Nam naprawdę nie zależy na obsadzeniu konkretnych miejsc na listach – słyszę od jednej z osób, które należą do ekipy Pawła Kukiza.

Ale sprawa postulatów to jedno, drugie to nieprzewidywalność lidera partii. Paweł Kukiz oprócz niewątpliwej charyzmy – którą widać przede wszystkim na scenie – ma w sobie coś, co utrudnia codzienną pracę nad budową struktur czy choćby szczegółów przy kampanii wyborczej. – W czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego nie mogliśmy się doprosić o kolejne spotkania, o stworzenie sztabu wyborczego, w pewnym momencie z Pawłem nie było w ogóle kontaktu – ubolewa jeden z polityków Kukiz'15. Również w szeregach PSL czy PiS zapala się czerwona lampka. – Z Pawłem i jego ludźmi trudno się uzgadnia szczegóły współpracy – jednego dnia mamy pewną deklarację, drugiego dnia Pawłowi ulewa się na Facebooku i wszystko idzie do kosza – słyszymy od polityków tych ugrupowań. Także politycy współtworzący w ostatnich wyborach Konfederację – jak Marek Jakubiak i Piotr Liroy-Marzec – narzekali w ostatnich tygodniach na brak możliwości porozumienia z Kukizem. Jeszcze inni wskazują, że w wokaliście-polityku tkwi jednak pewien wciąż niezagospodarowany potencjał: – Albo uzna, że mu się wciąż chce, zacznie jeździć po wakacyjnych festiwalach i lokalnych świętach, albo machnie na to ręką i jedyną jego aktywnością pozostaną coraz bardziej zgorzkniałe wpisy w mediach społecznościowych – słyszymy.

Chaos w szeregach Kukiz'15 jest spory, ale – jak przekonują nas politycy tego ruchu – to naturalna dynamika zdarzeń, do których musiało dojść po kiepskim wyniku w wyborach do Parlamentu Europejskiego. – Musimy przegrupować szeregi, zewrzeć szyki, przemyśleć i sprawdzić parę spraw, przeprowadzić dziesiątki rozmów. To normalna polityka – słyszymy. Tego rodzaju zapewnienia pojawiają się w zasadzie we wszystkich partiach i ugrupowaniach opozycyjnych: od PO, przez PSL, po Kukiz'15 i Konfederację. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie podstawowy fakt: czas działa na korzyść PiS. Gdy w szeregach opozycji trwa przeciąganie liny i wzajemna próba sił, kampanijna maszyna partii rządzącej jest naoliwiona i rusza po swoje. – Nadrobimy ten czas w trakcie wakacji, bo nikt ich mieć w tym roku nie zamierza – odpowiada jeden z polityków Kukiz'15. Pytanie, z kim u boku, w jakiej formule i jakiej koalicji, jest wciąż otwarte, a gwałtowność i dynamika rozmów wewnętrznych jest tak wysoka, że nie można wykluczyć niemal żadnego scenariusza.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6



Metoda Tuska

Fot. Andrzej Wiktor



STANISŁAW JANECKI

Dlaczego filozofia Tuska zawodzi na całej linii, mimo że sprawdzała się przez ponad dekadę?

Przez lata w polskiej polityce działało coś, co można nazwać metodą Tuska. W istocie było to wiele metod w metodzie, z grubsza polegających na jednoczesnym czarowaniu, uwodzeniu, robieniu nadziei, uzależnianiu, dezorientowaniu, motywowaniu i demotywowaniu, przyciąganiu i odpychaniu, przestraszaniu i zastraszaniu, a ostatecznie wyrzucaniu i karaniu. Metoda Tuska działała od co najmniej 2007 r. (jej pierwszą wersję, potem wielokrotnie udoskonalaną, poznaliśmy w prezydenckiej i parlamentarnej kampanii wyborczej jesienią 2005 r.) i przez około dekadę wydawała się mistrzowska oraz skuteczna. Donald Tusk wcielał się w tym czasie w różne role: od kumpla z podwórka i brata łatę, łobuziaka i luzaka, przez cwaniaka i spryciarza, przewodnika stada i organizatora, po herszta, prokuratora, sędziego, wyrocznię i proroka, a ostatecznie ostatnią nadzieję i zbawcę. Pierwsze poważne syndromy tego, że metoda Tuska przestaje działać, mieliśmy 11 listopada 2017 r., gdy na placu Piłsudskiego byłego premiera witało więcej gwizdów niż entuzjastycznych okrzyków. Najbardziej metoda Tuska zawiodła wtedy, gdy miała triumfować i zapoczątkować wielkie zmiany w Polsce, czyli 3 maja 2019 r., gdy Tusk wygłaszał tzw. wykład o demokracji i konstytucji na Uniwersytecie Warszawskim. Ostateczne potwierdzenie, że metoda Tuska całkowicie się zużyła, mieliśmy 17 czerwca 2019 r. przed, w trakcie i po przesłuchaniu obecnego przewodniczącego Rady Europejskiej przed sejmową komisją śledczą do spraw wyłudzeń podatku VAT. Na czym polegała metoda Tuska i dlaczego przestała działać?

1. Czarowanie

Przez ostatnie kilkanaście lat Tusk zaprezentował ogromny arsenał uwodzicielskich chwytów, często rodem z poradnictwa randkowego. Podstawa to uśmiech, lekkie słowo, anegdota, żart. I język, jakim się rozmawia z kumplami: „słuchajcie", „wiecie, że", „rozumiecie, że", „jak myślicie", „patrząc na was", „zobaczcie", „wierzcie mi", „zaufajcie mi" itp. W czarowaniu chodzi o skracanie dystansu, stąd częste „otwieranie" ramion, dotykanie osób znajdujących się najbliżej, nawiązywanie kontaktu wzrokowego z największą liczbą osób, zachęcanie do zbliżania się. Czaro-

66/0519/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

wanie to także strój: kiedy trzeba elegancki, ale często sportowy, najlepiej wedle ostatnich modowych trendów, noszony z wypracowaną nonszalancją. A do tego dbałość o szczupłą, wysportowaną sylwetkę, wypielęgnowaną cerę. Wszystko to udokumentowane licznymi zdjęciami z biegania, gier, robienia zakupów, spacerów z wnukami, spotkań z przyjaciółmi. Czarowanie ma wzbudzać pozytywne skojarzenia: może i jest on złym politykiem, ale daje się lubić, jest fajny, nowoczesny, młodzieńczy (niczym rodzina Młodziaków z „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza), wyluzowany. Czarowanie ma sprawiać, że polityk jest traktowany tak, jak pozytywne postacie z rodzimych seriali, np. jak doktor Jakub Burski i ksiądz Mateusz Żmigrodzki grani przez Artura Żmijewskiego.

2. Życie chwilą

Ten wynalazek Tuska jako jego wielkie osiągnięcie, które zapewniło władzę przez dwie kadencje, opisywał oraz wychwalał dziennikarz i wydawca Robert Krasowski. Tusk wysyłał Polakom taki oto komunikat: żyj chwilą, ciesz się tym, co masz, i nie przesadzaj z wielkimi planami, a tym bardziej z wielkimi ideami. Te są bowiem pretensjonalne i egzaltowane. Tym bardziej takie są, im mocniej odwołują się do takich wartości, jak wielkość narodu czy siła i ranga polskiego państwa. Życie chwilą, codziennością ma być bliskie przeciętnym Polakom, atrakcyjne dla nich, gdyż jest mało wymagające. Ta atrakcyjność w mniemaniu Tuska wzrastała zawsze wtedy, gdy jego główny przeciwnik Jarosław Kaczyński stawiał obywatelom jakieś wymagania. Tusk nie stawiał, stosował najbanalniejszą w świecie filozofię bohaterki „Przeminęło z wiatrem" Scarlett O'Hary: „Pomyślę o tym jutro". Jeśli „do jutra" coś się samo rozwiąże albo problem przestanie być postrzegany jako ważny, będzie świetnie. Jeśli tak się nie stanie, znowu „pomyśli się o tym jutro". I tak do skutku.

3. Mały realizm

Gdy Tuskowi zadano pytanie, jakie reformy planuje jako premier (na początku pierwszej kadencji), ten odpowiedział: „Żadnych. Ludzie nie oczekują od rządzących cudów. Chcą mieć pracę, zarabiać pieniądz, żeby ciepła woda w kranie była. I ja im chcę to zapewnić". Żadnych wielkich celów wiążących się z nadzwyczajną mobilizacją, wysiłkiem, poświęceniem. Tusk nie chciał od obywateli niczego wymagać, a jedynie oczekiwał, by byli zadowolonymi konsumentami. Nie dlatego, że było ich stać na jakąś rozbuchaną konsumpcję, ale z tego powodu, iż nie mieli wygórowanych ambicji. W rozmowach z najbliższymi współpracownikami Tusk często odwoływał się do przykładu Czechów, których uważał za największych zwolenników i praktyków małego realizmu. Upodobnienie Polaków do Czechów miałoby mu zapewnić władzę na długo, mały realizm miał być bowiem przeciwieństwem buntowniczości i niepokorności.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 74b7eeeab6

4. Miłość i pojednanie

Podczas tzw. wykładu na Uniwersytecie Warszawskim 3 maja 2019 r. Tusk objawił się jako wielki zwolennik pojednania narodowego, także pojednania zwaśnionych polityków. Już przy okazji Święta Niepodległości w 2018 r. uderzał w pojednawcze tony. Tak jakby jako premier i przewodniczący PO nie miał żadnego wpływu na głębokie dzielenie Polaków, szczególnie po katastrofie smoleńskiej. Jakby nigdy nie robił z politycznych przeciwników podludzi, lecz zawsze był pierwszy w niesieniu oliwnej gałązki i wspólnym wypalaniu fajki pokoju. Tusk mówił: „My też generacyjnie jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby przyszłe pokolenia nie spędziły życia w swoim kraju skłóconym bardziej niż kraje bałkańskie".

5. Cynizm

Tusk nie robił niczego, co by wynikało z wyznawanych wartości, przekonań, lecz wyłącznie to, co mogło się politycznie opłacać. Ale nie Polsce, tylko jemu samemu. W 2005 r., podczas kampanii prezydenckiej, w redakcji „Faktu", doszło do spotkania Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Obecny przewodniczący Rady Europejskiej z premedytacją oblał wtedy kawą Lecha Kaczyńskiego, bo to „taka metoda". Oblał kawą przyszłego prezydenta, żeby go sprowokować, upokorzyć, poniżyć, obrazić. Po to przyszedł do redakcji, a nie żeby toczyć jakiś spór. Od przekroczenia progu prowokował, kpił, zaczepiał, obrażał, i to mimo że przecież prywatnie Lecha Kaczyńskiego całkiem dobrze znał i mieli poprawne relacje. Dla Tuska polityka (i nie tylko ona) to tylko transakcje, i to takie, w których kontrahenta trzeba maksymalnie zmanipulować, czyli w efekcie oszukać. Nawet gdy Tusk mówił ciepło o dzieciach, to tylko po to, żeby coś załatwić, np. to, żeby „Fakt" nie pisał nic o jego córce Katarzynie.

6. Odwracanie kota ogonem

Występując 17 czerwca 2019 r. przed sejmową komisją śledczą w sprawie wyłudzeń VAT, Tusk twierdził, że to nie jego rząd miał problem z podatkiem VAT, lecz miał i ma go rząd PiS. Zawsze był problem z VAT, a tylko z powodu politycznej zemsty rząd Mateusza Morawieckiego i sejmowa komisja oskarżają ekipę PO-PSL. Czyli w efekcie nie było żadnej afery z VAT, a jest afera PiS ze ściganiem niewinnych polityków i urzędników z czasów rządów PO-PSL. Na konferencji prasowej po złożeniu zeznań Tusk odwrócił też kota ogonem w sprawie tzw. afery taśmowej i Marka Falenty. Stwierdził, że nie było w Polsce większej afery niż użycie nagrań przeciwko jego rządowi. Z inspiracji i pod nadzorem PiS, które w dodatku użyło tajnych służb, które Tusk wtedy nadzorował. A w ogólniejszym planie z inspiracji zagranicy, w domyśle – Putina. Tusk odwracał kota ogonem w każdej aferze dotyczącej jego rządów, z katastrofą smoleńską na czele.

> Metoda Tuska skonfrontowana z realiami okazała się teatrem, nierzeczywistością, oszustwem. Przestała uwodzić nawet oddanych mu wcześniej zwolenników

7. Wściekanie się

Podczas siedmioletniego sprawowania funkcji premiera media wielokrotnie opisywały sytuacje, gdy „Donald Tusk się wścieka". Jeśli był problem, dla którego jeszcze nie udało się znaleźć rozwiązania, do mediów przekazywano przecieki o dobrym szefie oszukiwanym lub wrabianym przez współpracowników. Stąd wściekanie się mające podkreślać, że sam Tusk z patologiami czy choćby nieprawidłowościami nie ma nic wspólnego. W marcu 2010 r. w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" Zyta Gilowska, była wicepremier i minister finansów, nazwała wściekanie się Tuska przejawem jego „skłonności do okrucieństwa". Teatralne wściekanie się było m.in. pretekstem do pozbywania się z PO i rządu wszystkich rywali i osób zbyt samodzielnych, a pozostałych paraliżowanie strachem. Zaczynało się to od upokarzania i marginalizacji delikwenta, potem był etap prowokowania go do deklaracji lojalności, a następnie ich ignorowania. Końcowy etap to mocny atak na poczucie godności i ambicje „obrabianego". Zwykle kończyło się to „pęknięciem" osoby poddawanej wyćwiczonym aktom okrucieństwa i albo odchodziła ona z partii czy rządu, albo zostawała i była nikim.

8. Prowokacje

W sytuacji wzrostu politycznego napięcia Tusk nie tonuje nastrojów, lecz prowokuje do ich eskalacji. Prowokował 19 stycznia 2016 r. w wystąpieniu w europarlamencie, otwarcie przyznając instytucjom UE prawo ingerowania w polskie sprawy. Prowokował 17 grudnia 2016 r. podczas tzw. puczu sejmowego opozycji, wygłaszając we Wrocławiu mowę w istocie zachęcającą do zamiany okupacji Sejmu w powszechną rewoltę przeciw władzy. Prowokował w styczniu 2017 r., gdy mówił, że przyjęty w Sali Kolumnowej budżet można uznać za nielegalny, co daje opozycji oraz instytucjom UE powody do działań przeciwko Polsce, także na poziomie środków unijnych. Również w styczniu 2017 r. Tusk straszył rząd Beaty Szydło, że poniesie on konsekwencje, także finansowe, jeśli nie zgodzi się na przymusową relokację uchodźców. Gdy w lipcu 2017 r. opozycja w Polsce po raz kolejny zmobilizowała ulicę, Tusk zwrócił się „do prezydenta Dudy z propozycją pilnego spotkania w celu omówienia kryzysu politycznego w naszym kraju i jego groźnych konsekwencji dla międzynarodowej pozycji Polski". Tusk prowokował 19 listopada 2017 r., gdy na Twitterze napisał: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor pozarządowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać spokojnie".

9. Kłamstwa

25 lipca 2014 r. na konferencji prasowej w Warszawie Tusk mówił: „Nie wybieram się do Brukseli. Nie ma problemu mojej kandydatury na szefa Rady Europejskiej". Wtedy już co najmniej od

49/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

10 dni Tusk wiedział, iż Angela Merkel załatwiła mu stanowisko w UE, co oficjalnie potwierdzono w sierpniu 2014 r. Po ujawnieniu w sierpniu 2012 r. afery Amber Gold Tusk twierdził, że za późno ABW przekazała mu ostrzeżenia o tym oszukańczym wehikule finansowym. Ale okazało się, że ABW przekazała ostrzeżenia najważniejszym osobom w państwie, w tym Tuskowi, już 24 maja 2012 r. Kilka dni po tym ostrzeżeniu Tusk rozmawiał ze swoim synem Michałem, zatrudnionym w firmie OLT Express, należącej do Amber Gold. Sam premier Tusk przekonywał, że jego syn nie został wtedy ostrzeżony. W sierpniu 2012 r. zarzekał się: „Między późną wiosną a wczesnym latem 2012 r. żadna z informacji, jakie otrzymałem, nie wykraczała poza to, o czym media informowały dość szeroko". W sierpniu 2012 r. Michał Tusk mówił: „Z ojcem rozmawiałem o tym w czerwcu, gdy już z nimi [OLT Express] od trzech miesięcy współpracowałem". W nagranej w lipcu 2013 r. w restauracji Sowa & Przyjaciele rozmowie Marka Belki z ministrem spraw wewnętrznych Bartłomiejem Sienkiewiczem ówczesny prezes NBP powiedział: „Kilka miesięcy przed faktem zadzwoniłem do Donalda i powiedziałem mu, że sprawa Amber Gold jest dość poważna, że jest to piramida finansowa".

10. Winni są inni

12 sierpnia 2009 r. ówczesny szef CBA Mariusz Kamiński wysłał do premiera Tuska raport CBA, a dwa dni później sam go ostrzegł przed nielegalnym lobbingiem w sprawie ustawy hazardowej. I poprosił o nadzór nad procesem legislacyjnym. Premier obiecał, że zrobi to „niezwłocznie". W październiku 2009 r. Kamiński pokazał dowody, że premier nic nie zrobił. Ale winni okazali się tylko inni, kilka dni później zdymisjonowani razem z Kamińskim: wicepremier i szef MSW Grzegorz Schetyna, minister sprawiedliwości Andrzej Czuma, minister sportu Mirosław Drzewiecki, wiceminister gospodarki Adam Szejnfeld, sekretarze stanu w KPRM Rafał Grupiński i Sławomir Nowak czy szef klubu PO Zbigniew Chlebowski. Inni byli winni w sprawie afery Amber Gold czy Ciechu. A przecież z nagranych rozmów Jana Kulczyka z szefem NIK Krzysztofem Kwiatkowskim oraz lobbystą Piotrem Wawrzynowiczem wynika, że wprawdzie „kierownik" (Donald Tusk) był ostrożny, ale „dał zieloną rękę" ówczesnemu ministrowi skarbu Włodzimierzowi Karpińskiemu.

Metoda Tuska zawodzi przede wszystkim dlatego, że rzeczywistość realizowana przez rząd PiS daleko przerosła bajki Tuska. Polacy widzą, że niemożliwe za Tuska stało się możliwe za Kaczyńskiego. A przez to wyszła na jaw cała pustka i manipulatorstwo metody Tuska, w istocie polegającej na usprawiedliwianiu nieróbstwa, niemocy, braku pomysłów i woli działania. Życie chwilą okazało się puste, zostało odczytane jako marnowanie czasu i szans. Metoda Tuska skonfrontowana z realiami okazała się teatrem, nierzeczywistością, oszustwem. Przestała uwodzić nawet oddanych mu wcześniej zwolenników. Jak każda fikcja przegrała z realiami.

REKLAMA



eprasa.pl 74b7eeeab6

Wojna o dusze, wojna o umysły



GRZEGORZ GÓRNY

Przyjrzyjmy się niedawnemu marszowi środowisk LGBT pod Jasną Górą. W Częstochowie istnieje wiele miejsc, w których mogłoby się odbyć tego typu wydarzenie, a jednak organizatorzy wybrali najbliższe sąsiedztwo najważniejszego sanktuarium katolickiego w kraju. Dlaczego?



Tak zwane marsze równości promujące ideologię gender stały się nieodłączną częścią współczesnej wojny kulturowej. Najważniejsze bitwy tego konfliktu toczą się dziś tam, gdzie wykuwa się kształt naszej kultury – w redakcjach wielkich mediów, kampusach uniwersyteckich, wytwórniach filmowych oraz w innych opiniotwórczych miejscach, które Jan Paweł II nazywał „nowymi areopagami".

Toczą się również tam, gdzie kształtowane jest prawo – na wielkich konferencjach międzynarodowych, posiedzeniach komisji parlamentarnych, w salach sądowych itd. Wiele ważnych rozstrzygnięć zapada również w kuluarach. Jaką rolę odgrywają wobec tego parady równości? Jakie jest ich znaczenie w toczącej się obecnie wojnie kulturowej?

AGRESJA SYMBOLICZNA

Przyjrzyjmy się niedawnemu marszowi środowisk LGBT pod Jasną Górą. W Częstochowie istnieje wiele miejsc, w których mogłoby się odbyć tego typu wydarzenie, a jednak organizatorzy wybrali najbliższe sąsiedztwo najważniejszego sanktuarium katolickiego w kraju. Dlaczego?

Odpowiedź jest prosta: chodziło o wtargnięcie w przestrzeń symboliczną wroga. To było jawne rzucenie wyzwania, wysłanie czytelnego komunikatu: wypowiadamy wam wojnę. Innymi słowy: akt agresji symbolicznej.

W dawnych armiach istnieli tzw. harcownicy. Byli to pojedynczy jeźdźcy wysunięci przed szyk wojska, nękający przeciwnika napadami i staczający utarczki z jego żołnierzami. Ich zadaniem nie było wygrywanie bitew, lecz prowokowanie. Mieli demonstrować wobec wroga pewność siebie, pogardę i bezkarność. Podczas oblężeń zamków podjeżdżali blisko pod mury i manifestacyjnie obrażali obrońców, zapowiadając buńczucznie rychłe zdobycie twierdzy. Ich celem było wyprowadzenie z równowagi członków załogi oraz złamanie ich morale.

Taką właśnie funkcję harcowników pełnią dzisiejsze parady równości. Są one hałaśliwą i kolorową, lecz nieliczną forpocztą potężnej armii, zapowiadającą dopiero prawdziwe i mocne uderzenie.

Jedna z uczestniczek genderowej operacji w Częstochowie (nagrana przez ekipę TVP) stwierdziła wprost: „Trzeba zdobyć Jasną Górę i tym razem nam się uda". Takie rzeczy nie rozstrzygają się oczywiście za sprawą jednej akcji. Działaczka formułowała jednak cel, jaki stawia przed sobą jej środowisko. Robiła to w sposób podobny jak dawni harcownicy – stojąc pod murami fortecy, zapowiadała jej niechybne zdobycie.

Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, że w języku symbolicznym zdobycie Jasnej Góry oznacza zniszczenie polskiego katolicyzmu. Niech nie zmylą nas harce harcowników. Taka jest stawka tej walki. Toczy się ona na wielu frontach, a jednym z najważniejszych jest język.

SEMANTYCZNA REWOLUCJA

Już Konfucjusz mówił, że chcąc zmienić świat, najpierw trzeba zmienić język. Dlatego że tak, jak mówimy, tak myślimy, a jak myślimy, tak robimy.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Marek Barczyński/East News

Poprzez narzucenie odpowiedniej siatki pojęć jesteśmy w stanie wymusić pożądane przez nas działanie. Nim wybuchła rewolucja francuska, filozofowie oświecenia stworzyli encyklopedię, która na nowo opisała świat. Stworzyli podwaliny pod wielką zmianę.

Zwolennicy dzisiejszej rewolucji kulturowej także dokonują operacji na języku, by przez zmianę myślenia zmienić rzeczywistość. W tym celu przedefiniowują obowiązujące dotychczas i obecne w obiegu publicznym pojęcia, nadając im zupełnie nowy sens. Przykładem może być słowo tolerancja, pochodzące od łacińskiego „tolerare", które oznaczało „znosić", „cierpieć", „wytrzymywać". Tolerować jakieś zjawisko znaczyło nie zgadzać się z nim, ale powstrzymywać się od zwalczania go siłą. Dziś termin zmienił swe pierwotne znaczenie i jest rozumiany jako „życzliwa akceptacja". Za zmianą definicji kryje się zmiana nie tylko postawy, lecz także sposobu myślenia.

Innym zabiegiem rewolucji semantycznej jest wprowadzanie do obiegu nowych słów, takich jak np. homofobia. Wymyślił je amerykański psycholog George Weinberg, współpracujący z organizacją Gay Activists Alliance. Pod pojęciem tym rozumiał on „irracjonalny lęk przed okazywaniem miłości osobie tej samej płci". W świetle tej definicji każdy wyraz niechęci wobec homoseksualizmu uznawany jest za fobię, czyli chorobę. Sam Weinberg mówił wręcz: „Nigdy nie uznam pacjenta za zdrowego, o ile nie przezwycięży on swoich uprzedzeń do homoseksualizmu". Temu właśnie, czyli przezwyciężeniu owych uprzedzeń, ma służyć wprowadzenie słowa homofobia.

Jest to pojęcie tak nieostre i szerokie, że można pod nie podciągnąć dowolne zachowanie czy wypowiedź. Za homofobiczne uważa się więc np. cytowanie fragmentów Biblii, przytaczanie danych statystycznych wskazujących na nadreprezentację homoseksualistów wśród sprawców czynów pedofilskich czy twierdzenie, że dziecko dla swego prawidłowego rozwoju powinno mieć ojca i matkę. Z tego powodu w niektórych krajach w oficjalnej terminologii zamieniono np. pojęcia „ojciec" i „matka" na „rodzic A" i „rodzic B".

MITY POLITYCZNE

Zmiana samych słów nie wystarczy jednak, by zmienić myślenie. Wyrazy muszą się pojawiać bowiem w szerszych kontekstach, a zwłaszcza w określonych konstrukcjach myślowych. W tym celu tworzy się tzw. mity polityczne, które pierwszy opisał niemiecki filozof Ernst Cassirer (1874–1945). Według niego mity polityczne stały się w XX stuleciu najpotężniejszą bronią masowego rażenia, fabrykowaną w sposób równie przemyślany jak czołgi, bombowce czy karabiny. Ich skuteczność polega na tym, że wprowadzone do świadomości społecznej potrafią zmienić światopogląd ludzi. W efekcie można wymuszać na masach określone zachowania, nie używając siły fizycznej, a jedynie operując w przestrzeni symbolicznej.

Dlaczego tak się dzieje? Zdaniem Cassirera, wynika to z tego, że człowiek jest jedynym stworzeniem zdolnym do myślenia abstrakcyjnego, co odróżnia go od zwierząt. Wyrazem tego są m.in. język, mit, sztuka, nauka czy religia. Zarazem myślenie abstrakcyjne przejawia się poprzez symbole. To za ich pomocą człowiek pośrednio analizuje świat zewnętrzny. Poprzez kontrolę nad symbolami można więc wpływać nie tylko na ludzkie zachowania, lecz także na świadomość.

Niemiecki filozof zauważał, że „wielkimi masami ludzkimi o wiele łatwiej kierować jest za pomocą siły wyobrażeń niż tępej siły fizycznej". O skuteczności mitów politycznych pisał: „Zwykłe metody stosowania przemocy politycznej nie są w stanie dać takich efektów. Nawet pod najmocniejszą presją polityczną ludzie nie przestają bowiem żyć prywatnym życiem. Zawsze pozostaje sfera wolności osobistej, przeciwstawiająca się takiemu naciskowi. Współczesne mity polityczne niszczą jednak podobne wartości".

Rosyjski pułkownik Władimir Lisiczkin w podręczniku psychologii wojskowej, odwołując się do myśli Cassirera, pisał: „Zasadnicze znaczenie ma to, że człowiek nie staje już naprzeciw rzeczywistości bezpośrednio, nie styka się z nią twarzą w twarz. Rzeczywistość fizyczna jakby oddala się w miarę tego, jak wzrasta aktywność symboliczna człowieka, a czym bardziej ona narasta,

eprasa.pl 74b7eeeab6

tym łatwiej poprzez symbole kierować i manipulować ludźmi. Wynika z tego zastanawiający paradoks – otóż najbardziej podatną na manipulację częścią społeczeństwa jest inteligencja, myśląca uogólniającymi, złożonymi symbolami. W znacznej mierze dotyczy to ludzi wykształconych z wielkich miast".

Lisiczkin dodawał: „Nasz proces poznawania jest dziś zapośredniczony, w dużej mierze jest on oderwany bezpośrednio od rzeczywistości. Symbole jak gdyby podmieniają życiową treść. Zmienia się sytuacja, ale symbole pozostają w świadomości. Może być to wykorzystane w wielu metodach oddziaływania, np. gdy w stare, stałe symbole wkłada się nową treść i z tą nową treścią wchodzą one bez przeszkód w świadomość ludzi. […] Istotą działania jest maksymalne wykorzystanie istniejącej już siatki pojęć i symboli. Chodzi nie o zamianę starych symboli na nowe, ale o zamianę ich wewnętrznego sensu, zamianę znaczenia pojęć. […] W efekcie system pojęciowy pozostaje niby ten sam, ty sam jakbyś także się nie zmienił, myślisz za pomocą tych samych symboli jak do tej pory, ale znajdujesz się już we władzy sił zewnętrznych, twój wróg jakby siedzi już w tobie samym. Mówiąc językiem religii, wcielił się w ciebie diabeł, który zmienił wewnętrzną istotę twoich pojęć".

Tak właśnie działają mity polityczne, ideologia gender jest zaś jednym z nich. Jej skuteczność polega na tym, że nie ogranicza się ona do myśli, lecz także do uczuć.

WOJNA IKON

Swego czasu publicyści w Polsce rozpisywali się o nieprzeciętnym talencie politycznym Donalda Tuska, który posiadł niezwykłą umiejętność „zarządzania emocjami". Mało kto zwracał jednak uwagę na zastanawiający paradoks tkwiący w tym określeniu. Otóż emocje są czymś „moim", bardzo osobistym, głęboko wewnętrznym, przynależnym do sfery „ja". Okazuje się jednak, że można nimi zarządzać, a więc ukierunkowywać, regulować, kontrolować. Innymi słowy: manipulować.

Jest to szczególnie możliwe dzięki oddziaływaniu na sferę afektywną człowieka. Przestrzeń symboliczna zakłada bowiem odwoływanie się nie tylko do myślenia abstrakcyjnego, lecz także do uczuć. Na te ostatnie łatwiej jest wpływać poprzez symbole, znaki, alegorie, metafory, a zwłaszcza obrazy. Nieprzypadkowo Marshall McLuhan mówił, że współczesna walka o świadomość odbiorców to „wojna ikon".

> Jedna z uczestniczek genderowej operacji w Częstochowie stwierdziła wprost: „Trzeba zdobyć Jasną Górę i tym razem nam się uda". Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, że w języku symbolicznym zdobycie Jasnej Góry oznacza zniszczenie polskiego katolicyzmu

Do tego właśnie nawiązuje ideologia gender, która dokonuje wrogiego przejęcia symboli, czego najlepszym przykładem jest tęcza budząca pogodne emocje i mająca pozytywne konotacje we wszystkich cywilizacjach świata, zaś w judaizmie i chrześcijaństwie oznaczająca znak przymierza Boga z ludzkością. Użyta przez ruch LGBT staje się jednak, jak mawiał Alain Besançon, „perversa imitatio", czyli przewrotną imitacją.

Tęcza będąca w Księdze Rodzaju znakiem przymierza noahickiego składa się z siedmiu kolorów symbolizujących siedem przykazań, jakie Bóg dał ludzkości po potopie. Wśród nich znajduje się m.in. zakaz niemoralnych stosunków seksualnych. Ze Starego Testamentu wynika zaś, że najbardziej godnymi potępiania były akty homoseksualne. Biblia określa je słowem „toevah", czyli obrzydliwością w oczach Boga. W Piśmie Świętym jest to określenie zarezerwowane dla czynów budzących największą odrazę.

Prof. David E. Greenberg, wielki sympatyk ruchu gejowskiego, autor fundamentalnej książki „The Construction of Homosexuality", badacz daleki od jakiejkolwiek religijności, pisał: „Kiedy słowo »toevah« (obrzydliwość) pojawia się w hebrajskiej Biblii, niekiedy użyte jest wobec bałwochwalstwa, prostytucji kultowej, magii, wróżbiarstwa, a czasami w bardziej ogólny sposób. Zawsze przekazuje ogromną odrazę. Co więcej, Biblia wymienia homoseksualizm razem ze składaniem ofiar z dzieci pomiędzy obrzydliwościami na ziemiach, które mają być podbite przez Żydów. Obie wymienione rzeczy oczywiście nie są moralnie równoważne, ale obie charakteryzowały moralnie prymitywny świat, który judaizm postanowił zniszczyć. Obie charakteryzowały sposób życia, który był przeciwieństwem tego, czego Bóg domagał się od Żydów (a nawet od nie-Żydów, ponieważ homoseksualizm znajduje się pomiędzy przestępstwami seksualnymi, zakazanymi przez jedno z »siedmiu praw dzieci Noego«, których według judaizmu wszyscy ludzie muszą przestrzegać). Wreszcie Biblia dodaje szczególną groźbę dla Żydów, jeżeli zaczną oni uprawiać homoseksualizm i inne przestępstwa Kananejczyków: »Będziecie zwymiotowani z tej ziemi«, tak jak nie-Żydzi, którzy praktykowali te czynności byli zwymiotowani (wyrzuceni) z tej ziemi".

W swym studium historycznym Greenberg pisze, że homoseksualizm nie był potępiany ani represjonowany w żadnej cywilizacji, kulturze ani religii, dopóki nie pojawił się judaizm. Dopiero objawienie biblijne pierwsze na świecie przyniosło bezwzględne moralne odrzucenie stosunków jednopłciowych jako złych samych w sobie. Siedmiokolorowa tęcza była znakiem tego właśnie odrzucenia i potępienia.

Dziś zmodyfikowana, sześciobarwna tęcza staje się symbolem czegoś odwrotnego – afirmacji homoseksualizmu oraz innych perwersji seksualnych. Taki też przekaz wprowadzają w przestrzeń publiczną kolorowi harcownicy podczas marszów równości.

45/0419/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna



#ZMIENIAMYDWORCE

NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

Około 200 nowych

lub zmodernizowanych dworców w całej Polsce

do 2023 roku

eprasa.pl 74b7eeeab6

Ja tylko pilnuję państwowej gęsi

Jeśli znów wejdziemy do koalicji z radykalną lewicą, to będzie to początek końca PSL. Wtedy nie będzie to już moja drużyna – mówi Eugeniusz Kłopotek, poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Łatwiej jest przy gęsiach czy w Sejmie?

Eugeniusz Kłopotek: Powiem tak: tutaj przy gęsiach przynajmniej człowiek widzi konkret. Pewnie, noga może się powinąć, aura nie sprzyjać, ale wiem, na czym siedzę, czym zarządzam i biorę odpowiedzialność na siebie. A w Sejmie...? Tak naprawdę takim zarządzającym jest tam prezes Jarosław Kaczyński. Nie porównuję się, bo on zarządza dużą partią i dużym państwem, a ja zakładem w Kołudzie Wielkiej...

I jest pan tam takim prezesem od gęsi. A w zasadzie doktorem. Pamięta pan jeszcze tytuł doktoratu?

Wpływ postaci fizycznej ziarna owsa na efekty produkcyjne, strawność i jakość tuszek gęsi białych kołudzkich.

Rany boskie, o co chodzi?

Gęś owsiana w ostatnich trzech tygodniach tuczu jest żywiona ziarnem owsa. Skubie sobie tego ziarnka, ile chce, do tego pije wodę.



I pan to obserwował przy swoim doktoracie? Świetna praca.

Proszę poczekać. Nikt do tej pory – od 50 lat – nie sprawdził, jaka forma fizyczna owsa jest najlepsza: ziarno całe, gniecione czy pokruszone (śrutowane).

To jakaś różnica?

Okazuje się, że tak! Ze względu ekonomicznego – biorąc pod uwagę zużycie owsa – najbardziej opłacalne jest pełne ziarno. Ale ze względów jakościowych – śrutowane.

Bardzo ważne jest, ile z tego ziarna owsa gęś wyssie do swojego organizmu, jeśli chodzi o białko i aminokwasy. I okazuje się, że gęś najskuteczniej wysysa aminokwasy z tego ziarna śrutowanego. Przy takim pokruszonym ziarnie jest największy dostęp enzymów. Niech mi pan wierzy, zrobiłem też dodatkowe badanie – w jakim czasie przez przewód pokarmowy gąski przepływa dana forma ziarna, od dzioba aż do... steku, kloaki.

Matko...

Przy pełnym ziarnie czekamy aż 130 min, a przy śrutowanym, gdzie i tak najlepiej aminokwasy zostały przyswojone, tylko 55 min!

Czy nasz czytelnik dostrzeże różnicę przy stole?

Jeśli spojrzymy na jakość, to ziarno śrutowane jest najlepsze, ale wtedy produkcja będzie droższa.

Pan o tych gęsiach mówi z większym przejęciem niż o polityce. Skąd się to wzięło?

Jestem z wykształcenia zootechnikiem. Pracę magisterską robiłem z trzody chlewnej, później pracowałem w PGR Wojnowo. W pewnym momencie został ogłoszony konkurs na dyrektora zakładu doświadczalnego w Kołudzie Wielkiej. To był koniec roku 2005. Kandydatów było kilku, do etapu ustnego przeszło dwóch – w tym ja. Prof. Krupiński, ówczesny dyrektor Instytutu Zootechniki w Krakowie, postawił na mnie.

Czyli to nie są pana gęsi?

To gęsi państwowe. Gdy w 2012 r. przerwałem mój bezpłatny urlop i wróciłem do pracy w zakładzie, rezygnując z funkcji posła zawodowego, niektórzy z dziennikarzy zarzucali mi, że promuję własne gęsi. A to gęsi państwowe i ja tylko ich pilnuję.

eprasa.pl 74b7eeeab6

A ile ich pan ma?
Gdyby pan przyszedł i policzył jutro, to ponad 10 tys. Ale roczna produkcja dochodzi do 350 tys. piskląt, przy czym od razu mówię, że jesteśmy jedyną hodowlą gęsi kołudzkiej. Sprzedajemy głównie pisklęta – samce i samiczki – jako przyszłych rodziców następnych pokoleń.

> Widziałem w polityce wiele przez te 20 lat, moja wyobraźnia bardzo się poszerzyła, ale moja ufność jest coraz mniejsza

Boję się pytać, ale czy ta gęś kołudzka to jakiś specjalny rodzaj gęsi?
To gęś biała kołudzka. Ona się wywodzi od gęsi włoskiej, sprowadzonej z Danii w 1962 r. przez ówczesnego dyrektora tego zakładu.

Proszę dać mi się wyśmiać. Wkręca mnie pan.
A skąd. Docent Bieliński sprowadził wtedy stadko gęsi włoskiej, wszystko można sprawdzić. Od tego zaczęła się hodowla – w wyniku prac naszych naukowców w 2012 r. minister rolnictwa uznał, że tamta gęś ma już tak udoskonalony genotyp, że można uznać ją za odrębną rasę gęsi.

Zaaklimatyzowała się? Czym się wyróżnia?
Tak jest. Ówczesna gęś włoska z lat 60. dawała w sezonie średnio 13 piskląt. Dzisiejsza gęś kołudzka daje w sezonie około 45 piskląt.

Może nafaszerowaliście czymś te gęsi, eksploatując je do granic możliwości.
Mamy opracowaną specjalną metodę chowu tej gęsi – również jej żywienia. Wszyscy nasi odbiorcy dostają od nas wytyczne i harmonogram. Gęś musi mieć pastwisko, i to spore: dlatego gdy są chętni do zakupu piskląt i chcieliby rozpocząć produkcję gęsiny, to zawsze pytam: „Ile ma pan łąki?". Do tego dochodzą pasza, odpady warzywnicze: kalafiory, kapusty, marchew, zioła. Jeśli ktoś przestrzega tych zasad, to gęsina jest smaczna – trzeba ją tylko odpowiednio przyrządzić i przyprawić, bo to trudniejsze niż zwykły kotlet.

Zazdroszczą panu w polityce tej pozycji prezesa polskich gęsi?
Powiem panu szczerze – to była jedna z najlepszych decyzji, gdy przerwałem zawodowstwo poselskie i wróciłem do zawodu. Odzyskuję tutaj psychiczną równowagę po pobycie w Warszawie.

Co to znaczy?
Może się pan domyślić... [śmiech]. Jak wjeżdżam do Warszawy, wchodzę na Wiejskiej do Sejmu i widzę, co się tam dzieje, to zaczynam tracić motywację, by tam siedzieć. W kolejnych wyborach do Sejmu w październiku nie wystartuję, choć pewnie nazwisko Kłopotek na listach się pojawi.

Małżonka?
Jeśli się zgodzi pomóc Stronnictwu, to tak.

Ale mówił pan: trzeba się bić o PSL do końca, wszystkie ręce na pokład. A teraz dezercja.
Do Sejmu nie wystartuję, ale jeśli będzie taka potrzeba i wola kierownictwa, to do Senatu będę kandydował.

A jaka to różnica?
Trzeba dać szansę młodszym, bo aż się palą, by w końcu zająć moje miejsce. Biorąc pod uwagę, że jestem w stateczny wieku, a Senat to podobno izba refleksji, pasowałbym tam bardziej.

Będzie komu wejść do Sejmu z koniczynką w klapie?
Jesteśmy w przededniu podjęcia jednej z najważniejszych decyzji po 1989 r. Ścierają się dwie opcje, jak pan wie. Przed wyborami do PE wygrała opcja wejścia do Koalicji Europejskiej. Tylko ośmiu było nas w radzie naczelnej przeciw.

A dziś?
Jestem przekonany, że wahadełko z lewej strony podnosi się do góry. Rodzi się tylko pytanie: czy przechyli się na prawo, czy jednak nie da rady. Mamy dwa warianty – albo idziemy jako PSL, otwarci na inne osoby, albo wchodzimy do koalicji z Platformą.

A może i szerzej.
No tak. O ile jeszcze dopuszczam jako alternatywę pójście tylko z Platformą, o tyle nie dopuszczam powtórki pójścia z lewicą, a szczególnie radykalną. W ostatniej kampanii spowiadaliśmy się nie z własnych grzechów – musieliśmy się tłumaczyć za LGBT, za Jażdżewskiego, a przy tym rozmywaliśmy swoją tożsamość. Nie ma co kryć. Decyzja jest trudna, ale jestem przekonany na sto procent – jeśli cała pierwsza peeselowska liga da swoje nazwiska na listy wyborcze, to z progiem nie będzie problemu.

Nie chcą dać nazwisk?
Szczerze mówiąc, najbardziej oporni są samorządowcy – wójtowie, burmistrzowie, starostowie. Zaczynają się wymigiwać. Trochę będzie trzeba niektórych postawić do pionu. Albo jesteś ludowcem i pomagasz, albo łaski nie robisz.

Jeśli jednak wahadełko nie odbije?
Platforma chce iść szeroko, wziąć do siebie SLD, nie wiem, co z Wiosną, bo Biedroń ich wykiwał i oszukał, ale nie moja to sprawa. Dla nas wtedy jest dylemat...

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Andrzej Wiktor

Wzdycha pan głęboko.

Wzdycham. Trzeba powiedzieć sobie jasno: wóz albo przewóz, ale pod własnym zielonym sztandarem.

A może to inne PSL niż 10 lat temu? Może warunki są takie, że mamy dwa duże bloki i trzeba walczyć o to, co się da, a nie machać szabelką.

Gdyby lewica przejrzała na oczy i stworzyła własny blok wyborczy, a my poszlibyśmy razem z Platformą, to mielibyśmy naturalny wybór między trzema listami (oczywiście jest jeszcze PiS). Wtedy wszyscy wchodzą do Sejmu i być może trzeba będzie się znaleźć programowo.

Natomiast jeśli znów wejdziemy do koalicji z radykalną lewicą, to będzie to początek końca PSL. Ludzie staną się wygodniejsi, zobaczą, że nie trzeba tylu kandydatów, jakieś mandaty będą... Ale wtedy nie będzie to już moja drużyna.

A może trzeba się dogadać z PiS? Wyborcy podobni, programy podobne.

Mogę odpowiedzieć za siebie. Kiedy PiS wygrało wybory w roku 2015, zaczął się bezpardonowy atak na PSL. Wyrugowano nas z ważnych organów sejmowych, mało tego – trudno zapomnieć nawoływania Beaty Mazurek o potrzebie „wyeliminowania PSL z życia publicznego".

E tam, takie gadki kampanijne.

Wiem. Mam częsty kontakt z kolegami z PiS. W kwestiach światopoglądowych nie jest nam daleko do siebie, w kwestiach gospodarczych też. My nieraz dobre propozycje PiS popieraliśmy i popieramy. Ale jak uwierzyć w szczerość takiego partnera? Widziałem w polityce wiele przez te 20 lat, moja wyobraźnia bardzo się poszerzyła, ale moja ufność jest coraz mniejsza.

Skoro o eliminacji ludowców mowa: nie było próby wykoszenia pana z nadzoru tych gęsi? Skoro to państwowe gęsi, to co robi tam peeselowiec w czasach PiS?

Powiem tak: w każdej chwili mogłem i mogę być odwołany. Ale do tej pory – muszę powiedzieć uczciwie – nie było takiej próby, nigdy nie spotkałem się też ze strony kolegów z PiS z sugestią: musisz iść z nami, jeśli chcesz być dyrektorem.

Widzi pan, co to za eliminacja.

Zakład przynosi zysk każdego roku, przez lata mojego urzędowania sporo zmieniło się na plus. Zapraszam i pana, i czytelników „Sieci" do Kołudy Wielkiej, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Przyznam jednak, że moi koledzy w PSL mieli do mnie pretensje, że gdy były kolejne wota nieufności wobec Jurgiela i Ardanowskiego, nigdy się nie podpisałem pod takim wnioskiem ani nie głosowałem. Pośrednio minister rolnictwa jest moim przełożonym (bezpośrednim dyrektor z Krakowa). Należę do ludzi honorowych; jeśli miałbym głosować za rezygnacją mojego przełożonego, to sam musiałbym zrezygnować z funkcji dyrektora. A inna rzecz, że minister Ardanowski podjął kilka dobrych decyzji, które usprawniły moje zakłady. Jak ja mam podnieść rękę przeciw czemuś, co z mojego punktu widzenia było dobre?

Ruki pa szwam i głosować, jak trzeba.

Wiem, dlatego czuję, że coraz mniej pasuję. Ale czasem honor jest ważniejszy.

70/0419/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

95 lat



Od 95 lat wspieramy rozwój Polski i Polaków

Nasze działania wspierają rozwój firm, poprawiają życie mieszkańców kraju. Pomagamy tworzyć funkcjonalne miasta, odnawiać kultowe miejsca, dbamy o lokalne społeczności. Finansujemy budowę dróg, sieci energetycznych, mieszkań. Uczestniczymy w inwestycjach strategicznych dla przyszłości Polski. Budujemy partnerską współpracę biznesu, sektora publicznego i finansowego.

PAŃSTWOWY BANK ROZWOJU

BGK LINIA 801 598 888 BGK.PL

eprasa.pl 74b7eeeab6

KONKURS
Polska, moja Ojczyzna
rozstrzygnięty!

MAMY ZWYCIĘZCÓW!

Zakończyła się siódma edycja konkursu plastycznego dla dzieci. Jak co roku zachęciliśmy dzieci i rodziców do osobistego odczytania hasła „Polska, moja Ojczyzna". Dziękujemy Wam, że tak pięknie odpowiedzieliście na ten apel.

Dziękujemy naszym partnerom: Biuru Turystyki Aktywnej Kompas i obiektowi hotelowemu Kaiserhof – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej – fundatorom wyjazdów, firmie Turnado, która ufundowała gokarty elektryczne dla dzieci od 6 lat do 60 kg, fundatorowi krzeseł Cybex Lemo, które dzięki regulowanym elementom rosną wraz z dzieckiem, Grannie za zestawy gier dla całej rodziny, wydawnictwom: Skrzat, Prószyński i S-ka oraz Wydawnictwu Świętego Filipa Apostoła za książki, Fundacji Niepodległości za komiksy i Pszczółce za słodkie upominki. Dziękujemy również: PZU – partnerowi strategicznemu konkursu, i PKP – partnerowi.

Przypominamy, że każdy uczestnik wraz z nagrodą dostanie **dyplom z gratulacjami** od redaktora naczelnego tygodnika **„Sieci"**, Jacka Karnowskiego.



Zapraszamy za rok!

5-9 lat



<<
Emilia Wojteczek 8 lat
voucher o wartości 400 zł brutto na zakupy odzieży, butów i dodatków



Helena Kramer 9 lat **>>**
voucher o wartości 400 zł brutto
na zakupy odzieży, butów i dodatków



<<
Jan Głowala 5 lat
Krzesło Cybex Lemo o wartości 769 zł
rosnące z dzieckiem

Magda Żychoń 9 lat
Kacper Pasiuk 7 lat
Dawid Niewiński 9 lat
vouchery o wartości 400 zł brutto na zakupy odzieży, butów i dodatków
>>



>>
Maksym Repczuk 7 lat
krzesło Cybex Lemo o wartości 769 zł
rosnące z dzieckiem





<<
Marta Balicka, Zasutowo
Na liście nagrodzonych błędnie podaliśmy nazwę miejscowości, a ponieważ Marta jest dumna z Zasutowa, chętnie się poprawiamy :)





Zgodni w swoim wyborze: Romuald Orzeł – prezes Grupy Medialnej Fratria, i Dorota Macieja – członek zarządu PZU Życie SA



Jury w poszukiwaniu najpiękniejszych prac: Marzena Nykiel – redaktor naczelna portalu wPolityce.pl, Justyna Kruszewska – dyrektor marketingu, i Romuald Orzeł – prezes zarządu Grupy Medialnej Fratria, Marcin Przyłębski – dyrektor ds. wizerunku w Biurze Komunikacji Korporacyjnej PZU, Henryk Uzdrowski – członek zarządu Grupy Medialnej Fratria

10-16 lat



Zuzanna Wilk
14 lat
voucher o wartości 400 zł brutto
na zakupy odzieży, butów i dodatków
>>







^^ Antonina Dybowska
12 lat
voucher o wartości 400 zł brutto
na zakupy odzieży, butów i dodatków
>>

Weronika Nowakowska 11 lat
voucher o wartości 400 zł brutto
na zakupy odzieży, butów i dodatków

PARTNER STRATEGICZNY: PZU

SŁODKI PARTNER: Pszczółka od 1952

PARTNER INSTYTUCJONALNY: Fundacja Niepodległości

PARTNERZY:

cybex · GRANNA · KAISERHOF -Cesarski Dwór- · KOMPAS obozy i kolonie od 1998r · PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna

Prószyński i S-ka · Skrzat · TURNADO · Wydawnictwo Świętego Filipa Apostoła · Wydawnictwo Sfinks Popularnonaukowe

eprasa.pl 74b7eeeab6

Co PO zrobiła w Unii dla Polski? Nic



Obciążenie Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego tym, że wybłagały, by Komisja Europejska uruchomiła wobec Polski art. 7 traktatu o UE, jest tak duże, że ich potencjał jest teraz wręcz ujemny. Nie mają już czym „płacić" innym za przychylenie się do ich postulatów

Z Jackiem Saryuszem-Wolskim, europosłem PiS, rozmawia Edyta Hołdyńska

Jarosław Kaczyński po wyborach spotkał się z europarlamentarzystami w siedzibie PiS. Co powiedział? O co PiS zawalczy w Brukseli?

Jacek Saryusz-Wolski: Przesłanie jest następujące: jedziemy do Parlamentu Europejskiego do ciężkiej pracy. I owoce tej pracy winny się przełożyć na dobre rozstrzygnięcia w Unii dla Polski i polskich reform w polityce krajowej.

Politycy PiS nie będą na listach euroleserów w tabloidach? Obecność na wszystkich sesjach w PE jest wymagana?

I obecność, i praca w zależności od specjalizacji europosła wymaga dwóch–trzech asystentów, pięciu–siedmiu komputerów. To jest spore biuro. Na ogół jest się członkiem jednej komisji, zastępcą czy członkiem w drugiej, czasem trzeciej. To praca nad tekstami legislacyjnymi, posiedzenia formalne, zebrania i lobbowanie. Nasza praca to nie tylko podnoszenie ręki przy głosowaniu, to jest jedynie finał całego procesu politycznego.

Przekonywać do swoich racji trzeba także poza salą plenarną?

Głównie w kuluarach, ale zdarzało mi się zabiegać o jakąś sprawę, biegając między rzędami na sali plenarnej, nawet w czasie głosowania, by uzyskać poparcie czy podpisy. Spotykamy się w różnych konstelacjach po to, by pozyskać zwolenników dla naszej sprawy.

To osiągalne bardziej dla nowych, młodych europosłów, np. dla Patryka Jakiego, czy może bardziej dla doświadczonych polityków, jak Włodzimierz Cimoszewicz?

Patryk Jaki jest wulkanem energii. W Brukseli spodziewam się tego pozytywnych efektów. Odmawiam jednak dalszej rozmowy o personaliach. Odpowiem ogólnie. Ludzie, którzy jadą tam tylko dla prestiżu albo dla apanaży, pewnie się zawiodą. Jeśli ktoś jedzie z poczuciem misji i w służbie ważnych polskich i europejskich interesów, to będzie dobrze.

Jest pan w Parlamencie Europejskim od początku członkostwa Polski w UE. Co pomaga w dobrej współpracy? Co poradziłby pan nowym europosłom?

Trzy rady, bardzo proste: praca, praca i jeszcze raz praca. Do tego dodałbym kompetencje i umiejętność dyplomatycznej komunikacji. Jesteśmy tam ambasadorami Polski.

Dużo mówi się o potrzebie znajomości języka angielskiego. I o tym, jak wielu naszych parlamentarzystów ma z tym problem.

O znajomości języka w ogóle nie mówię, z domniemaniem, że ona jest. A jeśli nie, to trzeba się bardzo szybko uczyć, co jest wykonalne. I to nie tylko

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Andrzej Wiktor

angielskiego. Przydatne są wszystkie, w tym trzy języki robocze Unii: angielski, francuski i niemiecki, także włoski i hiszpański. Dobrze jest umieć przemawiać w danym języku i pisać teksty legislacyjne. Poza tym sam język to nie wszystko. Ważna jest także znajomość kontekstu kulturowego. Ale najważniejsza jest motywacja.

Co, jeśli europoseł, a są przecież tacy, języków po prostu nie zna?

Jeśli będzie miał dobrych asystentów, to na początku mu pomogą. Są kursy językowe, bardzo intensywne. Można się uczyć nawet codziennie. Pamiętajmy też, że instytucje UE wyrosły na kulturze francuskiej. Duża część obszarów administracji posługuje się francuskim, a nie angielskim. Dopiero kiedy przyszli Skandynawowie i Brytyjczycy, angielskiego zaczęło być więcej. Administracja to kopia francuskiej biurokracji. Niemiecki przyjął się w mniejszym stopniu.

Nowi szybko się uczą?

Ucząc się intensywnie, szybko można wejść w buty europarlamentarzysty. Uczyć się trzeba przez pierwszą kadencję, w drugiej rozwija się skrzydła. Osiąga się sukcesy legislacyjne. Nie przypadkiem delegacje krajów starej Europy, tej założycielskiej szóstki, miewały posłów, którzy spędzili tam prawie 40 lat, osiem kadencji. Najlepszy jest miks – nowi i starzy europosłowie. To daje jednocześnie ciągłość, doświadczenie i energię. Na to nie ma jednej recepty.

Co pan uważa za swój sukces w PE?

Mój parlamentarny sukces to powstanie jednej z instytucji PE – Zgromadzenia Parlamentarnego Partnerstwa Wschodniego. Zaproponowałem je i wywalczyłem. Zaistniało trzy lata przed Partnerstwem Wschodnim na poziomie rządowym w 2009 r. w Pradze. I trwa do dziś. Tam jest połowa posłów z PE i połowa z sześciu krajów wschodniego sąsiedztwa. Sukces widoczny, namacalny, to aleja między ciągiem budynków w PE, która na mój wniosek nosi dziś nazwę alei Solidarności. Prowadziłem też raporty w sprawie stowarzyszenia UE z Ukrainą. Jestem też ojcem pierwszego raportu na temat bezpieczeństwa energetycznego, już w 2007 r. Za tym poszły kolejne dyrektywy gazowe i to, co dziś dotyczy Nord Stream 2.

Ten raport nie odwrócił jeszcze na dobre polityki energetycznej ani w Polsce, ani w UE.

Był pionierski 12 lat temu. Potem powstała pierwsza dyrektywa gazowa, nad którą też pracowałem. Pozwoliła ona znieść zakaz reeksportu gazu i doprowadziła do negocjacji polsko-rosyjskich w obecności KE, które obniżyły polskie ceny gazu. Musieliśmy płacić za gaz i nie wolno nam było reeksportować jego nadwyżek. To było sprzeczne z prawem europejskim.

Pańska porażka w Parlamencie Europejskim?

Może nie porażką, ale niedokończonym bojem jest sprawa nierównego traktowania nowych krajów członkowskich w UE. To także kwestia stosowania podwójnych standardów wobec krajów, obywateli i konsumentów. Walka o emancypację Polski jest przed nami.

Dlaczego to się nie udało? Jaki jest odbiór tej sprawy u zachodnich europosłów, kiedy my podnosimy te kwestie?

To jest brutalna konfrontacja interesów. Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo brutalna. W obliczu wielkiej fali migracyjnej, kiedy proponowałem, żeby policzyć migrację z Południa razem z tą ze Wschodu i w ten sposób patrzeć na to, które państwo ponosi jaki ciężar, powiedziano: „Nie!”. Kiedy pytałem: „Dlaczego?”, odpowiadano: „Ponieważ my mamy większość”. Oni mają większość w głosowaniu i nie chcą uznać, że my przyjmujemy 2 mln imigrantów ze Wschodu. Gdy jesteśmy w mniejszości, można nas przegłosować. Ta walka jest tak samo brutalna jak w okopach w czasach wojny, tylko

eprasa.pl 74b7eeeab6

że nie ma karabinów. Są długopisy, komputery i głosowania. Ma formę przemocy instytucjonalnej, naginania prawa europejskiego i dzielenia na równych i równiejszych.

Nasze sprawy to także próba zablokowania Nord Stream 2. Dyskusja w tej sprawie jest, ale projekt pozostaje otwarty.

Zwyczajnie nie było woli politycznej, żeby go zatrzymać, tak jak zatrzymano South Stream. Instrument legislacyjny, który powstał, czyli dyrektywa gazowa 2, nie wystarcza. Nie zatrzymuje Nord Stream 2.

Jak odwrócić ten układ sił? Jak wygrać tę walkę o nasze interesy w PE? Jeśli poprzez koalicję, to z kim?

Najgorszy pomysł na stawianie czoła problemowi migracji, czyli obligatoryjne kwoty relokacyjne, udało się zablokować Grupie Wyszehradzkiej. Praca dyplomatyczna na poziomie międzynarodowym i zjednoczony front krajów naszego regionu pozwoliły na jego blokadę.

W innych sprawach to też się uda? Opozycja w Polsce mówi, że sama wygrana PiS w tych wyborach nie wystarczy, bo partia nie stworzy skutecznej, liczącej się w europarlamencie koalicji.

To nie jest tak. Skuteczności nie zawsze i niekoniecznie sprzyja wielkość frakcji, choć umniejszać tego nie można. Główną batalię w sprawie migracji rozegrały kraje Grupy Wyszehradzkiej na poziomie Rady i Parlamentu, ale także mając swoich europosłów w grupach liberalnej, ludowej i konserwatywnej. Cztery kraje wyszehradzkie w czterech grupach politycznych i udało się zawiązać sojusz. Opozycja ma rację w tym sensie, że Platforma Obywatelska jest w dużej frakcji, ale nie może w tej frakcji nic zrobić. Dlatego, że zaciągnęła tak duży dług na akcję „zagranica", przegrała sprawę Nord Stream 2, budżetu, ACTA 2, podwójnej jakości produktów, pracowników delegowanych. Można być w dużej frakcji i nie móc nic zrobić, jeśli zamiast walczyć o polskie sprawy, zwalcza się swój kraj.

A teraz, kiedy wiceszefem EPL będzie Ewa Kopacz?

Nie sądzę. Obciążenie PO i PSL tym, że wybłagały, by Komisja Europejska uruchomiła wobec Polski art. 7 traktatu o UE, jest tak duże, że ich potencjał jest teraz wręcz ujemny. Nie mają już czym „płacić" innym za przychylenie się do ich postulatów. Poza tym oni sami o nic nie zabiegają. Zabiegają tylko o to, żeby zniszczyć PiS. Cały swój potencjał w Brukseli wkładają w to, by odsunąć rządzących w Polsce od władzy. Nie starcza pary na nic innego. Zadali nam przez to wielkie straty gospodarcze, polityczne i wizerunkowe.

> Nacjonaliści, populiści to są wszystko złe, nieadekwatne i stygmatyzujące etykiety. Mogę udowodnić, że populistą i nacjonalistą jest Emmanuel Macron

Ale opozycja mówi: to PiS nie umie się porozumieć na arenie międzynarodowej, niszczy relacje ze strukturami unijnymi.

Bzdura. Jedyna metoda to sprawdzić fakty. Co dobrego załatwili dla Polski? Nic. Co popsuli: wiele, załatwili procedurę sankcyjną wobec Polski. Czy coś się udało PiS? Tak, zablokować przymusową relokację imigrantów. W sprawie ACTA 2 i podwójnej jakości produktów to PiS miało rację. A opozycja głosowała przeciwko polskim interesom.

To dlatego wystąpił pan z Platformy Obywatelskiej?

Zaprotestowałem przeciwko zdradzie polskich interesów przez Donalda Tuska i PO w postaci uruchomienia art. 7 traktatu o UE i domagania się sankcji wobec Polski. I używania Unii Europejskiej, by Polsce szkodzić. To była moja czerwona linia.

Jak widzi pan przyszłość Donalda Tuska? W strukturach europejskich, w polityce krajowej?

Kończy pełnienie swojej funkcji w listopadzie tego roku i w zasadzie dla odchodzącego przewodniczącego Rady Europejskiej nie ma wystarczająco wysokiej funkcji w UE, o którą mógłby się ubiegać. Traktat nie pozwala na trzeci mandat.

Czy możliwy jest udany powrót z polityki europejskiej do krajowej? Także w pańskim przypadku?

Polityka jest z natury dynamiczna, ale też wymaga specjalizacji. Moja to integracja europejska. Chcę się zajmować bezpieczeństwem energetycznym, polityką zagraniczną, zwłaszcza wschodnią, oraz sprawami ustrojowymi, które dotykają równego traktowania krajów i obywateli UE. Podwójne standardy dziś w UE są plagą. Komisja Europejska chce karać Włochy, a Francja jest uniewinniana. Chce karać Microsoft, a uniewinnia Gazprom. Polska i Węgry są stygmatyzowane, a Rumunia i Malta chronione przez Timmermansa. Wymiar sprawiedliwości w jednym kraju jest mierzony inną miarą niż w drugim. Bardzo upolityczniony system sprawiedliwości w Niemczech jest dozwolony, a w Polsce, gdzie daleko do tego poziomu upolitycznienia, jest poddany procedurze sankcyjnej – i to ma być OK? To patologia, którą trzeba się zająć w wymiarze prawnoustrojowym.

Nie rozważa pan powrotu do krajowej polityki?

Moi wyborcy powierzyli mi mandat do pracy dla Polski w UE.

To może osiągalny jest dla pana awans w strukturach unijnych?

Będę służył polskim sprawom w Europie tak, jak będzie to możliwe.

Czy spodziewa się pan dużej aktywności parlamentarzystów europej-

eprasa.pl 74b7eeeab6

skich w kampanii wyborczej w kraju jesienią?

Tak. Jest wręcz taka konieczność. Jest związek pomiędzy tym, co robią posłowie krajowi, a tym, co my robimy w Parlamencie Europejskim. 70 proc. ustawodawstwa, które obowiązuje w Polsce, jest tworzone w PE. Duża część przychodzi do Sejmu w postaci dyrektyw, czyli ustaw ramowych, które trzeba przełożyć na język polskich ustaw. Jest ścisłe powiązanie między strumieniem legislacyjnym w Sejmie i w PE. Jest też specjalna platforma współpracy z parlamentami krajów członkowskich, bo te same dokumenty przechodzą przez Brukselę, Warszawę i inne stolice UE. Jesteśmy jedną drużyną i musimy sobie wzajemnie pomagać.

Tak, ale jeżeli mówić o całej kadencji, to zapytany o opinię prezydent Andrzej Duda twierdzi, że równoczesna obecność parlamentarzysty w polityce unijnej i krajowej jest w zasadzie niemożliwa i udaje się nielicznym.

Naszą pierwotną i zasadniczą odpowiedzialnością jest pilnowanie polskich interesów w Brukseli. Natomiast to nie jest tak, że my wyjeżdżamy z kraju. Gdyby liczyć pełne zaangażowanie, to w tygodniu cztery dni spędza się tam i trzy tutaj. Stale jesteśmy na łączach i mamy pełen przepływ informacji. Mamy pełne skrzynki mailowe informacji z sejmowej komisji ds. Unii Europejskiej. Oba parlamenty to są naczynia połączone.

Czy partie eurosceptyczne są w stanie się z sobą porozumieć?

Kontestuję termin „eurosceptycy". Ci, którzy mówią Unii tak, ale chcą innej jej polityki niż obecna, nie są eurosceptykami. To jest po prostu opozycja na poziomie UE, która powinna być w każdym demokratycznym systemie i jest mu wręcz niezbędna dla równowagi.

To jest eurorealizm?

Nacjonaliści, populiści to są wszystko złe, nieadekwatne i stygmatyzujące etykiety. Mogę udowodnić, że populistą i nacjonalistą jest Emmanuel Macron. Jego propozycje protekcjonistyczne w dziedzinie przepływu usług, pracowników i polityki przemysłowej są populistyczno-nacjonalistyczne. A wszyscy uważają, że jest „europejski", bo wygłosił siedem bardzo euroentuzjastycznych przemówień i piętnuje innych za „nieeuropejskość".



Fot. Andrzej Wiktor

To z kim PiS będzie współpracowało?

Współpracować możemy ze wszystkimi, którzy afirmują Unię, natomiast są krytyczni wobec jej obecnego kursu politycznego i domagają się zmian. To tak, jakby w Polsce opozycję nazwać antypolską. Akurat dziś bym się z tym sądem zgodził, ale w każdym innym kraju normalna opozycja ma po prostu inny pomysł na rządzenie. Są siły polityczne, które mają inny pomysł na Unię.

Czy należałoby się obawiać prorosyjskich sympatii w niektórych z tych sił politycznych?

Najwięcej prorosyjskości dostrzegam w partiach SPD i CDU. To ci, którzy budują wart 10 mld euro Nord Stream 2. Prawdziwa prorosyjskość to usta pełne Europy, a praktycznie strategiczny mariaż z Rosją, na dekady do przodu. Prorosyjskość werbalna to w porównaniu z tym zaledwie nieestetyczny, ale niewinny flirt.

Czy te wyniki wyborów są zadowalające, jeśli spojrzeć na prognozy przesunięcia sił w europarlamencie?

Przesunięcie w prawo jest wyraźne. Ale to nie będzie radykalna zmiana. Zmiana w sensie numerycznym jest nie dość duża. Proces zmian rozciągnie się na kolejną kadencję. Osłabienie głównego nurtu, tzn. grupy trzymającej władzę, gdzie jest dwóch koalicjantów, ludowcy i socjaliści, oznacza konieczność dokooptowania trzeciego, ewentualnie czwartego partnera. Kto to będzie, nie wiadomo. Może być z lewej strony, może być z prawej. Rozmowy są w toku.

eprasa.pl 74b7eeeab6



B jak Bojarska (Anna)

Dr Hanna Karp, medioznawca

Ponieważ żyjemy w kampanijnym przeciągu, dla oddechu wracam do spraw, które czekają. Bardzo mi brak tego rodzaju literatury, której niezawodnie dostarczała nam Anna Bojarska. Uznana za odważną i przewrotną pisarkę już w swojej debiutanckiej powieści „Agitka". Duże poruszenie wywołała książka „List otwarty do królowej Wiktorii" (W.A.B. 2001). Rzecz opisuje środowisko dziennikarskie, które pojawiło się w Polsce wraz ze zmianą systemu i rynkiem prasy bulwarowej – w powieści gazeta nazywa się „Chwila dla Debila". Autorka zastrzega, że choć bohaterka Toska jest postacią fikcyjną, to realia są prawdziwe. Kiedy prosiłam pisarkę o rozmowę, chciała, żeby jej tytuł brzmiał: „Na absolutnym indeksie". Tekst miał być głównie o Warszawie, ale wyszedł o wszystkim. Myślę, że warto go nareszcie ujawnić.

O DZIECIŃSTWIE

Jest moją TARĄ. Jak dla Scarlett O'Hary. Wszystko mi się zawaliło? Pojadę jutro do Tary. Nic mi już nie zostało! – Ależ skąd, masz jeszcze Tarę! Wprawdzie Tara już cudza i kto inny tam mieszka, i wszystko pozmieniane, i będziesz tam już tylko gościem, ale TO JEST MOJA TARA. Moje miejsce urodzenia, dzieciństwa, dorastania, dorosłości, wszystkiego. Szukałam cytatów, ale wszystkie książki mi się zwaliły, a tej akurat nie ma, pewnie któraś sprzątaczka ukradła, bo dla nich to taki superromans (ach, ten milioner z wąsikiem!), ale odkupię. WARSZAWA TO MOJA TARA. I już.

Nie, sprzątaczka nie ukradła. Już cytuję, chociaż przekład straszny. „Nie chcę o tym teraz myśleć [...]. Jutro – jutro pojadę do domu, do Tary... [...] Pomyślę o tym wszystkim jutro, w Tarze. Zniosę to wtedy lepiej". Tak jest.

Mój mąż zabiłby mnie, gdyby to przeczytał. Toż mój dom jest tu, w Paryżu! Z nim! Och, można żyć wszędzie, nawet miło – czasem – żyć, ale Tara to Tara. Pojadę do siebie, do domu, pozbieram się, wszystko przemyślę, wytrzymam. „Spokojne miejsce, gdzie można zaleczyć rany. Bezpieczna przystań, gdzie można obmyślić nową kampanię" (Scarlett). Tak to jest.

Powstanie warszawskie. Moi bliscy (mnie jeszcze nie było) brali w tym udział, biegali z meldunkami, przeprawiali się przez Wisłę, kiedy już mosty zbombardowano, łódką na Przyczółek Czerniakowski, te rzeczy. Czołganie się kanałami. Hugo! Jean Valjean! Potem obozy, najpierw Pruszków, oczywiście, potem różne koszmary, Ravensbrücki, Oświęcimie, inne okropności itp., a jeśli ktoś był młody i zdrowy i jeszcze miał dużo szczęścia, to trafiał do obozu pracy, i jeśli znów miał dużo szczęścia, to urwał się z ostatecznego transportu, przeżył i wrócił. Na ten stos gruzów. Gdzie już sprzedawano gorące pyzy i przewoźnicy wołali: „Na Pragieee", i mnie to ciągle wzrusza, nie wolno?!

O WARSZAWSKICH ZNAJOMOŚCIACH

Ależ ja w Warszawie jestem – od „Czego nauczył mnie August", takiej powieści, którą mi z kretesem zmarnowano, a tym bardziej od czasu „Sióstr B." – na absolutnym indeksie. Kiedy mnie zaproszono na opłatek do prezydenta Warszawy Kaczyńskiego, aż się popłakałam, słowo daję. Byłam w Paryżu, nie mogłam przyjechać, wysłałam siostrę i syna w zastępstwie z liścikiem do Pana Prezydenta. VIP, zastępujący prezydenta, powiedział, że jestem jego ulubioną pisarką. Powstrzymałam się przed wysłaniem tekstu typu: „Bracie K., ja za Brata chętnie życie oddam! I za drugiego Brata też! Proszę mi tylko wydać polecenia, zrobię WSZYSTKO!".

eprasa.pl 74b7eeeab6

O PRADZE, PARYŻU I WŁADZY

Stara Warszawa, jedyna prawdziwa, którą gardzą różni przyjezdni z Wólki Małej, bo słyszeli, że to gorsza dzielnica. Może kiedyś. Jedyna, która ocalała. Jedyny kawałek Warszawy, który ocalał. Sartre i Simone de Beauvoir patrzyli kiedyś ze zgrozą na to gigantyczne warszawskie blokowisko, zbudowane przez debili po wojnie, aż trafili na Pragę i odetchnęli: tu było jak w Paryżu! Zgadza się. Tu jest jak w Paryżu. Jakoś prawdziwie. Chociaż, do diabła, gdyby naszej secesyjnej kamienicy, wpisanej do rejestru zabytków, nie obtłukli ze wszystkich stiuków i ozdóbek (był kiedyś remont kapitalny, a łatwiej malować coś płaskiego i gładkiego), gdyby nie ukradli podwójnych dębowych drzwi do willi prominentów, gdyby pozwolili z tych niewiarygodnych, cudownych kafli porobić kominki, gdyby troszkę podbetonowali balkony zamiast rozsyłać okólnik, że na balkony można wychodzić tylko na własną odpowiedzialność, bo pewnie się zaraz urwą, gdyby władze miasta odremontowały fasadę, zamiast stawiać daszek, na wieki wieczne, bo odpadający tynk (albo walący się balkon) mógłby zabić przechodnia... Cóż, władza – każda! – jest władzą, a my jej nienawidzimy, normalne.

O ZMIANACH

Zmiany? Cudowne! Ten nowy supermarket o dwa kroki od domu, gdzie wszystko można kupić w każdy dzień tygodnia! Ach, ten nowy most zbudowany pod Brooklyn Bridge i tak pięknie wieczorem na zielono podświetlony! I ta piekarenka tuż obok, i kiosk z prasą, i jakoś tak wszystko się odradza „na gruzach Berlina", i o taksówkę nietrudno, wystarczy zadzwonić (złapać taksówkę w Paryżu to wyczyn na miarę świętego Jerzego). Zresztą w Warszawie i tak siedzę w domu, pracuję, potem widzę moich Najdroższych i Najukochańszych (przepraszam, błąd, dzień zaczyna się zwykle od tego, że syn przynosi mi do łóżka kawę z mlekiem i sok pomarańczowy, moje normalne śniadanie), i trochę jestem sama (uwielbiam być sama!), a trochę z kimś, kogo kocham (cudownie być z kimś, kogo się kocha!), a wieczorem syn prosi, żeby usmażyć jajecznicę na pomidorach („Mateczko, nikt czegoś takiego nie potrafi, to jest cudo!"): ach, ta moja Tara!

O BYWANIU

Cóż, jestem tu U SIEBIE. Choć i w Paryżu zaczynam wreszcie być „u siebie". I tu, i tam ludzie traktują mnie jak „swoją". Rzucają mi się na szyję i szlochają, że życie im się zawaliło. (Rien ne va plus, Anna, rien ne va plus!). A w Warszawie wszyscy mnie poznają, wcale nie jako pisarkę itp., jako kogoś „stąd".

Gdzie „bywam" w Warszawie? W kawiarni Literacka, gdzie jest cudowna zaprzyjaźniona szatniarka (anioł po prostu) i kominek, i rozkoszne małe danka, i strasznie miło (chyba że przyjdzie mafia taksówkowa z naprzeciwka, i zacznie używać wyłącznie słów „powszechnie uznanych za obelżywe", w dodatku bardzo głośno – och, Giuliani, gdzie jesteś?). W teatrze? Na spektaklach Krysi Jandy. Chyba że gdzieś mnie nagle zaproszą. Ale nie zapraszają, wypadłam z obiegu.

O JEDZENIU

Schabowy z kapustą! Pieczeń wieprzowa (duszona) z kopytkami (nawet to przyrządzam, choć kopytka mogą być kupne, dobry domowy sos i tak je dosmaczy. W Paryżu kupuję włoskie gnocchi, w końcu to też kartoflane kluski, nadadzą się.). Flaki!!! Móżdżek po polsku! Zając w śmietanie z buraczkami! Pasztet z zająca (nie do zdobycia, ostatni raz to było pięć lat temu). Mam się przyznać? (Herezja.) NIENAWIDZĘ francuskiej kuchni! Kuchnia hiszpańska i włoska (ale we Włoszech) – super, francuskiej nie cierpię! Kogut w winie, oszaleli. I to zielsko dodawane do wszystkiego, jakby karmili króliki! Obsesja szpinaku! Nawet takie cudo jak homar potrafią podać na grubej warstwie szpinaku, żeby zupełnie smak zepsuć. To już wolę znienawidzoną powszechnie kuchnię angielską, naprawdę. W Paryżu wystarczy mi jeden croissant w południe, a drugi wieczorem. I coś do popicia.

O TYM, CO MOGŁO SIĘ ZDARZYĆ TYLKO W WARSZAWIE

Parę zakochań. Ale to mogło się zdarzyć wszędzie. Parę tragedii. Ale to mogło się zdarzyć wszędzie. Ach, przepraszam! Stan wojenny mnie tu spotkał. Inni mieli wojny, ja stan wojenny. Ucieczki przed pościgiem po rusztowaniach, skakanie przez płoty. Nękanie przez bezpiekę. Straszenie. Kilometrowe kolejki w środku zimy, przechodzone zapalenie płuc, zapis w poradni przeciwgruźliczej. Śpiewy przy kościele św. Anny, mojej patronki. Ale kto pierwszy padł raz na kolana, podczas rocznicy 13 grudnia, i zaintonował: „Z dawna Polski Tyś królową, Ma-ry-jo", no, kto? JA! A tłum padł na kolana za mną i kontynuował. Ale było! No, super było! A te petardy, a to ZOMO, co mnie goniło Karową, w dół, do rzeki, aż tu nagle jedne drzwi się przede mną otwarły i to akurat był posterunek milicji, więc te psy nic nie mogły zrobić poza stłuczeniem im okna? Super! A jak potem wracałam i jeszcze rzucali petardami, i wszędzie gazy łzawiące, i jakaś matka pocieszała dziecko: „Zaraz, kochanie, zaraz wrócimy do domu, zaraz mama ci przemyje oczka", a potem wyrzucono jakąś babę z tramwaju, bo „uczciwi ludzie wracają z manifestacji, a ta szuja rząd popiera!" – no, nie było super? A kiedy moja siostra, ateistka tysiącprocentowa, zadzwoniła do mnie, szlochając w któreś Boże Ciało, że przy świętej Annie znów (korzystając z jednodniowej bezkarności) ułożono ten kwietny krzyż, NASZ krzyż? „Słuchaj, jest krzyż! Jest NASZ KRZYŻ!" I płakała jak bóbr.

No, każdy przeżył swoje. Kozaków na Krakowskim Przedmieściu, jak u Kossaka, powstania, wojny, łapanki, wywózki, koszmary. Ja – stan wojenny. Za to kochać to miasto? Tak, za to też.

O TOSCE MISZTAL

Toska Misztal jest postacią fikcyjną. Czuła się w Warszawie jak w każdym obcym, dużym mieście, gdzie człowiek haruje od świtu do nocy, tej całej „metropolii" nawet nie obejrzał, nawet nie powąchał, totalna abstrakcja.

Ja to co innego. Jestem warszawianką. Ja jestem stąd!!!

eprasa.pl 74b7eeeab6

Godność na przekór wszystkiemu

Mamy do czynienia z istotą człowieczeństwa, która została zachowana nawet wtedy, gdy okoliczności zewnętrzne sugerowały pogardę dla życia i godności człowieka – mówi o laureatach medalu Virtus et Fraternitas dr Wojciech Kozłowski, dyrektor Instytutu Pileckiego, w rozmowie z Marcinem Wikłą

Prezydent Andrzej Duda na wniosek Instytutu Pileckiego wręczył medale Virtus et Fraternitas (tłum. męstwo i braterstwo). Dzieje się to po raz pierwszy. Kogo instytut nominował do odznaczenia?

Wojciech Kozłowski: Szukamy przykładów osób, które w sposób spontaniczny i bezinteresowny okazały pomoc polskim obywatelom, co w realiach wojennych niejednokrotnie wiązało się z uratowaniem im życia. Spójrzmy na postacie Anatolija Giergiela i Zinajdy Giergiel, mieszkańców wołyńskiej wsi Marcelówka. Mieli polskich sąsiadów, rodzinę Zarębów, których ostrzegli, gdy dowiedzieli się, że ukraińscy nacjonaliści planują atak. Przez to ich ocalili. Ale to nie koniec, ta historia ma kontynuację. Zarębowie uciekli do położonego o 8 km dalej miasta, do Włodzimierza Wołyńskiego. Cały majątek zostawili, co mogło oznaczać, że będą chcieli wrócić. Tak też myśleli upowcy i czekali na nich, by jednak zbrodni dokonać. Giergielowie wykazali się niezwykłą czujnością, pilnowali drogi i gdy ktoś z Zarębów rzeczywiście pojawił się po jakimś czasie we wsi, ostrzegli go po raz drugi, że w domu wciąż czeka na niego śmierć.

Historia zbrodni wołyńskiej to wciąż niezabliźniona rana w relacjach polsko-ukraińskich, wciąż musimy się upominać o prawdę. Czy nominowanie do nagrody rodziny Giergielów ma pokazać, że podchodzimy do tego problemu z pełną świadomością i mamy ogląd całej sytuacji, że widzimy także „dobrych Ukraińców”?

Pokazujemy, że coś takiego jak realna przyjaźń pomiędzy poszczególnymi rodzinami polskimi i ukraińskimi była faktem i trwała mimo okropieństw wojny i degradacji moralnej, która z wojną zawsze następuje. To musiał być silny związek, skoro przezwyciężał nawet strach i terror, który rozsiewała UPA. Staramy się pokazać ludzkie odruchy w realiach również niemieckiego terroru, który dążył do tego by nas, mieszkających obok siebie przedstawicieli dwóch narodów, podzielić i skłócić, wywołać w nas nienawiść. Niejednokrotnie to się przecież udało. Ale nie zawsze.

Kolejna historia wołyńska, choć o nieco innym charakterze, którą Instytut Pileckiego postanowił przypomnieć światu, dotyczy problemu upamiętnienia ofiar. Z tym mamy



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

nie mniejszy problem niż z opowiadaniem historii, prawda?

I widzimy tutaj, że bardzo ważna jest pamięć kultywowana w rodzinie i przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówimy o Ołeksandrze Wasiejko, która w swoich stronach nazywana jest Babcią Szurą – ona dostała medal, ale Polakom pomagał jej ojciec Kalennyk Łukaszko. To od niego dowiedziała się o zbrodni wołyńskiej, bo to on ukrywał polską rodzinę przed zbrodniarzami. Niestety, nieskutecznie. Gdy jego polscy przyjaciele zostali zamordowani, pochował ich, a miejsce mogiły wskazał później swojej sześcioletniej córce Ołeksandrze. Przekazał jej testament braterstwa wobec Polaków, dał jej misję, nakazał dbać o ich groby. Wiedział, że kiedyś ich rodacy przyjdą i będą ich szukać. Rzeczywiście, tak się stało. I gdyby nie Babcia Szura, polscy archeolodzy być może nigdy nie odnaleźliby masowych grobów osób pomordowanych w Woli Ostrowieckiej i Ostrówkach.

Świadkowie historii odchodzą, biologia jest przeciwko nam. Chyba też mniej się w rodzinach rozmawia o takich rzeczach, które potem mogą się okazać kluczowe przy poszukiwaniach mogił. Czy podkreślanie takich historii ma ośmielić innych Ukraińców do sięgnięcia w rodzinną historię?

Niewątpliwie, prowadzimy wyścig z czasem. Przygotowując nominacje do medalu Virtus et Fraternitas, opieramy się na naszym programie „Świadkowie epoki" i, szukając osób, które uczestniczyły w wydarzeniach sprzed lat, dobrze wiemy, jaki jest z tym problem. Próbujemy z ich pamięci wydobyć cokolwiek, co pozwoli nam na uzupełnienie wiedzy, którą mamy z dokumentów i opracowań historycznych. To często osoby, które wtedy były dziećmi, a teraz są już w bardzo zaawansowanym wieku. No, ale są. Jeszcze są.

Wśród osób, które zostały tym razem dostrzeżone, jest także tzw. Grupa Ładosia. To polscy dyplomaci z ambasady RP w Bernie, którzy zorganizowali masową produkcję paszportów południowoamerykańskich dla zagrożonych zagładą Żydów.

We wszystkich przypadkach motywacje były zapewne podobne: potrzeba serca, solidarność z prześladowanymi, współczucie dla ofiar, poczucie przyzwoitości czy odruchy chrześcijańskie. I samo to jest warte opisania i podkreślenia. Ale o ile w poprzednich opisywanych przypadkach mówiliśmy o indywidualnych inicjatywach, które miały na celu ratowanie ludzi, o tyle tutaj mamy zaangażowanie instytucjonalne. Mamy do czynienia z planem, który był współfinansowany przez polski rząd. Z tego, co wiemy, to była największa akcja ratowania Żydów polskich, a potem także europejskich przed eksterminacją.

Czy nie uważa pan, że to w zasadzie gotowy scenariusz na film sensacyjny, którego nie powstydziłoby się Hollywood?

Myślę, że to jest tylko kwestia czasu, gdy ta opowieść znajdzie się na wielkim ekranie. Bo na mniejszą skalę my tę opowieść prowadzimy, choćby przez działania wspólne z ambasadorem RP w Szwajcarii Jakubem Kumochem i środowiskami żydowskimi. Jesteśmy na etapie kompletowania listy ocalonych w ten sposób ludzi. Paszporty wystawiono dla prawie 10 tys. osób, choć z pewnością nie do wszystkich dotarły. Nasze badania pokazują w sposób wiarygodny skalę i rozmach tego działania, a także jego skuteczność. Gdy się przyglądamy poszczególnym przypadkom, widać dramatyczny kontekst tej akcji, gdy czasem minuty czy godziny decydowały o tym, czy jeszcze komuś uda się wystawić dokument, a to było jednoznaczne z darowaniem mu nowego życia.

Uwypuklenie tej historii wydaje się szczególnie ważne dzisiaj, gdy znów próbuje się przylepić nam, Polakom, łatkę antysemitów i szmalcowników.

Historia niemieckiej okupacji w Polsce jest przede wszystkim historią okrutnego terroru. W takim momencie zawsze musi nam w uszach dźwięczeć pytanie: jak dalece byłbym skłonny zaryzykować życie własne, swojej rodziny, własne mienia i dorobek dla pomocy obcej osobie? Trudne pytanie, prawda? Dlatego wydaje nam się, że należy szczególnie podkreślać odwagę cywilną oraz – nie waham się użyć tego słowa – heroizm stawiania przyzwoitości i miłości bliźniego ponad potencjalne, ale przecież bardzo realne zagrożenie. Za ukrywanie Żydów, ale też np. za podanie im kawałka chleba czy szklanki wody Niemcy zabijali. Takie przypadki były, my je dokumentujemy po to, by nie mogły być uznane za fikcję, czyjś wymysł. Gdy zapoznamy się z badaniami na wielu płaszczyznach, będzie można, być może, zrozumieć, dlaczego masowa pomoc Żydom w okupowanej Polsce nie była możliwa. Nie dlatego, że nie chcieliśmy, tylko dlatego, że skala terroru ze strony Niemców była trudna do wyobrażenia. Ludzie musieli żyć w tych warunkach przez kilka lat. Dopiero mając tę świadomość, należy zapytać siebie, czy chcę kłaść nacisk na przykłady udokumentowanej realnej pomocy w tak skrajnych warunkach, czy przeciwnie, doszukiwać się symptomów obojętności.

Medal Virtus et Fraternitas przyznawany jest przez prezydenta na wniosek Instytutu Pileckiego. Jakich cech właściwych dla waszego patrona doszukujecie się u ludzi, których wyróżniacie? Jakim człowiekiem trzeba być, by w momencie zagrożenia własnego życia za cel stawiać sobie ratowanie życia innych?

Myślę, że mamy tutaj do czynienia z istotą człowieczeństwa, która została zachowana nawet wtedy, gdy okoliczności zewnętrzne sugerowały pogardę dla życia i godności człowieka. Witold Pilecki jest tego doskonałym przykładem. Jego wiara w człowieka, jeszcze w Auschwitz, gdzie budował siatkę konspiracyjną i samopomoc, musiała się opierać na przekonaniu, że w człowieku jest coś więcej niż strach i podatność na ból, na cierpienie, na terror. Tu chodzi o postawę moralną i wynikający z niej obraz człowieka. Dopiero wtedy można było dostrzec w człowieku godność, podczas gdy ówczesny świat mówił, że tej godności nie ma.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Dobry ojciec, czyli



DOROTA ŁOSIEWICZ

Wychodząc z założenia, że ewolucja postaw ojców w ostatnich latach jest równie fascynująca jak ta dotycząca mam, firma Nationale-Nederlanden wpadła na pomysł, by sprawdzić, jacy są współcześni ojcowie, jak wyglądają ich obowiązki i największe obawy związane z rolą rodzica. W efekcie powstał raport „Powrót taty. Polskie ojcostwo: pełen etat czy praca dorywcza?".

BEZCENNY CZAS

Z badania wynika, że polski ojciec aktywnie przygotowuje się do najważniejszej roli w życiu, chce spędzać z dziećmi jak najwięcej czasu, regularnie uczestniczy w ich życiu przedszkolnym i szkolnym. „Co prawda, ich partnerki są nieco bardziej sceptyczne, co do tych optymistycznych deklaracji, ale i tak prawie połowa ankietowanych przez nas kobiet twierdzi, że ich mężowie/partnerzy są zdecydowanie dobrymi ojcami. Kolejne 35 proc. na to pytanie odpowiada »raczej tak«. Współczesny polski ojciec otrzymuje więc solidną piątkę za swój wkład w wychowanie dzieci. Jest stale obecny w życiu dzieci, jest cierpliwy i wyrozumiały, bez wahania okazuje miłość i troskę, nie wstydzi się przytulać. Odczuwa dumę z tego, że jest ojcem" – pisze we wstępie do raportu Michał Nestorowicz z NN.

– Gdybym miał wskazać model ojcostwa, który jest mi szczególnie bliski, to byłby on trochę w opozycji do tego, o czym teraz często mówimy, gdy rozmawiamy o relacjach między dziećmi a rodzicami. Dziś dużo mówimy o potrzebie traktowania dziecka jak partnera, z którym należy wszystko ustalić i wynegocjować. Mnie bliższa jest wizja ojca przewodnika po trudnym dziś świecie, często bardzo niebezpiecznym – mówi Konstanty Radziwiłł, senator PiS, były minister zdrowia, ojciec ośmiorga dzieci i dziadek czternaściorga wnucząt. – Są takie niebezpieczeństwa, przed którymi ojciec musi ochronić dzieci, wskazując im właściwy kieru-

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Shutterstock

nek, np. zanik norm i wartości – dodaje były minister zdrowia.

– To przewodnictwo i zarządzanie musi być służbą rodzinie – uzupełnia Mateusz Maranowski, dziennikarz telewizji wPolsce.pl i PR24, tata niepełnosprawnego Julka, a za chwilę także małego Ludwika. – Niestety, wielu ojców rozumie ojcostwo jako wydawanie poleceń i rozkazów, a to za mało – uzupełnia dziennikarz.

Według Aleksandry Piotrowskiej, dr psychologii z Uniwersytetu Warszawskiego, raport „Powrót taty..." wskazuje, że w ostatnich latach w polskich rodzinach zachodzą widoczne zmiany. Bezwzględnie dominujący jeszcze na początku wieku tradycyjny model rodziny wyraźnie uzupełniany jest przez rodzinę jeśli nie w pełni, to zbliżającą się do partnerskiej. „W tej tradycyjnej ojciec reprezentuje władzę, prawo, dyscyplinę, realizując – jak mówi Parson – funkcję instrumentalną, czyli pobudzanie rozwoju dziecka, jego wiedzy, kompetencji. Ale codzienna opieka nad dzieckiem spoczywa na matce. To ona zajmuje się dzieckiem i jego sprawami, realizując funkcję ekspresyjną i wchodząc z nim w bliską relację" – wskazuje Piotrowska.

Tymczasem z raportu wynika, że większość badanych ojców spędza z dzieckiem sporo czasu (zdaniem dwóch trzecich badanych od trzech do ośmiu godzin dziennie). I choć matki nie w pełni to potwierdzają (zgadza się z tym tylko połowa z nich), to jednak trudno mówić, że ojcowie nie uczestniczą w codziennym życiu dziecka. Na dodatek cztery piąte z nich deklaruje chęć spędzania z dzieckiem jeszcze większej liczby godzin. Zresztą badane matki wyrażają korzystną dla panów opinię o ich sposobie funkcjonowania w roli ojców – trzykrotnie częściej niż w samoocenach panie oceniają ich bardzo dobrze (49 proc. pań i tylko 16 proc. panów). Z innych źródeł wynika, że w Polsce jeszcze kilkanaście lat temu ojcowie mający wyższe wykształcenie zajmowali się własnymi dziećmi od dwóch do czterech godzin tygodniowo, tymczasem dziś, według danych uśrednionych, są to nawet dwie godziny dziennie. Czas poświęcony przez ojców dzieciom znacząco zwiększa się w weekendy. Niemal 70 proc. ojców właśnie wtedy zajmuje się dziećmi przez sześć godzin, a więcej niż co trzeci przez dziewięć godzin.

BEZCENNA BLISKOŚĆ

– Czas to najważniejsze, co ojciec może dać swoim dzieciom – nie ma wątpliwości Konstanty Radziwiłł. – Niektórzy myślą sobie: będę dobrym ojcem, ale w ograniczonym czasie. To bardzo złudne, ojcostwo wymaga czasu. To oczywiście wyzwanie, bo przecież na rodzinę trzeba po pierwsze zarobić, a po drugie trzeba ten czas poświęcić każdemu dziecku indywidualnie, co zwłaszcza w rodzinie wielodzietnej nie jest łatwe – mówi były minister zdrowia. – A obok czasu bardzo ważny jest jeszcze kontakt fizyczny. Pielęgnacja dziecka nie jest i nie może być zastrzeżona wyłącznie dla mam. Fizycznego zaangażowania taty w karmienie (tam, gdzie to jest oczywiście możliwe, bo natury nie przeskoczymy) czy przewijanie potrzebuje i dziecko, i mężczyzna. W takich sytuacjach rozwija się więź, która potrzebna jest przez całe życie. Bliskość fizyczna między ojcem i dzieckiem jest potrzebna od pierwszych chwil, także po to, by była silna później, by takiego zbuntowanego 16-latka można było szturchnąć żartobliwie w korytarzu – śmieje się Radziwiłł.

Często jednak bywa tak, że zbyt troskliwe mamy boją się dopuścić ojców do wspomnianej pielęgnacji, a wówczas odtrącani mężczyźni odsuwają się w cień, co ma poważniejsze konsekwencje dla rodziny niż pozwolenie im na popełnienie drobnych błędów.

„Często zachęcam pacjentów, żeby dali sobie szansę. Żeby mama pozwoliła tacie być tatą i mężczyzną. To się udaje, a efekty bywają spektakularne – mówiła na antenie telewizji wPolsce.pl psycholog Małgorzata Świć. – W wychowaniu bardzo ważne są przekazy transgeneracyjne. To, co przekazujemy z pokolenia na pokolenie, a więc rola mamy i taty. Przeważnie jest tak, że dzieci przejmują wzorce rodziców. Jeśli to mama jest tą silniejszą i podejmuje decyzje, wówczas staje się autorytetem. Tymczasem dobrze, zwłaszcza gdy wychowuje się dorastającego chłopca, by to tata był autorytetem i by mu tego nie odbierać" – nie ma wątpliwości Świć.

BEZCENNY AUTORYTET

Na takie trudności wynikające z faktu bycia ojcem wskazuje także wspominany raport NN. Z badania wynika, że zmiana sposobu funkcjonowania mężczyzn w rodzinach widoczna jest także we wskazywanych trudnościach bycia ojcem. Dokładnie tak samo często wymieniano jako najtrudniejszą umiejętność bycia autorytetem dla dziecka, jak i wymagającą bliskości emocjonalnej umiejętność wspierania dziecka na kolejnych etapach rozwoju (po 32 proc. odpowiedzi). Zaskakuje wskazywany przez badanych sposób przygotowywania się do roli ojca – nie internet, ale wymiana doświadczeń z innymi ojcami. Już nie tylko kobiety prowadzą między

eprasa.pl 74b7eeeab6

sobą takie rozmowy, także co czwarty z badanych ojców. Rzeczywiście w dobie kryzysu wartości, męskości, w dobie mody na podważanie wszelkich autorytetów, bycie autorytetem może się jawić jako szczególnie trudne wyzwanie.

– Rola ojca w wychowaniu, szczególnie synów, jest kluczowa. Dziś stare wzorce męskości nie są do zastosowania, bo np. nie mamy polowań, nie ma służby wojskowej, trzeba więc wypracować nowe wzorce męskości i nowy wzorzec rodziny, który w ostateczności da efekt pożądany, czyli wychowanie dziecka gotowego do podjęcia dorosłego życia, a z tym dziś mamy spory problem – tłumaczy Janusz Wardak, ojciec dziesięciorga dzieci, współtwórca Akademii Familijnej w Polsce. – Ojciec musi czuć, że jest ważny i potrzebny. Jeśli żona, matka dzieci, nie dopuszcza go do wychowania, to mogą z tego być problemy. Ale u podstaw jest relacja małżeńska: jeśli o nią dbamy, jest ona właściwa, wówczas małżonkom łatwiej jest się wzajemnie do czegoś przekonać. Jeśli relacja jest słaba, koncentrujemy się na dziecku, zaczynamy z sobą rywalizować, ciągniemy w swoją stronę – dodaje Wardak.

– Ojciec musi być odpowiedzialny, pracowity, kochający, wrażliwy, słuchający. Ale musi też perswadować, karcić, dyscyplinować. Bez dyscypliny i porządku, zwłaszcza w wielodzietnej rodzinie, wszyscy by się wzajemnie zadeptali lub wyrządzili sobie krzywdę moralną – twierdzi Konstanty Radziwiłł. – Na „ważność" w domu trzeba sobie zapracować. Jestem więc za formalnym budowaniem autorytetu rodziców. Od początku muszą być ustalone jasne zasady.

Większy niż dawniej udział ojców w codziennej opiece nad dzieckiem potwierdza to, że 30 proc. z nich ograniczyło zaangażowanie w aktywność zawodową od momentu pojawienia się dziecka. Ale wciąż ograniczenie to jest zdecydowanie częstsze wśród kobiet (49 proc. wskazań) – wynika z raportu „Powrót taty...". Także podział domowych obowiązków wciąż nie jest równy i spoczywa w większej mierze na barkach kobiet. Włączanie się z pomocą w tym zakresie deklaruje co prawda aż 72 proc. ojców, ale potwierdza to tylko 53 proc. matek. Za to obowiązek odwożenia/przywożenia dziecka z placówki, zajęć dodatkowych czy spotkań z rówieśnikami spoczywa (zgodnie z oczekiwaniami) głównie na ojcach. Co zaskakujące, także wielu z nich utrzymuje kontakt z wychowawcami czy nauczycielami dziecka, nawet jeśli jest duża rozbieżność między potwierdzaniem tego przez ojców (72 proc. wskazań) i matki (tylko 49 proc.), to zdaje się odchodzą w niebyt czasy, kiedy to przeciętny ojciec wysłany przez żonę na wywiadówkę nie zawsze trafiał do właściwej klasy.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

– Bez wątpienia obserwujemy ewolucję roli ojca. Kiedyś ojciec często był nieobecny, pojawiał się jako osoba, która wymierzała kary, pilnowała posłuszeństwa dzieci, dyscyplinowała. Obecnie ojcowie są bardzo mocno zaangażowani w życie dzieci, udzielają się w naprawdę wielu obszarach, w wielu tematach są aktywni. Także większość czasu, który spędzają z dziećmi, dotyczy aktywnych form spędzania czasu. Najczęściej jest to wspólne uprawianie sportu, wspólne zabawy. Jednak ojcowie są coraz bardziej obecni także w tematach trudnych. W wielu przypadkach to ojcowie rozmawiają o pierwszej miłości, dojrzewaniu. Poruszają tematy, które kiedyś były zarezerwowane dla mam – mówi Diana Rychter, menedżer ds. badań i analiz rynkowych w Nationale-Nederlanden.

> Czas to najważniejsze, co ojciec może dać swoim dzieciom – nie ma wątpliwości Konstanty Radziwiłł, były minister zdrowia, ojciec ośmiorga dzieci i dziadek czternaściorga wnucząt

Co do tego, że ojcowie na przestrzeni kilku ostatnich dekad bardzo się zmienili, nie ma wątpliwości Janusz Wardak.

– Nie ma wątpliwości, że dziś ojcowie są inni niż 30 lat temu. Na pewno zniknął ostry podział na sferę należącą do matek i ojców. Na pewno ani mój tata, ani nikt w jego pokoleniu nie zmieniał dzieciom pieluch. Na pewno zaangażowanie czasowe w wychowanie jest większe, mam jednak wątpliwości co do tego, czy efekty wychowania są lepsze. Na pewno obserwujemy zmianę modelu z ojca autorytetu na ojca partnera. Jednak gdy spojrzymy na globalną liczbę trudności, z jakimi borykają się dzieci, na liczbę uzależnień, chorób psychicznych, na liczbę rozpadających się rodzin, to mogę powiedzieć, że musimy szukać modelu ojcostwa, który łączyłby bycie autorytetem z bliskością, tak by ojcostwo było skuteczne, czyli by efektem wychowania był świadomy, samodzielny w pełni ukształtowany człowiek – mówi Wardak.

– Nie jestem tak głęboko przekonany o tym, że model ojcostwa uległ tak wielkiej zmianie. Na pewno zmieniły się okoliczności. Dziś jest po prostu łatwiej, bo np. nie trzeba prać pieluch tetrowych. Ale także dziś jest bardzo wielu facetów, którzy nie dojrzeli do ojcostwa – uzupełnia senator Radziwiłł. – Nie mam wątpliwości, że w każdym indywidualnym przypadku ojcostwo jest po prostu wyzwaniem, któremu należy sprostać. A to, jaki człowiek zostanie ukształtowany w procesie wychowania, tylko w pewnej części zależy od rodziców, reszta jest wynikiem indywidualnych cech każdego człowieka – twierdzi były minister zdrowia. – Dziś zagrożenia w wychowaniu są na pewno większe. A miarą mojego sukcesu w roli ojca niech będzie to, że mam czternaścioro wnucząt, a nasza najstarsza córka sama ma już pięcioro dzieci. To jest nie tylko miara sukcesu ojca, lecz i rodziny, bo to dowód, że wychowanie, rodzicielstwo wyszło nam całkiem nieźle, skoro nasze dzieci nie boją się mieć dzieci – śmieje się Konstanty Radziwiłł. – To znaczy, że zaszczepiliśmy naszym dzieciom wartości, które są nam bliskie.

I takich efektów życzę wszystkim aktualnym i przyszłym ojcom.

eprasa.pl 74b7eeeab6

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



odc. 6

Osiągnięcia sportowe

PARTNER DODATKU

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

cprasa.pl/74b7eeeab6



Zjazd Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Krakowie z okazji 50-lecia istnienia. Pokaz na stadionie Cracovii

Sport w służbie niepodległości

Z dr. Robertem Gawkowskim z Uniwersytetu Warszawskiego, historykiem sportu, rozmawia Maciej Wolny

Czy możemy mówić o polskim sporcie w czasie zaborów?

Robert Gawkowski: To zależy, o jakim zaborze mówimy, bo w zaborze austriackim z całą pewnością tak. Były kluby polskie, świadomie polskie, i to już od XIX w. Data powstania polskiego sportu jest symboliczna i wiąże się z powołaniem do życia pierwszego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” we Lwowie w 1867 r. Od tego momentu Polacy gimnastykowali się, urządzali wycieczki piesze, narciarskie, wioślarskie, uprawiali szermierkę. W miarę upływu dekad powstały kolejne placówki tego towarzystwa w innych miastach, aż w końcu, gdy belle époque się kończyła, było ich kilkaset. Sokole gniazda były odpowiednikami klubów sportowych, jednak nie oznaczało to takiej samej liczby drużyn piłkarskich. W piłkę nożną zaczęliśmy nieśmiało grać pod koniec XIX w., a rzeczone Towarzystwo Gimnastyczne miało pewne problemy z akceptacją futbolu. Wynikało to z tego, że trzeba było walczyć z okupantami, trzeba odzyskać niepodległość, a tutaj walczą dwie polskie drużyny. Co jeśli się pobiją, pokłócą, wbrew zasadzie, że sport jednoczy? Dlatego bano się takiej rywalizacji. Główną osią sportu była gimnastyka i wspólne spędzanie czasu. W XX w. sport wkroczył w postaci klubów sportowych, klubów futbolowych, co stanowiło alternatywę wobec Sokoła. Powstała Pogoń Lwów, Czarni Lwów, Cracovia i Wisła Kraków.

Jaką rolę odgrywał sport w walce o niepodległość?

Już w lipcu 1884 r., gdy w Warszawie odbywały się pierwsze międzynarodowe zawody wioślarskie, a rywalizacja toczyła się między Niemcami

cyfrasa.pl/74b7eeeab6

a Polakami, to cała Warszawa wychodziła i dopingowała Polaków. Niestety te patriotyczne uczucia nie mogły zostać przelane na sport olimpijski, ponieważ Polacy występowali w barwach innych państw. Władysław Ponurski biegał jako lekkoatleta austriacki, Karol Rómmel był jeźdźcem w barwach Rosji. Ważnym momentem dla polskiego sportu była data 1 sierpnia 1914 r., czyli wybuch I wojny światowej. Sport wtedy zaczynał być popularny jedynie w Galicji. Tam na mecze Wisły Kraków czy Cracovii, Pogoni Lwów z Czarnymi Lwów przychodziło trochę ludzi, te spotkania cieszyły się zainteresowaniem. Tego samego jednak nie można powiedzieć o drużynach poznańskich czy tych, które funkcjonowały na terenach zaboru rosyjskiego. Kiedy najlepsze drużyny galicyjskie przyjeżdżały do Warszawy, to na stadion przychodziło najwyżej tysiąc osób, co i tak stanowiło ewenement w tamtym czasie. Większego zainteresowania nie było, sport w zaborze rosyjskim był w powijakach. I wojna światowa w pewien sposób zmieniła ten stan rzeczy. Dotyczyło to terenów dawnego Królestwa Polskiego. Wraz z wojskami austriackimi czy niemieckimi na te ziemie wkroczyli również polscy sportowcy, którzy służyli w różnych klubach sportowych. Paradoksalnie wojna spowodowała, że w Warszawie idea sportu była coraz lepiej rozumiana. Pojawiła się Legia galicyjska ze sławnym Stanisławem Mielechem. Ta drużyna to był pewien wzorzec, można powiedzieć, że nawet reprezentacja narodowa. Ich spotkania wywoływały emocje sportowe, ale przede wszystkim patriotyczną radość. Sport stał się emanacją naszych uczuć narodowościowych, naszych pragnień niepodległościowych. Przypomnę pewną legendę z Łodzi. Tam 10 listopada 1918 r., a więc dzień przed odzyskaniem niepodległości, podczas meczu ŁKS z niemieckim Sturmem doszło do konfliktu między zawodnikami obu drużyn. Wzburzeni tym kibice wszczęli



Pilot Franciszek Żwirko (z prawej) i konstruktor lotniczy Stanisław Wigura przed samolotem RWD-4

Wojsko i sport

Pierwsze sukcesy polskich sportowców były silnie powiązane z patriotycznym duchem, bo wytrenowani w bojach na frontach wielkiej wojny czy wojny polsko-bolszewickiej wojskowi odnosili sukcesy w dyscyplinach ściśle związanych z żołnierskim rzemiosłem. Do takich z pewnością należało jeździectwo i pierwszy indywidualny medal na igrzyskach olimpijskich, czyli brąz Adama Królikiewicza, legionisty i majora Wojska Polskiego, na imprezie w Paryżu w 1924 r. Królikiewicz rozpoczął wspaniały okres dla krajowego jeździectwa, bo w dwudziestoleciu międzywojennym trzykrotnie Polacy sięgali po olimpijskie medale w konkursach drużynowych. Podobnie dobrze spisywała się polska reprezentacja w innej „żołnierskiej" dyscyplinie, czyli szermierce. Adam Papée, kolejny były legionista, i jego koledzy wywalczyli dwa olimpijskie brązy w drużynie. Jeździectwo i szabla były uznawane za konkurencje typowo polskie, nad którymi unosił się cień etosu żołnierza – na koniu startowali m.in. Tadeusz Komorowski, późniejszy komendant główny AK, czy Henryk Dobrzański, znany szerzej jako „Hubal", ostatni partyzant kampanii wrześniowej. Oficerem sportowcem był także Władysław Karaś, brązowy medalista igrzysk w 1936 r. w strzelectwie sportowym, rozstrzelany przez Niemców w maju 1942 r. w Magdalence. Z kolei jedną z największych tragedii międzywojnia była katastrofa samolotu sportowego w Cierlicku, w której życie stracili zwycięzcy lotniczego Challenge 1932 Stanisław Wigura i Franciszek Żwirko, uczestnik rosyjskiej wojny domowej po stronie białych.

Gwiazdy nieoczywiste

W kraju nad Wisłą dynamicznie rozwijało się wioślarstwo, o czym świadczy pięć medali olimpijskich. Co ciekawe, sport ów był również jednym z najpopularniejszych do tzw. niedzielnego uprawiania. Przy wiosłach szczególnie dobrze spisywał się trzykrotny mistrz Europy, wychowany we Francji Roger Verey. Ciekawą postacią w polskim sporcie siłowym był Stanisław Cyganiewicz, który trzykrotnie sięgał po mistrzostwo świata w zapasach, a także został czempionem w protoplastce MMA, czyli wolnoamerykance. Cyganiewicz był wzorcem dla głównej postaci słynnej „Arii dla atlety" Filipa Bajona. Przed II wojną światową wielkie sukcesy odnosiła Jadwiga Jędrzejowska, którą bez przesady można nazwać najlepszym polskim tenisistą w historii. Indywidualnie zagrała w finałach trzech wielkoszlemowych turniejów, a w deblu triumfowała we French Open. Podczas wojny była namawiana do gry w reprezentacji III Rzeszy, ale odmówiła i wolała wybrać kilkuletni rozbrat ze sportem niż występy z hakenkreuzem na piersi. W sportach zimowych wielką estymą cieszył się Stanisław Marusarz, wicemistrz świata w skokach narciarskich z 1938 r.



Stanisław Marusarz

Fot. NAC x3

cyfrasa.pl/74b7eeeabb



Zawody kolarskie w torowych wyścigach za motocyklami o puchar prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego na torze kolarskim Stadionu Wojska Polskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, maj 1935 r.

burdy polegające na tym, że polscy kibice zaczęli rozbrajać żołnierzy niemieckich, którzy przypatrywali się temu spotkaniu. Większego oporu nie było, bo Niemcy wiedzieli już, że są przegrani. W Warszawie natomiast 20-osobowa grupa AZS rozbrajała na przystani wioślarskiej Niemców. Te pierwsze zdobyte łódki zostały usankcjonowane przez polski rząd i „przechrzczone" na nowe nazwy służyły dalej w barwach AZS Warszawa.

Odzyskanie niepodległości przez Polskę dało szansę na odbudowanie, a w zasadzie tworzenie od nowa, wielu dziedzin życia codziennego, m.in. sportu.

Z każdym rokiem podejście państwa się zmieniało. Sport zaczynał być popularny w miastach czy nawet miasteczkach i zaczynano rozumieć, czym on jest, kim są sportowcy. Pewne kontrowersje nadal budziło pojawianie się roznegliżowanego do krótkich spodenek sportowca, a już nie daj Boże dziewczyny. To wywoływało niezdrowe emocje wśród osób konserwatywnych. Coraz częściej jednak rozumiano, czym jest sport. Po odzyskaniu niepodległości mieliśmy około 70 tys. ludzi uprawiających sport, natomiast w 1939 r. ta liczba wynosiła już od 350 do 500 tys. To był znaczący wzrost i tyczyło się to również obiektów sportowych. Z dzisiejszego punktu widzenia niektóre z tych obiektów były wręcz siermiężne, ale liczba budowanych stadionów imponowała. W Warszawie w latach 1927–1931 wybudowano najwięcej obiektów sportowych w historii miasta. Powstał hipodrom w Łazienkach, w 1930 r. skończono budować Stadion Wojska Polskiego, który pełnił funkcję reprezentacyjną, w tym samym roku oddano do użytku Centralny Instytut Wychowania Fizycznego, czyli przyszłą Akademię Wychowania Fizycznego, po drodze wybudowano stadion AZS w parku Skaryszewskim, w 1928 r. oddano do użytku stadion Polonii, stadion Orła przy ulicy Podskarbińskiej, w 1930 r. zaczęto budować stadion Warszawianki. Była to niesamowita liczba obiektów sportowych. W 1927 r. powstał Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, który dawał pieniądze na budowę obiektów i w zamian oczekiwał, by były one otwarte dla społeczeństwa. Te obiekty służyły sportowcom od 6 rano aż do 22, kiedy słońce zachodziło, a trzeba zaznaczyć, że non stop grano na tych placach. To było piękne, ale zarazem rodziło problemy z utrzymaniem odpowiedniego stanu obiektów. Dotyczyło to np. murawy. W czasach II RP dosięgnął nas kryzys gospodarczy, co od 1930 r. skutkowało znacznym ograniczeniem budżetów klubów sportowych. Legia miała problem z utrzymaniem Stadionu Wojska Polskiego i oddała ten stadion, podobnie Orzeł Warszawa, o Polonii mówiło się, że Konwiktorska zostanie sprzedana, jednak do tego nie doszło.

Jakimi dyscyplinami stała II RP? Które rozwijały się najbardziej dynamicznie?

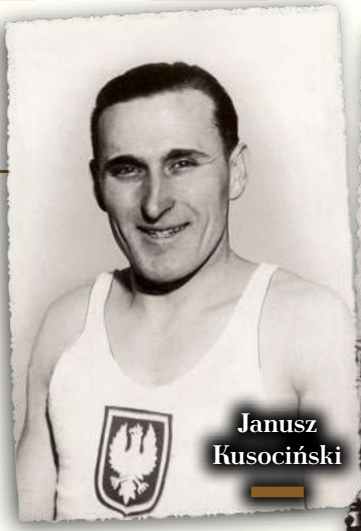
W okresie dwudziestolecia międzywojennego w wyniku spuścizny po zaborach naszymi dyscyplinami były szermierka, jazda konna, kolarstwo. We Lwowie, w Krakowie, w Warszawie istniały stowarzyszenia cyklistów. Nieźle trzymało się wioślarstwo, które było uprawiane w wielu klubach. Jednak pierwsze złote medale dała nam lekkoatletyka, a dokładnie Halina Konopacka w 1928 r. Cztery lata później Janusz Kusociński, który wspaniale pobiegł w Los Angeles, oraz kolejna wielka dama naszego sportu Stanisława Walasiewicz, która wygrała bieg na 100 m. Lekkoatletyka dała nam najwięcej radości i zdecydowanie górowała.

Kim były pierwsze gwiazdy polskiego sportu?

Z całą pewnością wymieniona przeze mnie Halina Konopacka.

Fot. NAC sx4

cyfrasa.pl/74b7eeeab6



Janusz Kusociński



Stanisława Walasiewicz

W lekkiej zawsze silni

Największe triumfy Polacy święcili w lekkiej atletyce. Masową wyobraźnią zawładnęła Halina Konopacka, zdobywczyni pierwszego w historii olimpijskiego złota dla Polski: wygrała rzut dyskiem na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 r. W jej ślady poszła inna znakomita dyskobolistka Jadwiga Wajsówna, która stała się naturalną następczynią Konopackiej i wywalczyła dwa olimpijskie krążki. Wielką gwiazdą była sprinterka Stanisława Walasiewicz, która odrzuciła propozycję startu dla Amerykanów, najszybsza na dystansie 100 m na IO w Los Angeles w 1932 r. i druga w Berlinie w 1936 r. Brąz na niemieckich igrzyskach wywalczyła w rzucie oszczepem Maria Kwaśniewska, która na trybunie honorowej na słowa Hitlera gratulującego „małej Polce" odpowiedziała, że nie czuje się wcale mniejsza od führera, a w trakcie wojny pomagała Żydom i Polakom osadzonym w obozie w Pruszkowie. Do historii lekkiej atletyki przeszła rywalizacja polskich długodystansowców: Stanisława Petkiewicza, Józefa Nojiego i Janusza Kusocińskiego, z których ten drugi zdobył trzecie międzywojenne olimpijskie złoto dla Polski.

Zwłaszcza z perspektywy kobiet, dla zrozumienia, że kobieta w krótkich spodenkach i koszulce gimnastycznej ma takie samo prawo do pojawienia się w kostiumie sportowym na stadionie jak mężczyzna. Stąd w Warszawie powstały kobiece kluby sportowe, które zrzeszały kobiety zafascynowane Haliną Konopacką. Była ona niezwykle silna, mądra, piękna. Znała kilka języków, prowadziła automobil, jeździła konno, grała na fortepianie, pisała wiersze. Kilka miesięcy po zdobyciu złotego medalu wyszła za mąż za pułkownika Ignacego Matuszewskiego. Potrafiła żyć i czerpać z życia radość. Kolejnym wybitnym sportowcem był Janusz Kusociński. Powinniśmy wspomnieć również o piłkarzach czy bokserach, chociaż w latach 20. boks sukcesami nie stał. Nieporozumieniem było pojawienie się naszych bokserów na igrzyskach olimpijskich w 1924 r. Polscy zawodnicy nie schodzili nawet z ringu po porażce, tylko ich znoszono. Sytuacja zmieniła się pod koniec lat 30., czego dowodem są zwycięstwa na międzynarodowych zawodach. Możemy tu wymienić kilka nazwisk: Antoni Czortek, Antoni Kolczyński, Aleksander Polus. To była szkoła Feliksa „Papy" Stamma, który zabłysnął jeszcze przed wojną, a po wojnie kontynuował pasmo sukcesów polskiego boksu. Można powiedzieć, że boks urósł do potężnego kolosa sportu w Polsce międzywojennej. Podobnie było z piłką nożną, gdy na początku ledwo radziliśmy sobie z najsłabszymi drużynami zagranicznymi. Potem staliśmy się przyzwoitym średniakiem rokującym spore nadzieje. Któż nie zna Ernesta Wilimowskiego, który strzelał gole jak na zawołanie. Niestety, jest z nim pewien problem, bo w czasie II wojny światowej był tak samo skuteczny jako reprezentant Niemiec.

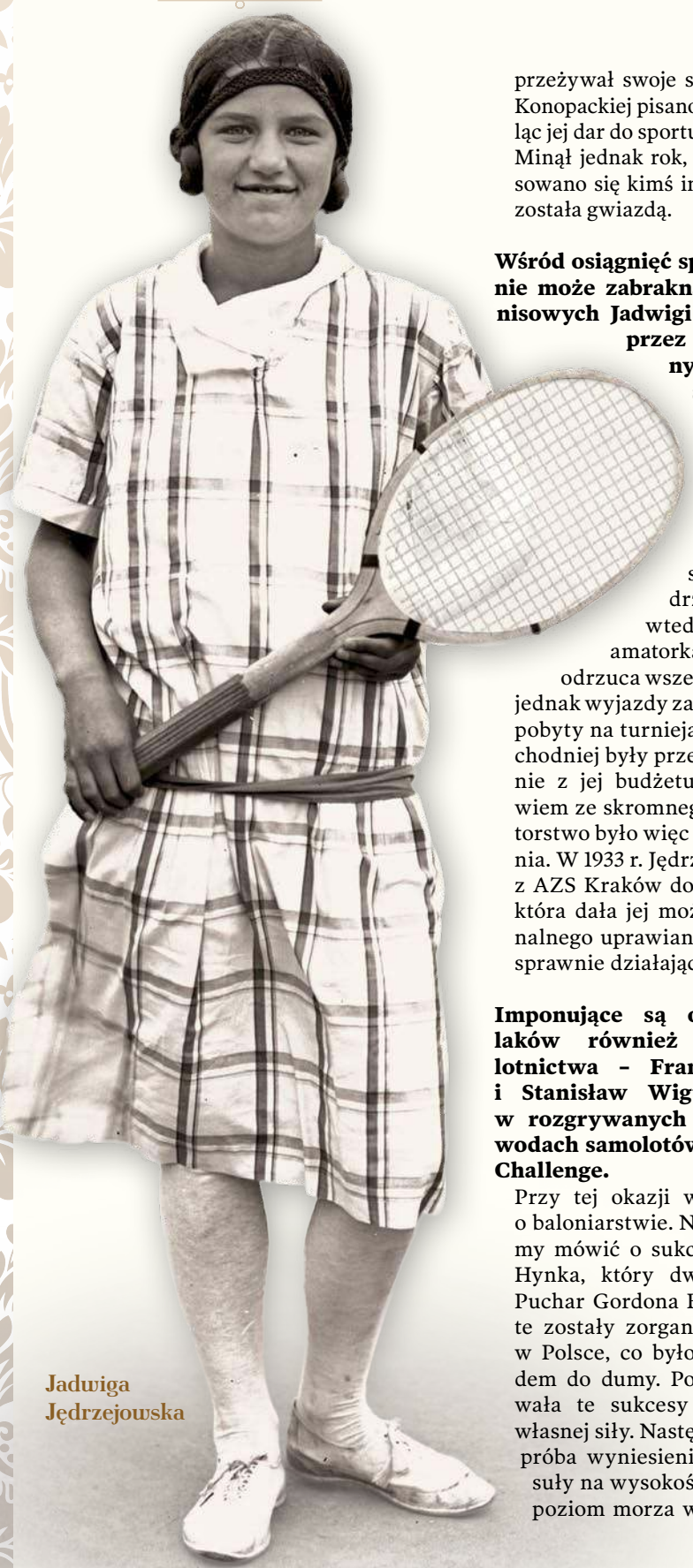
Wróćmy jeszcze do IO w Amsterdamie, kiedy Polacy zdobyli pierwszy złoty medal. Miało to swój wydźwięk w Polsce i za granicą?

W Polsce budowano łuki triumfalne w miejscach, gdzie zjawiła się Halina Konopacka zaraz po powrocie z Amsterdamu. Tak samo fetowano drugiego złotego medalistę – Kazimierza Wierzyńskiego. Były to czasy, kiedy przyznawano medale w dziedzinie kultury. Wierzyński był poetą i redaktorem „Przeglądu Sportowego". Każdy kraj



Halina Konopacka na letnich igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie w 1928 r.

cyfrasa.pl/74b7eeeab6



Jadwiga Jędrzejowska

przeżywał swoje sukcesy. O Halinie Konopackiej pisano za granicą, chwaląc jej dar do sportu, urodę i mądrość. Minął jednak rok, drugi i już interesowano się kimś innym. Tylko u nas została gwiazdą.

Wśród osiągnięć sportowych II RP nie może zabraknąć triumfów tenisowych Jadwigi Jędrzejowskiej, przez wielu uznawanych za najlepszego polskiego tenisistę w historii.

Trudno porównywać dzisiejsze osiągnięcia tenisa z sukcesami Jadwigi Jędrzejowskiej, która wtedy była formalnie amatorką. Podkreślała, że odrzuca wszelkie oferty płatne, jednak wyjazdy zagraniczne i częste pobyty na turniejach w Europie Zachodniej były przecież finansowane nie z jej budżetu, pochodziła bowiem ze skromnego domu. To amatorstwo było więc do pewnego stopnia. W 1933 r. Jędrzejowska przeszła z AZS Kraków do Legii Warszawa, która dała jej możliwości profesjonalnego uprawiania sportu. Była to sprawnie działająca machina.

Imponujące są osiągnięcia Polaków również w dziedzinie lotnictwa – Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura zwyciężyli w rozgrywanych w Berlinie zawodach samolotów turystycznych Challenge.

Przy tej okazji warto wspomnieć o baloniarstwie. Na tym polu możemy mówić o sukcesach Franciszka Hynka, który dwukrotnie zdobył Puchar Gordona Bennetta. Zawody te zostały zorganizowane również w Polsce, co było kolejnym powodem do dumy. Polska wykorzystywała te sukcesy do promowania własnej siły. Następstwem tego była próba wyniesienia specjalnej kapsuły na wysokość 30 tys. m ponad poziom morza w 1938 r. Miał być to polski lot do stratosfery. Niestety, na dwie godziny przed startem, który miał się rozpocząć w Dolinie Chochołowskiej, zerwał się halny, który pokrzyżował plany. Następny start miał się odbyć 10 września 1939 r. – wybuch wojny na to nie pozwolił. Wracając do osiągnięć Żwirki i Wigury, w momencie ich śmierci w 1932 r. mieliśmy do czynienia z wielką manifestacją żalu, straty. Wybudowano pomnik Lotnika ku pamięci Żwirki i Wigury, chociaż nie przedstawiał żadnego z nich. Wizerunku na potrzeby pomnika tworzonego przez Edwarda Wittiga użyczył m.in. lekkoatleta AZS Warszawa Stefan Piątkowski, a przypomnijmy, że prof. Wittig był wówczas prezesem AZS.

Rozwój sportu został brutalnie przerwany przez wybuch II wojny światowej. Jak potoczyły się losy polskich sportowców w tym tragicznym czasie?

Kiedy Niemcy wkraczali w 1939 r. na ziemie polskie, to od razu podejrzani byli sportowcy, ponieważ w swoich klubach sportowych przeszli szkołę wychowawczą bycia Polakiem, bycia patriotą. Podejrzany był Kusociński, podejrzana byłaby Konopacka, gdyby nie wyjechała z kraju przed okupacją niemiecką. Straty polskiego sportu były dużo większe niż straty w jakiejkolwiek innej grupie społecznej. Dotarłem do dokumentu z 1944 r., który był zapisem przesłuchania przed Gestapo w podwarszawskich wtedy Włochach. Zaraz po pytaniu o przynależność do Armii Krajowej padało kolejne dotyczące aktywności w klubie sportowym. Odpowiadając twierdząco, można było się nieświadomie pogrążyć. Niemcy wiedzieli, jaką rolę wychowawczą odgrywały kluby sportowe. Warto wspomnieć o pierwszej egzekucji pod Warszawą na Okęciu 12 września 1939 r. Brano pod uwagę tych, którzy mogli mieć jakikolwiek związek ze sportem. Kto był sportowcem, stawał się podejrzany, a to oznaczało, że szedł pod mur.

18/0619/F

eprasa.pl/74b7eeeab6



eprasa.pl 74b7eeeab6



Dąb Katowice – Legia Warszawa 2:1, 9 lipca 1936 r.

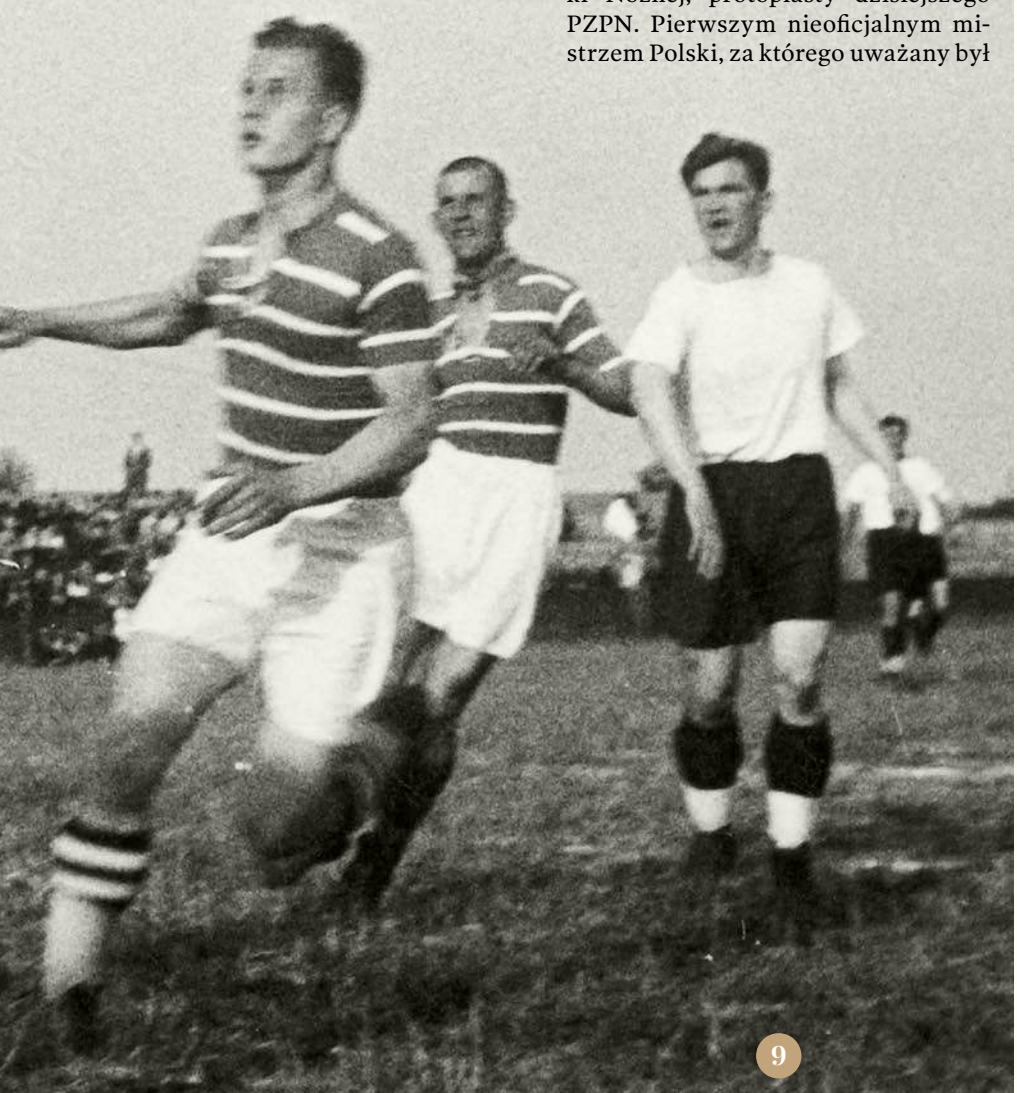
Polak kopać potrafi

Najpopularniejszym sportem w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym, co zresztą po dziś dzień jest kwestią niezmienną i niezależną od wyników, była piłka nożna – w zasadzie jedyna dyscyplina drużynowa uprawiana powszechnie. Futbol był ulubioną rozrywką chłopców we wszystkich zakątkach odrodzonej Polski

cyfrasa.pl/74b7eeeab6

Kto pierwszy zaczął kopać piłkę na polskich ziemiach? Tego nie wiemy, ale z pewnością pod koniec XIX w. zarówno na Górnym Śląsku, w Galicji, na Pomorzu czy w Warszawie i Łodzi wiedziano, co zrobić z okrągłym, obszytym skórą balonem. Za pionierów tej dyscypliny można uznać wielkich społeczników i krzewicieli kultury fizycznej, działającego w Krakowie Henryka Jordana i operującego we Lwowie Edmunda Cenara. Zresztą to właśnie pomiędzy młodzieńcami z tych dwóch galicyjskich miast rozegrano najprawdopodobniej pierwszy polsko-polski mecz pod zaborami.

Polskie kluby piłkarskie, choć często z wieloma innymi sekcjami sportowymi, tworzono jeszcze wtedy, gdy Polski na mapie nie było. W awangardzie narodowych zespołów były drużyny z Galicji – najwcześniej powstawały kluby we Lwowie przy wsparciu działaczy Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Tym samym za pierwsze polskie kluby piłkarskie można uznać Lechię Lwów (1903), Czarnych Lwów (1903) i Pogoń Lwów (1904). Niedługo potem do miasta nad Pełtwią dołączył Kraków, w którym powstały Cracovia i Wisła (obydwa założone 1906). Kolejno we wszystkich większych ośrodkach Galicji tworzono sportowe organizacje, których wspólnym mianownikiem była polskość (Resovia, Tarnovia, Sandecja, Wisłoka Dębica, Czarni Jasło, JKS Jarosław czy Polonia Przemyśl). Nic dziwnego, że to właśnie pod zaborem austriackim doszło do zawiązania Związku Polskiego Piłki Nożnej, protoplasty dzisiejszego PZPN. Pierwszym nieoficjalnym mistrzem Polski, za którego uważany był zwycięzca mistrzostw Galicji, została w 1913 r. Cracovia, która prześcignęła swoją sąsiadkę z drugiej strony krakowskich Błoni.



Mniej bujnie rozwijały się polskie kluby pod zaborami rosyjskim i niemieckim. W Warszawie powstawały kolejno nieistniejąca dziś Korona (1909) i Polonia (1911), należące jak reszta stołecznych klubów do utworzonego w 1907 r. Warszawskiego Koła Sportowego. Legia Warszawa powstała dopiero w trakcie I wojny światowej, a założyli ją żołnierze Legionów Polskich stacjonujący na Wołyniu w 1916 r. Palmę pierwszeństwa na terenie włókienniczej Łodzi dzierży Łodzianka, czyli ŁKS (1908), a już chwilę później powstało towarzystwo sportowe w Widzewie (1910), warto także pamiętać o piotrkowskiej Concordii (1909). Pod zaborem pruskim dominowały rzecz jasna kluby stricte niemieckie, ale w Wielkopolsce kolebką polskiej myśli sportowej były Ostrów Wielkopolski z Ostrovią (1909) i Venetią (1908). Dopiero później dołączyły zespoły z Poznania – Warta (1912) i Posnania (1913), a polskie korzenie miały także niektóre górnośląskie zespoły, jak katowicki Naprzód Załęże (1912). Na terenie Wielkopolski rozgrywano analogiczne do galicyjskich rozgrywki o tytuł mistrza regionu, w których zwyciężała Warta Poznań.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości kwestia rozwoju piłki nożnej była, choć pozornie błaha, niezwykle istotna dla budzenia ducha patriotyzmu zarówno narodowego, jak i lokalnego. Wszak nie od dziś wiadomo, że „ze wszystkich rzeczy nieważnych futbol jest zdecydowanie najważniejszy". Dobrze obrazuje to sytuacja na Górnym Śląsku, na którym polskie kluby piłkarskie powstawały przy wielkim wsparciu Wojciecha Korfantego jako siła zdolna przeciwstawić się Niemcom (to właśnie śląscy powstańcy założyli Ruch Chorzów). Już w grudniu 1919 r. powstał Polski Związek Piłki Nożnej z siedzibą w Krakowie i Edwardem Cetnarowskim jako prezesem, który jednocześnie kierował Cracovią.

Fot. NAC

cyfrasa.pl/74b7eeeab6



Pogoń Lwów

Założona w 1904 r. – jako Klub Gimnastyczno-Sportowy IV Gimnazjum we Lwowie – Pogoń jest jedną z pierwszych prawdziwie polskich drużyn sportowych. W krótkim czasie stała się największą siłą niepodległego rodzimego futbolu, w latach 1922–1926 czterokrotnie sięgając po tytuł Mistrza Polski. Później było już gorzej, ale w latach 30. Pogoń trzykrotnie stawała na drugim stopniu podium. Kres klubowi przyniosło wkroczenie Armii Czerwonej do Lwowa i włączenie po wojnie miasta do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przesiedleńcy ze Lwowa pomagali tworzyć nowe kluby sportowe na ziemiach zachodnich, które herbami czy kolorami strojów nawiązywały do wielkiej tradycji Pogoni. W tym gronie znajdowała się przede wszystkim Polonia Bytom (dwukrotny mistrz Polski), Piast Gliwice (aktualny mistrz Polski), Odra Opole czy Pogoń Szczecin. W 2009 r. Pogoń dzięki staraniom polskich studentów ze Lwowa i wsparciu organizacji polonijnych została reaktywowana – obecnie gra na ukraińskim trzecim poziomie rozgrywkowym.

Plany rozegrania pierwszych mistrzostw Polski w 1920 r. pokrzyżowała wojna z bolszewikami, ale rok później wyłoniono pierwszego pełnoprawnego mistrza, którym została Cracovia z genialnym napastnikiem Józefem Kałużą na czele (przy ulicy jego imienia znajduje się stadion najukochańszej przez piłkarza drużyny), który w wyścigu o koronę króla strzelców pokonał weterana walk o Lwów i wojny polsko-bolszewickiej Wacława Kuchara z Pogoni Lwów (w 1926 r. został on pierwszym laureatem plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca Polski). Po zakończeniu rozgrywek swój pierwszy oficjalny mecz rozegrała polska reprezentacja narodowa, która grudniowego popołudnia 1921 r. uległa w Budapeszcie kadrze Węgier 0:1. W kolejnych latach mistrzem Polski zostawała rokrocznie Pogoń Lwów ze wspomnianym Kucharem, Spirydionem Albańskim, Mieczysławem Batschem i Józefem Garbieniem, choć w 1924 r. rozgrywki nie odbyły się z uwagi na debiutancki udział polskiej reprezentacji w wielkiej światowej imprezie – na igrzyskach olimpijskich w Paryżu Polacy dostali w fazie eliminacyjnej łupnia 0:5 od Węgrów i odpadli z rywalizacji.

Przełomem w ligowych rozgrywkach był swoisty bunt najlepszych polskich klubów przeciw systemowi wyłaniania mistrza i zawiązanie Polskiej Ligi Piłki Nożnej. Początkowo nieuznawana przez PZPN, została w końcu zaakceptowana i od 1927 r. możemy mówić o właściwej ekstraklasie, którą znamy po dziś dzień. Rozgrywki w systemie ligowym przyniosły zmierzch pierwszej polskiej potęgi futbolowej, Pogoni Lwów, która już nigdy nie sięgnęła po mistrzostwo Polski. Do głosu doszła Wisła Kraków z Henrykiem Reymanem (obecny stadion „Białej Gwiazdy" nosi jego imię), Mieczysławem Balcerem i Józefem Kotlarzem; Cracovia z Kałużą, Leonem Sperlingiem i Ludwikiem Gintelem; Warta Poznań z fenomenalnym Fryderykiem Scherfkem; krakowska Garbarnia z Karolem Pazurkiem; a wreszcie Ruch Chorzów, znany wtedy jako Ruch Hajduki Wielkie (nazwa obecnego Batorego, dzielnicy miasta), ze słynnymi „trzema królami": Ernestem Wilimowskim, Teodorem Peterkiem i Gerardem Wodarzem. Wśród międzywojennych gwiazd ligi nie sposób nie wymienić także reprezentantów klubów ze środkowej Polski: Antoniego Gałeckiego z ŁKS Łódź, Józefa Nawrota z Legii Warszawa czy Władysława Szczepaniaka z Polonii Warszawa, wielokrotnego kapitana polskiej kadry. Pięć tytułów mistrza kraju zdobytych przez chorzowski Ruch w ciągu sześciu lat poprzedzających wybuch II wojny światowej, w połączeniu z niezłymi wynikami innych drużyn z regionu (AKS Królewska Huta/Chorzów, Śląsk Świętochłowice, Dąb Katowice, 1.FC Katowice), znakomicie pokazywało przesunięcie siły ciężkości polskiego futbolu z Galicji na Górny Śląsk.

Pod koniec lat 30. to właśnie Ślązacy stanowili o sile polskiej reprezentacji i byli jej absolutnym trzonem w historycznym, premierowym meczu Polski na mundialu (siedmiu piłkarzy z regionu w wyjściowej jedenastce): w 1938 r. we Francji po dogrywce Biało-Czerwoni ulegli Brazylii 5:6, a cztery bramki strzelił wspomniany Ernest Wilimowski. Wcześniej reprezentacja z selekcjonerem Józefem Kałużą (tym samym, który kilka lat wcześniej taśmowo strzelał bramki dla Cracovii) wywalczyła czwarte miejsce na igrzyskach w Berlinie w 1936 r. Z kolei

eprasa.pl/74b7eeeab6

Wacław Kuchar (Pogoń Lwów)



ur. 1897 r. w Łańcucie, zm. 1981 r. w Warszawie

Porucznik Wojska Polskiego i renesansowy sportowiec – lekkoatleta (kilkukrotny mistrz Polski w skoku wzwyż czy biegu na 800 m), łyżwiarz (22-krotny mistrz Polski w łyżwiarstwie szybkim), a przede wszystkim piłkarz. Pierwszy laureat plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca Polski i jeden z trzech piłkarzy, którzy dostąpili tego zaszczytu (kolejnymi byli Zbigniew Boniek i Robert Lewandowski). Jako artylerzysta brał udział w wojnie o granice II RP z Ukraińcami i bolszewikami, jako piłkarz cztery razy sięgał z Pogonią Lwów po tytuł Mistrza Polski, w której barwach rozegrał około 200 spotkań.

Ernest Wilimowski (Ruch Chorzów)



ur. 1916 r. w Katowicach, zm. 1997 r. w Karlsruhe

Wychowanek założonego przez Niemców 1. FC Kattowitz, później symbol wielkości Ruchu Chorzów seryjnie sięgającego po mistrzostwo Polski w latach 30. Wilimowski zgromadził cztery tytuły. Wraz z Leonardem Piątkiem, Gerardem Wodarzem, Erwinem Nycem, Ewaldem Dytką czy Teodorem Peterkiem stanowił o potędze górnośląskiej piłki. Dla reprezentacji Polski strzelił 21 goli w 22 meczach – nikt w historii nie wykręcił lepszej średniej strzeleckiej. W trakcie wojny wyjechał w głąb Niemiec i grał w kadrze III Rzeszy. Do Polski nigdy już nie przyjechał.

Józef Kałuża (Cracovia)



ur. 1896 r. w Przemyślu, zm. 1944 r. w Krakowie

Legenda Cracovii i jeden z najskuteczniejszych napastników w historii polskiego futbolu. Zawsze był piłkarzem inteligentnym – jeszcze jako zawodnik został grającym trenerem Cracovii, a po zawieszeniu butów na kołku przez niemal całe lata 30. trenował reprezentację Polski. Zajął z nią czwarte miejsce na igrzyskach olimpijskich oraz prowadził ją w mundialowym debiucie. Po dziś dzień nikt nie był selekcjonerem Polski dłużej niż on. Podczas II wojny światowej nie opuścił Krakowa i nigdy nie poszedł na współpracę z Niemcami.

Henryk Reyman (Wisła Kraków)



ur. 1897 r. w Krakowie, zm. 1963 r. w Krakowie

Walczył w armii austro-węgierskiej podczas I wojny światowej, później podpułkownik Wojska Polskiego i uczestnik wojny z Ukraińcami i bolszewikami oraz powstań śląskich, w początkach II wojny światowej ranny w bitwie nad Bzurą. Jako piłkarz stał się symbolem Wisły Kraków, z którą dwukrotnie sięgał po tytuł Mistrza Polski. W 1927 r. strzelił w lidze 37 goli – do dziś nikt nie pobił tego wyniku.

Władysław Szczepaniak (Polonia Warszawa)



ur. 1910 r. w Warszawie, zm. 1979 r. w Warszawie

Wychowanek i synonim Polonii Warszawa. Całą karierę spędził w drużynie „Czarnych Koszul", z którą zdobył pierwszy tytuł Mistrza Polski po zakończeniu II wojny światowej w 1946 r. Jako obrońca słynął ze skutecznych akcji w defensywie, jako motywator cieszył się niepodważalnym szacunkiem zarówno w Polonii, jak i wśród przeciwników. Przez lata pełnił funkcję kapitana drużyny narodowej.

Józef Nawrot (Legia Warszawa)



ur. 1906 r. w Krakowie, zm. 1982 r. w Southsea

Zanim nastały czasy Lucjana Brychczego i później Kazimierza Deyny, Legia miała Józefa Nawrota. W okresie międzywojennym największa gwiazda drużyny ze stolicy i postrach defensyw przeciwnych drużyn. Pod koniec kariery przywdział barwy Polonii, ale to nie zniszczyło jego wielkiej legendy. W czasie II wojny światowej walczył w armii Andersa, później na emigracji. Do Polski nigdy nie wrócił.

Fryderyk Scherfke (Warta Poznań)



ur. 1909 r. w Poznaniu, zm. 1983 r. w Bad Soden am Taunus

Bez wątpienia najlepszy piłkarz w dziejach Warty Poznań, z którą wywalczył jedno z dwóch mistrzostw Polski w historii klubu. W latach 20. i 30. siał postrach na wszystkich polskich boiskach, nagminnie znajdując drogę do bramki przeciwnika. W trakcie II wojny światowej działał w niemieckich klubach na terenie Poznania, ale często wykorzystywał swoje kontakty w celu ratowania Polaków przed śmiercią. Po wojnie osiadł w Niemczech, gdzie założył organizację polonijną.

Antoni Gałecki (ŁKS Łódź)



ur. 1906 r. w Łodzi, zm. 1958 r. w Łodzi

Filar obrony najstarszej łódzkiej drużyny, a przez ponad dekadę także reprezentacji Polski. Co ciekawe, wiosną kopał piłkę, a zimą zasilał szeregi hokejowej drużyny ŁKS-u. Gałecki to nie tylko legenda futbolowa, ale też prawdziwy patriota. Bronił Polski w 1939 r. po najeździe Niemców, a później, poprzez Węgry, Jugosławię i Turcję, trafił do armii Andersa. Brał udział w bitwach pod Tobrukiem i pod Monte Cassino. Po wojnie przebywał krótko na Wyspach Brytyjskich, a następnie wrócił do Polski i zespołu ŁKS, w barwach którego zaliczył przez całą karierę ponad 400 spotkań.

w swoim ostatnim meczu przed wybuchem II wojny światowej, 27 sierpnia 1939 r. na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie, pokonała 4:2 wicemistrzów świata, Węgrów, a hat-trickiem popisał się oczywiście Wilimowski. Los popularnego „Eziego", przez wielu uznawanego za najlepszego napastnika w dziejach Polski, potoczył się w dość kontrowersyjnym kierunku: urodzony w Katowicach napastnik w czasie wojny przywdziewał koszulkę z hakenkreuzem na piersi i reprezentował III Rzeszę.

Michał Muzyczuk

Fot. NAC x4

50/0119/F

cyfrasa.pl/74b7eeeab6

WEŹ UDZIAŁ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*



88 rodzinnych samochodów



11 650 000 produktów **VERVA**



Dodatkowo dla zarejestrowanych uczestników Programu VITAY do wygrania **6 wyjazdów** pięcioosobowych na wyścigi Roberta Kubicy.

ORLEN

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w loterii.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Luc i zabójcze muzy

22 lata temu odkrył dla kina „Piąty element", czyli Millę Jovovich. Dziś Luc Besson przedstawia zabójczo fascynującą Annę. Gra ją supermodelka ***Sasha Luss***

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl 74b7eeeab6



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

I mię Anna to palindrom. Czytane z każdej strony brzmi tak samo. Jest zarazem mocne i dźwięczne. Jak kula. Odpowiednio nakierowana nie zatrzyma się, dosięgnie celu. Jednak środek – co graficznie podkreśla plakat (niezależnie od wersji językowej) – wcale tak oczywisty nie jest. I filmowa Anna jako postać, na zewnątrz twarda, zimna i skuteczna, niesie w sobie kruchość, ale też walkę o swoją niezależność. O innych zaskoczeniach, jak to Bessona, nie wspominając.

ODREALNIONE DZIEWCZYNY

Co do jednego nie ma wątpliwości. Najnowszy film Luca Bessona musiał być niezwykłym doświadczeniem, wręcz życiowym prezentem dla odtwarzającej tytułową rolę Sashy Luss. Urodzonej w Rosji topmodelki, która przed kinowe kamery trafiła pierwszy raz raptem dwa lata temu. Zresztą też za sprawą Bessona, który obsadził ją w futurystycznej megaprodukcji „Valerian i Miasto Tysiąca Planet".

Tam ucharakteryzowano ją na pozbawioną włosów, fantastyczną postać, księżniczki Lihö-Minaa. Zagrała poboczny wątek, ale jej odrealniona, wysmuklona sylwetka (wykorzystująca 1,78 m wzrostu), szeroko rozstawione niebieskie oczy i plastyczność nabyta w świecie fotomodelingu, musiały już wtedy zainspirować Bessona do kolejnego projektu.

KOLEJNE KREACJE

Luss doszusowała do wyjątkowego grona aktorek i muz reżysera. W szpiegowskim thrillerze i zarazem kinie akcji połączyła cechy bohaterek z wcześniejszych ekranowych wizji reżysera. Sięgnęła też do rosyjskich korzeni. Zagrała zwykłą/niezwykłą dziewczynę, ukształtowaną na równi przez ulicę i światowe wybiegi, wciągniętą w grę wywiadów, która upodobnia się do tradycyjnych rosyjskich lalek, jakie sprzedawała kiedyś odwiedzającym Moskwę turystom. Matrioszka skrywa w sobie kolejne wersje. Sasha Luss dostała szansę, by stworzyć na ekranie kilkanaście odsłon jednej postaci, do pewnego momentu czerpiąc też z własnych doświadczeń.

Dla filmowej bohaterki, Anny Poliatowej, świat mody okazał się trampoliną do lepszego życia. Wspinając się po szczeblach kariery, trafiła do ekskluzywnego kręgu supermodelek, ale tu jej uroda i wdzięk przestały być jedynie marketingowym wabikiem, a stały się niebezpieczną bronią. Ulegali jej najpotężniejsi mężczyźni. Zaczęła poznawać sekrety i tajemnice niezwykle groźne także dla niej samej.

Podobnie jak w zrealizowanej w 1990 r. „Nikicie" (która przyniosła światową rozpoznawalność francuskiej aktorce Anne Parillaud) najnowszy film Bessona opowiada historię utalentowanej zabójczyni na zlecenie. Anna radzi sobie znakomicie, zarówno w efektownych pościgach, strzelaninach czy walce wręcz, jak i czarując w pełnym świetle na modowym wybiegu. Ma w sobie mocny rys Nikity, ale też jakąś cząstkę Matyldy z „Leona zawodowca" (z 1994 r., który otworzył drzwi do kariery 13-letniej wówczas Natalie Portman). Sporo ją też łączy z Leeloo, postacią z pozornie zupełnie innego świata.

KRUCHOŚĆ I SIŁA

Besson mówi, że jak przed laty u Milli Jovovich (wtedy w rozkwicie kariery supermodelki), tak teraz u Sashy Luss dostrzedł nie tylko fascynującą fizyczność (wykraczającą poza klasyczne pojmowanie kobiecego ideału), lecz także ukryte pod zawodowym profesjonalizmem: emocjonalną kruchość i niewinność, połączone z ogromną siłą ducha.

Milla Jovovich stała się tytułowym piątym elementem: „Istotę Doskonałą, kosmitką i młodą kobietą, która nie będzie potrafiła się oprzeć miłości" (ta miłość, poza ekranem, sformalizowana została trwającym przez dwa lata małżeństwem z Bessonem), ale też muzą, której wpływ odnaleźć można w kolejnych filmach reżysera. Mówił o niej: „Milla ma w sobie fizyczność, która sprawia, że może być z przeszłości albo przyszłości. Z Egiptu lub Rzymu. Może być Nefretete i kosmitką. To mi się w niej fizycznie podobało".

ROSYJSKIE KORZENIE

Jovovich urodziła się w Kijowie w 1975 r. Pięć lat później jej rodzice (rosyjska aktorka i Serb pracujący w Moskwie jako pediatra) wyjechali do Stanów. Gdy Milla miała dziewięć lat, trafiła do modelingu, zaczęła się pojawiać w filmach (m.in. w krytykowanym sequelu „Błę-



Sasha Luss w filmie „Anna"

eprasa.pl 74b7eeeab6

kitnej laguny"). Jako 16-latka nagrała folkowo-rockowy album, ale i tu nie było fajerwerków. To świat mody gwarantował jej sukces. Do czasu „Piątego elementu", kiedy stała się międzynarodową gwiazdą kina i oficjalną muzą Bessona.

Sasha Luss też spędziła wczesne dzieciństwo w Moskwie (choć urodziła się w Magadanie, 27 lat temu). Jej rodzice są Rosjanami. Miała być baletnicą. Niestety marzenia o karierze na wielkiej scenie zniszczyła kontuzja. Za namową przyjaciół matka zaprowadziła 13-latkę do agencji modelek. Bardzo szybko zaczęła się pojawiać w kampaniach największych domów mody, z czasem też na okładkach wpływowych magazynów. Wkrótce weszła w świat globalnych marek, takich jak Chanel, Dior czy Lagerfeld. W 2015 r., już po mocnym rozjaśnieniu włosów, trafiła do kalendarza Pirelli. Dwa lata później zagrała księżniczkę Lihö-Minaa, by po kolejnych dwóch zostać pierwszoplanową Anną.


Milla Jovovich w „Piątym elemencie"

PO STRONIE BOHATERKI

Sasha zapewnia, że od samego początku stała po stronie Anny. Podobało jej się, że zdesperowana dziewczyna zrekrutowana przez KGB do czynienia zła w imię ideologii nauczyła się poruszać w świecie podwójnych i potrójnych tożsamości, by walczyć o swoje marzenia. „Anna musi być twarda, musi być chłodna, tego wymaga od niej otaczająca rzeczywistość, ale jej historia pełna jest emocji i trudnych wyborów" – opowiada aktorka. „Jest świetnie wyszkoloną zabójczynią, ale pod tą całą otoczką kryje się samotna, potrzebująca ciepła i bliskości kobieta, wypełniona przez innych gniewem i traumą, która pragnie wolności i niezależności".

Żonglowanie ekranowymi tożsamościami wymagało katorżniczych treningów. „To było niesamowite wyzwanie – fizyczne i psychiczne, ale po pewnym czasie zaczęłam się cieszyć całym procesem" – wspomina aktorka. „Spodobało mi się przekraczanie swoich własnych granic, również tych istniejących głównie w mojej głowie. Zakochałam się także w choreografii scen walk. Gdy byłam małą dziewczynką, trenowałam balet, więc potrafiłam zrozumieć piękno zaplanowanego i wystylizowanego ruchu. W przypadku sztuk walk zaczynałam niestety od zera, nie miałam bowiem nigdy z nimi do czynienia, ale starałam się podejść do tej nauki z taką samą energią, z jaką podchodzi do niej Anna" – podkreśla.



Luc Besson

Supermodelka Luss wniosła do postaci Anny Poliatowej także własne doświadczenia ze światowych wybiegów oraz sesji zdjęciowych. „Życie Anny ulega nieustannym zmianom, podczas gdy ona stara się po prostu przeżyć. Dlatego stała się kameleonem, nauczyła się adaptować do każdych warunków" – zauważa Sasha. „Nie sądzę, by jako moskiewska narkomanka wyobrażała sobie, że kiedyś będzie na ustach całego Paryża jako modelka, ale uwielbiam jej determinację, inteligencję i fakt, że potrafi przystosować się do każdej sytuacji. Anna stała się sensacją w świecie mody, ponieważ miała w sobie coś, czego nie miały inne modelki, ale nikt nie podejrzewał jej o to, że prowadzi sekretne życie bezlitosnego zamachowca".

– Każdy z moich filmów w taki czy inny sposób wyraża emocje i myśli, które mnie rozpierają w danym okresie. Nie inaczej jest z „Anną" – mówi Luc Besson. – Jednym z najważniejszych elementów tej opowieści jest ukazanie wagi zaufania, czyli czegoś, czego brak odczuwają w gruncie rzeczy chyba wszystkie społeczeństwa na świecie.

Fot. Mat. prasowe (x2), Shutterstock

eprasa.pl 74b7eeeab6

Opera barokowa o Polsce wydarzeniem w Moskwie

Owacyjne przyjęcie miała w Filharmonii Moskiewskiej opera Leonarda Vinciego „Gismondo, Re di Polonia" z XVIII w. o Zygmuncie Auguście i Rzeczpospolitej w dobie unii lubelskiej. Pochwały krytyków zebrali wykonawcy: polska {oh!} Orkiestra Historyczna ze słynnym Maxem Emanuelem Cenčiciem na czele międzynarodowej stawki cenionych śpiewaków



ADAM CIESIELSKI

Czerwiec zgotował melomanom operowy zawrót głowy. W stołecznym Teatrze Wielkim wydarzeniem był wieczór z Tomaszem Koniecznym. Nasz eksportowy bas-baryton z pietyzmem oddał piękno pieśni Stanisława Moniuszki, arcymistrzowską klasą błysnął w wybranych na bis ariach z dzieł Rachmaninowa i Wagnera. Z kolei 5 tys. słuchaczy było świadkami triumfu Aleksandry Kurzak w plenerowej inscenizacji „Madamy Butterfly" przed Pałacem Kultury. Znakomita głosowo i aktorsko sopranistka zdołała wzruszyć, wygrywając nie tylko z mieliznami melodramatycznego libretta opery Pucciniego, lecz i z dobiegającym z miasta agresywnym dyskotekowym hałasem.

W Moskwie atrakcją VI Międzynarodowego Festiwalu „Opera Apriori" była koncertowa prezentacja rzadkiego rarytasu: przywróconej po 300 prawie latach zapomnienia barokowej opery włoskiej opery „Gismondo, Re di Polonia" („Zygmunt, król Polski"). Napisał ją Leonardo Vinci. Premiera odbyła się w 1727 r. w Teatro delle Dame w Rzymie, wspieranym finansowo przez Marię Klementynę Sobieską, wnuczkę Jana III Sobieskiego i żonę Jakuba III Stuarta, któremu utwór był dedykowany. Główny bohater to Zygmunt August, a tłem akcji, luźno osnutej na faktach historycznych, jest dwór królewski i stosunki polsko-litewskie w przededniu unii lubelskiej.

Dzieło, zawierające m.in. 30 arii (napisanych z myślą o modnych w epoce baroku kastratach) oraz partie instrumentalne, w 2017 r. w berlińskich archiwach wypatrzyła Martyna Pastuszka, skrzypaczka, koncertmistrzyni, znana z wielu formacji polskich i zagranicznych. Wraz z menedżerem Arturem Malkem od 2012 r. prowadzi w Katowicach własną {oh!} Orkiestrę Historyczną, cieszącą się opinią jednego z najciekawszych zespołów muzyki dawnej w Europie. Jej klasę i potencjał dostrzegł m.in. Max Emanuel Cenčić, światowej sławy kontratenor chorwacki, który z entuzjazmem zaangażował się w wystawienie przez Polaków odkrytego skarbu i objął rolę tytułową. Premiera współczesna odbyła się we wrześniu 2018 r. w Gliwicach, wkrótce potem dzieło zabrzmiało w Wiedniu.

Prezentacja moskiewska, wsparta przez Instytut Adama Mickiewicza z okazji przypadającej 1 lipca 450. rocznicy unii lubelskiej, wypadła bardzo efektownie. Zawiłości politycznych i sercowych przygód bohaterów w melodyjnych ariach wyśpiewali artyści o sprawdzonej renomie. Oprócz Maxa Emanuela Cenčicia w roli Zygmunta było trzech dalszych kontratenorów: rewelacyjny Ukrainiec Jurij Mynenko, Anglik Jake Arditti i Rosjanin Vasily Khoroshev. Partię Przemysława, wielkiego księcia litewskiego, z finezją i dowcipem realizowała polska sopranistka Aleksandra Kubas-Kruk. Niezwykłą obsadę uzupełniały dwie dalsze sopranistki: Rosjanka Dilyara Idrisova i fenomenalna Belgijka Sophie Junker. Atuty ich głosów idealnie eksponował czujny akompaniament {oh!} Orkiestry i nienaganna akustyka Sali im. Czajkowskiego.

Trzygodzinny koncert (barokowe opery bywają jeszcze dłuższe) był wyzwaniem dla publiczności, która jednak – zafascynowana – biła brawo po poszczególnych popisach solistów, a na koniec wybuchła owacją. Piękny sukces na wymagającym terenie.

Drugie życie „Zygmunta, króla Polski" nabiera rumieńców: jesienią opera zostanie nagrana na płytę i wystawiona w Warszawie, potem w Dortmundzie i Amsterdamie.

„Gismondo, Re di Polonia", Koncertowa prezentacja barokowej opery Leonardo Vinciego. Wyk. {oh!} Orkiestry Historycznej pod kier. Martyny Pastuszki; soliści: Aleksandra Kubas-Kruk, Sophie Junker, Dilyara Idrisowa (soprany), Max Emanuel Cenčić, Jurij Mynenko, Jake Arditti, Vasily Khoroshev (kontratenory). Rosyjska premiera w ramach międzynarodowego festiwalu „Opera Apriori". Współorganizacja: Instytut Adama Mickiewicza. 14 VI 2019 r. Filharmonia Moskiewska – sala im. Czajkowskiego



Fot. Ira Polyanaya/Opera Apriori

eprasa.pl 74b7eeeab6

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Była w nim przekora

Jego „Przesłuchanie" było dla mnie jako młodego człowieka dziełem zakazanym, półkownikiem zablokowanym przez władze stanu wojennego. Potem w mieszkaniu pełnym ludzi obejrzałem film na kasecie. Zupełnie jakbym uczestniczył w jakimś wtajemniczeniu, zajrzał w głąb mitu. Reżyser przebywał wtedy na emigracji w Kanadzie.

Jakaż była moja radość, kiedy wiele lat później, w roku 2013 i 2014 r., warszawski oddział IPN zaproponował mi prowadzenie przez pół roku spotkań z Bugajskim. Był to przegląd jego twórczości, łącznie z mniej znanymi filmami kanadyjskimi czy teatrami telewizji. Poznałem go wtedy. Był powściągliwy w okazywaniu emocji, tacy bywają ludzie oschli albo nieśmiali. Miałem jednak okazję zamienić z nim niejedno zdanie – i podczas dyskusji z publicznością, i na boku.

„Gazeta Wyborcza" na okoliczność śmierci przypomniała jego słowa, że właściwie nie jest polskim patriotą, że czuje się bardziej Europejczykiem niż Polakiem. Każdy ma prawo być osądzanym na podstawie własnej samooceny. Dlaczego jednak ten Europejczyk tak sobie upodobał polską historię? Czy tylko jako kopalnię anegdot?

Myślę, że te słowa były trochę przekorą, trochę wyrazem lęków. Jako człowiek inteligenckiej wrażliwości bał się rozemocjonowanych tłumów. Bał się też nacjonalizmu. Gdy jednak przechodził do konkretu, do opowiadania o swoich postaciach, o ciekawiących go zdarzeniach, była w tym miłość do Polski i Polaków. Polskość widział jako obronę wolności, także tej indywidualnej, wolności wyboru. Pasjonował się rozbieraniem na czynniki pierwsze totalitaryzmu jako systemu i jako źródła alternatywnej, chorej aksjologii.

„Przesłuchanie" było celem ataku peerelowskich urzędników. Ale było też przedmiotem kontrowersji po innych stronach. Dawni AK-owcy miewali żal, że robiąc pierwsze dzieło filmowe tak otwarcie dotykające tematu stalinowskich represji, nie opowiedział o nich, ale o osobie przypadkowej – lekkomyślnej artystce granej przez Krystynę Jandę. Powątpiewano w szlachetne odruchy oficera informacji granego przez Adama Ferencego. Nawet się z tymi zarzutami zgadzałem. A jednocześnie rozumiałem, że system totalitarny znęcający się nad próbującą zachować życiową neutralność jednostką ujawniał może nawet bardziej odpychające oblicze. I że rozmaite szarości obrazu pozwalały uniknąć konwencji antykomunistycznego plakatu.

Ta przekora była w nim i potem. „Generał Nil" był może i okrutniejszy w portrecie stalinizmu od „Przesłuchania". A przecież główny bohater jest do pewnego stopnia antybohaterem. Głoszącym konieczność realizmu, próbującym przetrwać – bez hańby, ale i bez straceńczych gestów. W „Zaćmie" kazał nam z kolei Bugajski docenić żywotność polskiego katolicyzmu widzianego oczami jego prześladowczyni, sławnej Luny Brystigerowej. Niektórzy narzekali, że ją wyidealizował, że zawierzył mitowi jej fascynacji religią. Ale czy to nie był hołd dla tejże religii? Składany przez człowieka niewierzącego, który nie widział alternatywnego źródła moralności dla umęczonych Polaków.



Sam nie zgadzałem się z tym czy owym. Ale było z kim dyskutować. U młodszych filmowców niespecjalnie widzę taką pasję. To ona prowadziła stuprocentowego liberała do wspólnych poszukiwań z pracownikiem IPN, a dziś dyrektorem muzeum wyklętych dr. Jackiem Pawłowiczem, z prof. Jerzym Eislerem. To oni nas poznali. Każdy z nich podchodził do polskiej historii od innego końca, a wszyscy pracowali na rzecz jej odkrywania.

Piotr Zaremba

Fot. EAST NEWS/INPLUS

Plejada gwiazd w Opolu

Po raz kolejny Opole stało się stolicą polskiej muzyki. 56. Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki przez cztery dni przyciągał widzów do opolskiego amfiteatru i przed telewizory. Przed ekranami bawiło się z naszymi gwiazdami nawet ponad 4 mln Polaków





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Święto polskiej piosenki zainaugurował koncert „Od Opola do Opola". Podsumował muzyczny rok 2018, ale też uhonorował artystycznych jubilatów. Nagrodą Programu 1 TVP zostali wyróżnieni: świętująca 50 lat pracy Stanisława Celińska, o dekadę krócej pojawiający się na scenie Felicjan Andrzejczak i Majka Jeżowska; obchodzący 30-lecie Varius Manx i od dwóch dekad bawiąca słuchaczy Golec uOrkiestra. A także: Ania Dąbrowska (15. rocznica debiutu) i Sylwia Grzeszczak (10-lecie). Kortez dostał nagrodę za płytę „Mini dom", a Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz za krążek „Żyć się chce". Platynowe Płyty odebrały Anna Wyszkoni i Stanisława Celińska.

Koncert „Od Opola do Opola" w minucie najwyższej oglądalności przyciągnął 4,3 mln osób. Średnio oglądało go 3,7 mln widzów.

W piątek zabrakło na scenie Edyty Górniak. Piosenkarka, uhonorowana w 25. rocznicę sukcesu na festiwalu Eurowizji, dostarczyła widzom dodatkowych emocji. Tuż przed startem Opola zasłabła i została przewieziona do szpitala. Emocjonalne „To nie ja byłam Ewą" zaśpiewała ostatecznie podczas niedzielnego wieczoru.

Tymczasem jeszcze pierwszego dnia, podczas koncertu „Debiuty", wyróżniono: Olę Nykiel za utwór „Moja siła" oraz Sagrisa Davtyana (Nagroda im. Anny Jantar), który zaśpiewał utwór „Powiedz".

Kolejny wieczór i noc opolskiego festiwalu wypełniły „Premiery" oraz „Walizki moje pełne snów... czyli podróż poety". W pierwszym koncercie, prowadzonym przez Agatę Konarską i Artura Orzecha, wystąpili: Sławek Uniatowski, Katarzyna Wilk, Katarzyna Moś, Antek Smykiewicz, zespół Tulia oraz Mateusz Ziółko. W plebiscycie na najlepszą piosenkę zmierzyli się: Olga Bończyk, Ania Karwan, Patryk Kumór, Monika Kuszyńska, Maciej Miecznikowski & Leszcze, Marcin Sójka, Izabela Trojanowska, Szymon Wydra & Carpe Diem i grupa 4Dreamers.

Koncert piosenki literacko-kabaretowej „Walizki moje pełne snów... czyli podróż poety" odkrył na nowo piękno tekstów m.in. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego, Janusza Kondratowicza czy Jeremiego Przybory, ale też pokazał, jak wielu mamy znakomicie śpiewających i dobrze czujących dużą scenę aktorów.

Utwory wykonywali: Katarzyna Dąbrowska, Elżbieta Romanowska, Katarzyna Żak, Marek Kaliszuk, Olga Bończyk, Maciej Miecznikowski, Katarzyna Pakosińska, Jolanta Fraszyńska, Łukasz Zagrobelny, Joanna Kurowska, Grzegorz Kucias, Stefan Kaźuro, Marcel Sabat, Maria Pawłowska, Emilia

eprasa.pl 74b7eeeab6



Komarnicka-Klynstra, Magdalena Kumorek, Maciej Musiałowski.

Rewelacyjnie i w roli wykonawcy, i prowadzacego, sprawdził się Krzysztof Respondek. Pozytywnie zaskoczyli: Bartosz Porczyk (w ekspresyjnej interpretacji utworu Lady Pank) oraz Pola Gonciarz, która dzień później zdobyła nagrodę akredytowanych na festiwalu dziennikarzy i fotoreporterów. 20-latkę szersza publiczność zna jako Blankę, córkę Wiktorii z serialu „Na dobre i na złe".

W niedzielnym widowisku „Nie pytaj o Polskę#30 lat wolności" wykonawcom urodzonym po 1989 r. (Ewelinie Lisowskiej, Margaret, Igorowi Herbutowi, Natalii Nykiel, Kamilowi Bednarkowi, Sarsie, Darii Zawiałow, Dawidowi Kwiatkowskiemu) towarzyszyli starsi artyści. Pojawiła się wspomniana wcześniej Edyta Górniak. Nie zabrakło Maryli Rodowicz. Swoje przeboje przypomnieli: De Mono, Golden Life, Reni Jusis, Stachursky, Kombii, Katarzyna Cerekwicka, Feel, Ania Dąbrowska, Paweł Kukiz, Krzysztof Cugowski, Sydney Polak, Ryszard Rynkowski, Piotr Rubik, Big Day, Łzy, Ich Troje i dawno nie widziany Marcin Rozynek.

Wieczór domknęły dwa szczególne wykonania: pełni emocji „Łatwopalni" zaśpiewani przez Marylę Rodowicz oraz „Nie pytaj o Polskę" w poruszającej interpretacji Igora Herbuta. Odczytanie utworu Obywatela GC zaproponowane przez lidera grupy LemON z sukcesem zmierzyło się z – do tej pory nie do przebicia – brawurowym wykonaniem Krzysztofa Zalewskiego.

Ostatni, czwarty, dzień 56. KFPP należał do Sceny Alternatywnej. W repertuarze klasyków polskiego bigbitu wystąpili: The Dumplings, Rebeka, Barbara Wrońska, Miuosh, Otsochodzi i Lao Che. W drugiej części koncertu, emitowanej już na antenie TVP Kultura, 40-lecie pracy artystycznej świętował Tomek Lipiński.

Fot. Sławomir Mielnik/Nowa Trybuna Opolska

eprasa.pl 74b7eeeab6



Czarny fajerwerk

Dziewięć portretów. Dziewięć panoram Rusi, Ukrainy, Galicji. Dziewięć sztychów Jurija Andruchowycza

Wojciech Stanisławski

Ach, Jurko! Ach, Jurij Andruchowycz, korsarz literacki, flibustier ze znanego portowego miasta Iwano-Frankiwska vel Stanisławowa, leżącego, jak wiadomo, u brzegów wielu mórz! Od pierwszych tomów – „Moscowiady" i „Rekreacji" – pokazujący nam, co potrafi fantazja, jak pojedynczy koncept potrafi puchnąć niczym garść kukurydzy eksplodująca w beczkę popcornu. Zresztą nie, popcorn to sugestia podwójnie obraźliwa dla tego sztukmistrza-antykomunisty, któremu obca jest zarówno pachnąca fryturą komercja (z jaką nieuchronnie popcorn musi się dziś kojarzyć), jak i niesławnej pamięci forsowanie kukurydzianej kultury przez pierwszego sekretarza rodem z Ukrainy. Tymczasem w powieściach Andruchowycza dokonywały się prawdziwe cuda kreacji, strzęp japońskiej bibułki puchł w ikebanę, a potem w dżunglę, podrzucona garść kurzu stawała się fajerwerkiem. „Jest to wspaniała zabawa w oceanie musującej energii,/ Wśród klasków, wyładowań zapowiadających elektryczność./ Bulgocą kubły proto-farby, proto-pędzle pracują...".

Wielu próbowało naśladować tę musującą, niebiańską imaginację, krzyżowali gryfy i hippocentaury, a XVII-wieczną Rzeczpospolitą z wyłaniającą się z sowieckiego mułu Ukrainą lat 90. Wielu próbowało korsarskiej fantazji gromadzenia łupów z wielu wypraw, ciskania na jeden stos hiszpańskiego srebra i arabskich pereł, fantazji, którą ukradli korsarzom postmoderniści, usiłujący łączyć motywy i figle dawnych autorów. Wszystkim czegoś brakło – dawniej, w romantycznych czasach, powiedziano by, że „talentu", dziś, przy dobiegających zewsząd pochwałach zdrowego stylu życia, uznać można, że kondycji. Dość, że stali zziajani po napisaniu stroniczki, podczas gdy czarnoksiężnik z Iwano-Frankiwska o niespożytych siłach, performer, poeta i pisarz w jednym mnożył kalambury, persyflaże, parafrazy i aluzje. I stał na estradzie niczym na mostku kapitańskim, u którego stóp tłoczyli się tłumacze, tłumaczki, wydawcy i wyznawcy, z tubalnym śmiechem, srebrnym kolczykiem w uchu, rozwichrzoną brodą i – jak przystało na flibustiera – z dość mrocznym spojrzeniem.

W ćwierć wieku od debiutu powieściowego, w ponad 30 lat od poetyckiego, korsarz znów zawinął do naszego sennego portu z ładunkiem miraculów: ośmiu i pół opowiadań, ośmiu i pół fantazji traktujących o dziewięciu zbrodniach, jakie dokonały się rękami watażków, likwidatorów, szaleńców rodem z Siczy, Rusi, Ukrainy. Nie tyle nawet o zbrodniach samych, choć bez nich się nie obejdzie, ile o motywach i losach sprawców, o meandrach śledztwa.

Część tych historii wywiedziona jest potęgą samej fantazji z wersu kronik, rozkwita jak ikebana ze zmoczonej krwią bibułki: tak dzieje się z naszym starym znajomym, podolskim szlachcicem Samuiłem Niemiryczem, który wrócił z kart dawnych wierszy i esejów Andruchowycza (czemu, chciałoby się spytać, nie towarzyszą mu jego literaccy commilitioni, Stach Perfecki i Pawło Macapura?), by znów swawolić w roku 1610 w najznakomitszych lwowskich winiarniach w towarzystwie swych kompanów, zawadiaków Jacka Borodawki, Heńka Szulermana i portugalskiego Murzyna Joelinho, „strzelać z muszkietów do butelek i klepsydr, przybijać gwoździami do szynkwasu brody bywalców", łamać im ręce, nogi i żebra tudzież telefonować do Karaimów handlujących podrabianymi perskimi kobiercami, uprowadziwszy im wprzódy (z domu uciech „Pod czterema cyckami") pierworodnego.

Z takiej bibułki zdają się też wyrastać mnich, szalbierz i kochanek Albert Wiroziemski, nieszczęśliwie igrający z huculskimi czarami Mario Pongratz i arcybatiar Feluś „Fairbanks" Hoppe – choć opowieść o tym ostatnim, okrutnie zakończona za sprawą wlewających się do Lwowa Sowietów, przypomina raczej złamany szkarłatny goździk. Każde z tych opowiadań jest zarazem osobnym freskiem, ukazującym ziemie ukraińskie w przededniu rebelii Chmielnickiego, u progu rozbiorów, pod miłościwym panowaniem Franciszka Józefa; w każdym z nich odbijają się, niczym puszczane wieczkiem zegarka „zajączki", motywy z pozostałych (specjalność Andruchowycza!), cyrk Wagabondo przekracza granice czasu i przestrzeni z podobną łatwością, co kinematograf, telefon i balon.

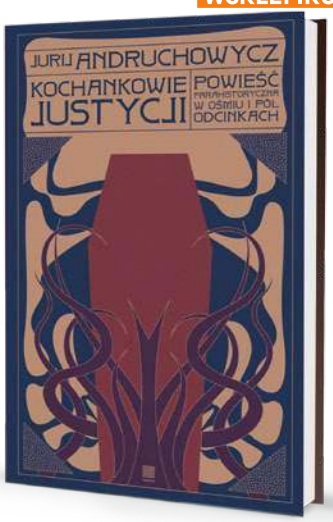
Tyle że od debiutu Andruchowycza minęło 30 lat; flibustier żeglował po wielu morzach, czytał „Powszechną historię nikczemności" Borgesa oraz opowiadania Iwaszkiewicza i Kiša,

eprasa.pl 74b7eeeab6

traktujące o głębi upadku, jaki zdarza się człowiekowi trawionemu strachem; pasemka brody dawniej tak czarnej, że niemal koloru indygo, zaczęły przypominać odcieniem srebrny kolczyk. Dwa co najmniej z ośmiu i pół opowiadań traktują o postaciach w pełni realnych: znanym wielu historykom Myrosławie Siczyńskim, zabójcy namiestnika Galicji Alfreda Potockiego, i znanym bardzo niewielu Bohdanie Staszyńskim, cynglu ukraińskiego KGB, likwidatorze Stepana Bandery, który na dzień przed wzniesieniem muru berlińskiego zdołał uciec na Zachód. Oba, wiernie oddając nastrój czasu, kawiorowy smak KGB-owskich bankietów i indygowy odcień inkaustu nieznanych listów, oferują nam zarazem hipotezę dotyczącą nieznanych motywacji obu zabójców – hipotezę nieweryfikowalną i karkołomną, niedającą się zapomnieć: fajerwerk, zamiast rozkwitnąć chryzantemą, wystrzela tym razem pojedynczą świecą wysoko, niebotycznie.

Opowiadanie ósme traktuje o Ukrainie roku 1943: Ukrainie, gdzie trwa bezustanna walka wszystkich przeciwko wszystkim, gdzie pod pozorami „stabilnej niemieckiej okupacji" i na gruzach gett kipi wojna podjazdowa Niemców, Węgrów, Ukraińców, Polaków, Azerów, Sowietów i białych Rosjan, Waffen SS Galizien i UPA, Kripo i kolaboranckich formacji policyjnych, gdzie czarny potok powszechnej nienawiści podnosi się coraz wyżej. Równie mistrzowskie jak poprzednie śledztwo literackie, jest jak wystrzał czarnego fajerwerku na tle indygowego nieba: nie ma w nim już żadnych odbić, „zajączków", migotań, a my, zdumieni, musimy przyjąć do wiadomości, że Andruchowycz potrafi pisać na jeszcze jeden sposób.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Jurij Andruchowycz, „Kochankowie Justycji", tłum. Ola Hnatiuk, Katarzyna Kotyńska, Adam Pomorski (wiersze), Wydawnictwo Warstwy, 2019

Słodko, gorzko

Bliscy osób z zespołem Downa nieraz zwracają uwagę na uderzający rozziew między skalą deklarowanej publicznie (często też politycznie) solidarności z chorymi na trisomię a rzeczywistą gotowością do współdziałania z nimi w życiu codziennym. Źródłem tego kontrastu (deklaracji dużo, solidarności niewiele) może być lenistwo, obłuda, ale też zwyczajna, podszyta obawą niewiedza o tym, jak obcować z bliźnimi namacalnie różniącymi się od nas – czasem ekspresją, czasem wykrojem powieki. Ta niewiedza jest zrozumiała, ale raniąca, tylko co z nią począć? Wysłać wszystkich na przymusowe zajęcia z empatii i socjoterapii? A może da się w jakiś sposób przekazać doświadczenie tych, którzy patrzą na świat inaczej, którzy nie potrafią funkcjonować w rygorach kalendarza, Excela, ciągów przyczyn i skutków?

Kultura współczesna usiłuje się otwierać na różnego rodzaju „inności", czasem z uważnością, częściej z ideowym przytupem. Mało jest jednak inności, które potrzebowalibyśmy zrozumieć bardziej niż osobność trisomii. Dwie najpoważniejsze próby przybliżenia nam tego doświadczenia w języku polskim to oczywiście „Poczwarka" Doroty Terakowskiej i „Cela" Anny Sobolewskiej. Obie książki powstały przed kilkunastu laty, obie nieuchronnie opisują dziecko z zespołem Downa przede wszystkim z perspektywy rodzica. Czy można pójść dalej? „Beza" Kingi Kosińskiej jest tego rodzaju próbą – i u jej genezy leży, mam wrażenie, potrzeba społeczna, jasno zdefiniowany zamiar opisania życia z perspektywy osoby z zespołem Downa, przybliżenia nam jej ram egzystencji, granic wyobraźni i doświadczeń społecznych zarazem.

To zamiar dość karkołomny i ryzykowny, bo w literaturze rzadko wystarczają dobre intencje, najlepsze rzeczy piszą jednak raczej piekielnie utalentowani egomaniacy, „Lalkę" czyta się lepiej niż „Katarynkę". W „Bezie" raz i drugi zaszeleści papier, zakłuje publicystyczna szpilka, bohaterka-narratorka w kilka miesięcy doświadczy zdumiewająco wiele. A jednak na stu zaledwie stronach udaje nam się spotkać z Iwoną („Bez, każdy jest bez

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Kinga Kosińska, „Beza", Wydawnictwo Linia, 2019

czegoś, choć się tego nie widzi. U mnie wysuwa się to na pierwszy plan, więc jestem Bezą, tak na dzień dobry. Choć naprawdę mam na imię Iwona. Rzadko to słyszę, bo przeważnie mówią Iwonka") w sposób, który pozwoli nam może chociaż raz nie uciec wzrokiem, kiedy ktoś mijany na ulicy nagle roześmieje się na nasz widok i uściśnie nam rękę; promienny, chociaż opowieść Kosińskiej smakuje raczej słodko-gorzką jarzębinową konfiturą niż bezą.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Adamski





Narodziny potwora

Takiego Władimira Putina jeszcze nie widziałem. Z bliska. W czasie kampanii wyborczej. Tej pierwszej, gdzie były kagebista bawił się jeszcze w demokratę bez dzisiejszej otwartej kpiny z systemu. Reżyser „Świadków Putina" Witalij Manski był szefem departamentu dokumentalnego rosyjskiej telewizji publicznej w momencie dla Rosji przełomowym. 31 grudnia 1999 r. prezydent Borys Jelcyn zrezygnował ze swojego stanowiska. Orędzie w nowym tysiącleciu wygłosił już premier Władimir Putin. Protegowany chwiejącego się politycznie i alkoholowo Jelcyna przejmował władzę z jedną myślą. Miał skończyć ze słabym krajem i przywrócić mu poczucie wielkości z czasów ZSRR.

Nie jest to dokument o wielkiej polityce ani geopolityce. Nie jest to całościowe spojrzenie na politykę Putina. Jest to wejście za kulisy Kremla w czasie, gdy człowiek mający potem przyznać, że rozpad Związku Sowieckiego był największą geopolityczną katastrofą XX w., kreował się na grającego zgodnie z regułami reformatora. „Czerwoniutki" – gorzko mówi o nim Jelcyn w rodzinnym gronie rok po oddaniu władzy. Wtedy już zrozumiał, komu przekazał tron. A przecież na tym samym filmie widzimy jego wcześniejsze zapewnienia, że Putin to gwarant ładu i wolności mediów.

To fascynujące, że Manskiemu udało się podejść z kamerami blisko takich osób jak Jelcyn i Putin. Dzięki temu, że rosyjskie media nie były wówczas opanowane przez reżim, a dziennikarzy jeszcze traktowano jako partnerów do dyskusji, reżyser uzyskał tak mocny efekt. Znamienna jest scena, w której Putin bezskutecznie próbuje przekonać Manskiego do swojej decyzji o przywróceniu radzieckiej melodii hymnu państwowego. Jeszcze się hamuje przed zapędami autorytarnymi. Jego zabójczy uśmiech ma już jednak coś demonicznego. Dziś dokumentujący pierwszą prezydencką kampanię wyborczą reżyser mieszka na Łotwie, a większość ówczesnego sztabu Putina nie żyje albo przeszła do opozycji. Poza Dmitrijem Miedwiediewem, biegającym na filmie obok Putina z młodzieńczą werwą typową dla sztabowca z filmów hollywoodzkich.

Nie oczekujcie, że ten film zdiagnozuje wam istotę putinizmu. Jednak z drobnych gestów i wypowiedzi Putina poza oficjalnymi konferencjami prasowymi i zachowania wśród sztabowców można odczytać jego osobowość. Ukształtowaną przez KGB i FSB, ale też rozumiejącą podstawowe zasady manipulacji masami w oligarchicznych demokracjach. Mocny obraz rodzenia się autorytaryzmu.

„ŚWIADKOWIE PUTINA", DYSTR. AGAINST GRAVITY

Fighterka z chóru



Islandzki hit „Kobieta idzie na wojnę" jest reklamowany informacją, że prawa do niego kupiła sama Jodie Foster i będzie chciała kręcić jego remake w Hollywood. Cóż, walka o ekologię, z główną rolą silnej oraz zmotywowanej kobiety, czyni temat bardzo pożądanym. Halla to fighterka kryjąca się za maską i tajemniczą ksywką Kobieta z Gór. Na co dzień jest skromną dyrygentką lokalnego chóru. Jednak jej alter ego prowadzi czynną wojnę z koncernem mordującym islandzką przyrodę. Gdyby Agnieszka Holland nie była napuszona i zideologizowana, to jej „Pokot" może miałby część lekkości tego filmu. Choć to dziwnie wymieszana gatunkowo lekkość. Jest tu kino sensacyjne, publicystyka i komedia. Jest kuriozalnie wyglądający tercet muzyczny, który pojawia się co chwila na ekranie, i klimat amerykańskich feel good movies. Cieszy to, że filmowcy zrezygnowali z antyglobalistycznych i antykapitalistycznych tyrad, skupiając się na rozrywce widza. Dziwaczny film, ale może porwać miłośników skandynawskich klimatów.

„KOBIETA IDZIE NA WOJNĘ", REŻ. BENEDIKT ERLINGSSON, DYSTR. M2FILMS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 74b7eeeab6

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

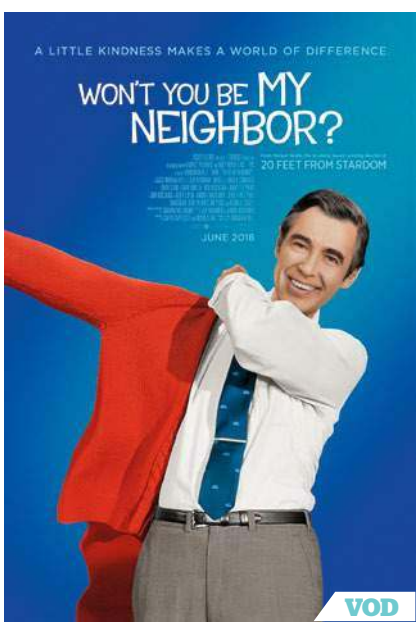
Takiej telewizji już nie ma

Tacy ludzie nie są już bohaterami zbiorowej wyobraźni. Dlatego tak bardzo warto obejrzeć ciepły, pozytywny dokument o mało znanej w Polsce ikonie dawnej amerykańskiej telewizji Fredzie Rogersie. Ubolewam, że wersja na Google Play jest tylko w języku angielskim, ale podejrzewam, że inne platformy pokażą go również z napisami.

Fred Rogers ponad 30 lat (1968–2001) wychowywał amerykańskie dzieci w publicznej telewizji PBS. Jego show „Mister Rogers' Neighborhood" był zbudowany na złotej zasadzie płynącej z nauk Jezusa – kochaj bliźniego jak siebie samego. Rogers nie robił programu religijnego, ale jako zdeklarowany chrześcijanin, pastor prezbitariański i przy okazji republikanin swoimi wartościami szczepił dzieci.

Rogers był człowiekiem orkiestrą. Muzyk, lalkarz umiejący zmieniać głosy, scenarzysta, producent i w końcu osobowość telewizyjna. Nie ograniczał się tylko do robienia show jak dzisiejsi telewizyjni celebryci. On przede wszystkim chciał wychowywać dzieci i je uczyć. Wraz ze swoimi maskotkami, w kapciach i sweterku, które zakładał na początku każdego programu, tłumaczył dzieciom ich językiem takie wydarzenia jak wojna w Wietnamie, zabójstwo Roberta Kennedy'ego i katastrofa promu kosmicznego Challenger. Gdy na południu USA biali sprzeciwiali się korzystaniu z basenów z Afroamerykanami, zaprosił do wspólnego moczenia nóg afroamerykańskiego aktora swojego programu, któremu wytarł ręcznikiem nogi.

Gdy nastawała era brutalnych kreskówek z superherosami, a na ekranach kin królował Superman z Christopherem Reeve'em, przestrzegał przed niebezpieczeństwem wiary dzieci w możliwość latania. Nawoływał też rodziców, by chronili dzieci przed niebezpiecznymi dla nich treściami. „Jeżeli przeraża was jakiś obraz w telewizji i boicie się pokazywanej przemocy, po prostu wyłączcie odbiornik" – mówił.



Wzbudzał kontrowersje. Oskarżano go o to, że niszczył charakter dzieci, wmawiając im, że każdy jest wyjątkowy. Krytycy mówili, że tym samym zachęca dzieci do lenistwa i odciąga ich od samodoskonalenia się, wmawiając im, że wyjątkowość nie przychodzi z pracy, konkurencji i poświęcenia. On jednak podkreślał, że chodzi mu o pokazanie godności każdego człowieka. Był za swoją niezłomną postawę parodiowany i wyśmiewany przez najsłynniejszych komików. Krytykę przyjmował zawsze z pokorą i klasą.

„Won't You Be My Neighbor" Morgana Neville'a znakomicie rysuje całą sylwetkę Rogersa, skupiając się na jego licznych wypowiedziach, archiwalnych nagraniach i rozmowach z jego współpracownikami, synem i wdową. „Dziś nie ma miejsca dla miłych osób w telewizji" – gorzko mówi jeden z członków jego ekipy. Na pewno nie ma miejsca dla kogoś takiego jak Fred Rogers.

„WONT' YOU BE MY NEIGHBOR" DOSTĘPNY NA GOOGLE PLAY

Scorsese o Dylanie

Martin Scorsese jest nie tylko jednym z najwybitniejszych żyjących reżyserów fabuł, lecz również oddanym muzyce dokumentalistą. Pracował jako młody filmowiec przy słynnym dokumencie o Woodstock, a potem nakręcił uznane dokumenty o Rolling Stonesach, George'u Harrisonie i The Band. W 2005 r. miał premierę jego ponadtrzygodzinny film o Bobie Dylanie („No Direction Home"). Teraz powraca do opowieści o ikonie amerykańskiej muzyki i nobliście w bardzo specyficznym filmie nakręconym dla Netflixa. 78-letni Bob Dylan pierwszy raz od dekady wypowiada się tak obszernie do kamery.



„Rolling Thunder" jest filmem skierowanym do fanów Dylana i miłośników historii amerykańskiej muzyki. To zbiór pięknie zrekonstruowanych cyfrowo zdjęć przedstawiających kulisy trasy koncertowej Dylana m.in. z Joan Baez. Na filmie pojawia się też guru beatników Allan Ginsberg, Rubin Carter, dla którego Dylan nagrał swoje arcydzieło „Hurricane", i młodziutka Sharon Stone. Wszystko rozgrywa się w czasie ponurych dla Ameryki lat 70. Przegrany Wietnam, Watergate i pękający na pół naród. Kawał historii!

FILM DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 74b7eeeab6



45/0319/F

Pomysł, Facebook, biznes

Jesteśmy świadkami odrodzenia tzw. kraftu, czyli mistrzowskiego rękodzieła – rzeczy robionych z pasją, z sercem, dokładnie, unikatowo, ale nie tak szybko jak w przemyśle. To światowy trend szczególnie widoczny w Polsce. Coraz chętniej kupujemy oryginalne, polskie produkty wykonane przez rzemieślników, o których oni sami opowiadają prawie osobiście – przez profil na Facebooku



MAKSYMILIAN WYSOCKI

Rękodzieło w trudach, ale się odradza. Odnalezieni przez nas bohaterowie są młodzi, niesamowicie zdolni i – co najważniejsze – potrafią wykorzystać dobrodziejstwa nowych technologii w promocji swojej działalności i prowadzeniu biznesu. Na to pozwala umiejętne wykorzystanie Facebooka, który globalnym i lokalnym firmom zapewnia podobne szanse w pozyskaniu uwagi potencjalnych klientów.

NA DESCE

Rafał Bernatowicz, znany w mediach społecznościowych jako BernOnTable, choć skończył szkołę rzemiosła artystycznego, z technologii drewna zaliczając pracę dyplomową na piątkę, z początku nie chciał się zajmować tym, z czego dzisiaj słynie. Jak to w życiu bywa, musiało wiele wody upłynąć w Wiśle, by odnalazło go powołanie, które dzisiaj znów jest jego pasją.

Odwiedzamy go w niepozornym warsztacie stolarskim, którego lokalizacja ma pozostać w tajemnicy. W tym miejscu czas zatrzymał się 30 lat temu. Rafał demonstruje, jak powstaje jeden z jego produktów. Przed nim leży piękna deska z czarnego dębu, która może mieć nawet kilkaset lat. Gdy zabiera się do pracy, pasję widać w każdym jego ruchu. Jak mówi, wszystko wróciło, gdy postanowili z żoną samodzielnie zbudować drewniany dom na wsi, by zamieszkać tam z dziećmi. Wtedy pasja do drewna wróciła. Dostrzegł też rodzącą się modę na oryginalność w ekskluzywnych restauracjach. Na nietypowych eleganckich deskach, w miejsce talerzy, zaczęto serwować jedzenie.

– Chciałem zainteresować najlepszego szefa kuchni, żeby zobaczył, czy i jak można „pożenić" gastronomię z drewnem. Mierzyłem wysoko i strzeliłem wysoko. Wojtek Amaro był wtedy pionierem takiej sztuki kulinarnej. Znalazłem go na Facebooku i po prostu do niego napisałem – przyznaje z rozbrajającą szczerością Rafał Bernatowicz z BernOnTable. – Przyjechałem do niego z kilkoma wzornikami drewna i porozmawialiśmy. Momentalnie pojawiła się między nami chemia. Wtedy stwierdziłem już definitywnie: „Wow! To chcę właśnie robić!". Potem trzeba było tylko zadbać o stronę wizualną i swojego Facebooka i... pyk! Poszło. Ciągle mnie bawi, jak o tym opowiadam – dodaje.

Tak było sześć lat temu. Dziś dzięki dbałości także o swój fanpage na Facebooku oraz profil na Instagramie Rafał nie dość, że robi to, co kocha, to jeszcze nie narzeka na brak klientów. Lepiej! Wykorzystując także płatne formy promocji, chce wyjść szerzej

eprasa.pl 74b7eeeab6

w świat ze swoimi produktami, bo w kategorii gastronomii premium, luksusowej, którą stać na takie wyroby, Polska to wciąż nie tak duży rynek.

NA SŁODKO

W podobnym tonie może wypowiadać się również Łukasz Smoliński z luksusowej, butikowej cukierni Deseo, współprowadzący ze swoją życiową partnerką Natalią Sitarską bardzo popularnego bloga podróżniczo-kulinarnego „Tasteaway".

Spotykamy się w ich najnowszym, najbardziej reprezentacyjnym lokalu Deseo w Warszawie przy ul. Burakowskiej. Wystawione za szkłem słodkie przysmaki są ważniejsze i... ciekawsze, choć Łukasz ma wiele do opowiedzenia. To małe dzieła sztuki. Łukasz przyznaje, że z pierwszego kryzysu pomogły mu wyjść dwie rzeczy: trudna, ryzykowna decyzja biznesowa oraz jego i Natalii umiejętność działania w mediach społecznościowych. Trudną decyzją było nieoszczędzanie na składnikach. Przeciwnie, zamiast – jak większość producentów w gastronomii – szukać tanich składników, on chciał właśnie tym się wyróżniać. I to się udało. Łukasz uwielbia opowiadać historię każdego ciastka, jego kompozycji oraz dobranych komponentów – wszystko to doświadczenia zebrane podczas podróży kulinarnych opisywanych na blogu „Tasteaway". Gdy mowa o pasji do jakości składników i finalnych produktów, dla Deseo nie ma kompromisów. Nie trzeba zresztą wierzyć na słowo, wystarczy spróbować. Wielką pasję do profesjonalnej komunikacji widać także na facebookowych fanpage'ach Deseo i „Tasteaway", które są napędzającą się wzajemnie dobrze prowadzoną machiną.

– Traktujemy komunikację w mediach społecznościowych bardzo osobiście, odpowiadamy na wszystko, komentujemy sami, w naszych postach jest dużo nas. Dużo myślę nad tym, jak pisać – mówi Łukasz Smoliński, właściciel marki Deseo. – Bardzo dużo inwestowaliśmy w bloga, który był i jest naszą taką tubą propagandową. Inwestowaliśmy, żeby zwiększać liczbę śledzących na FB. Robiliśmy to inteligentnie, od początku mając dość sprecyzowaną grupę docelową (kobiety 30–40 lat, mieszkańcy dużych miast, zainteresowania kuchnia, kulinaria, podróże, parenting). Dzięki temu urośliśmy szybko z 18 tys. fanów do ponad 200 tys. – dodaje.

Z OGNIEM

Do Dąbrowicy w gminie Jastków pod Lublinem wjeżdżamy przez malowniczą, bajkową drogę. Wieńczy ją naturalnie uformowany „tunel" z gęstych drzew i krzewów. Ze starej kuźni, która pamięta jeszcze, jak stojący obok XV-wieczny zamek Firlejów nie był ruiną, wychodzi Tomasz Gomoła, mistrz kowalski, motto z jego strony internetowej: „Zapraszam do mojego świata, zobaczysz tu prace wykute w ogniu", zaczyna dziwnie rezonować.

Wyroby Tomasza zdają się stawiać nas przed uporczywie powracającym pytaniem: „Jak jeden człowiek może tak dowolnie, finezyjnie i oryginalnie wyginać stal?". Od balustrad, po przepiękne kraftowe noże, miecze, a nawet rycerskie zbroje. Tomasz Gomoła jest nie tylko mistrzem kowalstwa artystycznego, jest też rycerzem, ale nie ratuje księżniczek, nie gromi smoków, za to wraz z resztą drużyny Rycerskiej Reprezentacji Polski skutecznie pognębił reprezentację Niemiec, a nawet Meksyku podczas majowych Mistrzostw Świata Walk Rycerskich na Ukrainie, organizowanych przez Federację IMCF (International Medieval Combat Federation).

Tomasz opowiada o tym wszystkim z wielką pasją, kując na pokaz żelazo, które za kilka godzin stanie się pięknym, wyjątkowym nożem, tak ładnym jak element biżuterii.

– Gdyby tak się przyjrzeć temu, co robię, jest to nie tylko kowalstwo, lecz także grawerstwo, jubilerstwo, koronkowa robota wymagająca cierpliwości i polotu. To wszystko składa się na takie renesansowe podejście do mojego zawodu. To ogień jest dla mnie jak pomocnik. On daje mi chleb, zawód, współpracujemy razem – mówi właściciel Pracowni Kowalstwa Artystycznego Tomasz Gomoła. – Kiedy stal się nagrzewa, okazuje się, że jest bardzo plastyczna, bardzo miękka, jak glina. Można w niej rzeźbić. Te moje młotki zamieniają się w moje linie papilarne, kiedy potrafię tę stal kształtować, i to się dzieje na moich oczach. A mimo to potem zamienia się w taką twardą bryłę. Może być jeszcze twardsza, mogę ją zahartować, więc panuję nad tym materiałem dzięki żywiołowi. Ogniowi. Jest to bowiem woda, ogień i stal. I nie ma nic lepszego.

– A moja popularność na Facebooku... można powiedzieć, że już jestem znany w świecie. Widzę, jakich mam klientów, i to z każdego kraju. Trzeba pamiętać, że Facebook i Instagram to są po prostu narzędzia, które możemy naprawdę dobrze wykorzystać, zwłaszcza jeśli prowadzimy taką działalność jak ja, typowo artystyczną. Tam mogę zaprezentować swoje produkty. Moi klienci już nie są dla mnie anonimowi. Ja też nie jestem anonimowy dla nich. To daje nam duży komfort w dogadywaniu szczegółów. Poza tym dzięki Facebookowi jesteśmy taką globalną społecznością kowali. Uczymy się od siebie, pomagamy sobie, a czasem nawet odwiedzamy się osobiście i wtedy... kujemy sobie nasze dzieła razem – dodaje Gomoła.

Tam są prawie wszyscy

W pierwszym kwartale 2019 r. z Facebooka korzystało ponad 2,380 mld użytkowników na świecie (przynajmniej raz w miesiącu zainteresowały się tą siecią). Według majowych danych centrum statystyk Statista.com z Facebooka korzysta na podobnej zasadzie 16,9 mln Polaków. Facebook w Polsce najbardziej popularny jest w grupie wiekowej 25–34 lata (28,9 proc.), ogólnie jest to medium ludzi w wieku 18–44. W Polsce Facebook ma 62,3 proc. udziału w rynku mediów społecznościowych, YouTube – 21,6 proc., a Twitter – 8,26 proc.

Na polskiej scenie socialmediowej doskonale ma się również inna społeczność należąca do Facebooka, czyli Instagram (mający 27,9 proc. polskiego rynku społecznościówek). Ponad 85 proc. użytkowników młodszych grup wiekowych jest stale obecna na Facebooku, dlatego powiedzenie: „Wszyscy są na Facebooku", nie jest tak dużą przesadą. Źródło:Statista.com

eprasa.pl 74b7eeeab6



Na naszym rynku wydawniczym dominuje literatura rozrywkowa, kryminały, poradniki. Cechą charakterystyczną polskiego rynku jest znacznie większy udział w porównaniu z innymi krajami literatury religijnej

Z dr. Tomaszem Makowskim, dyrektorem Biblioteki Narodowej, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Najwięcej czytają młodzi

„Patriotyzm jest rzeczą niezwykle istotną, ale niekoniecznie musi to być patriotyzm oparty na walce narodowowyzwoleńczej, spiskach, bo w dużym stopniu właśnie o tym będziemy mówić, uczyć. A my byśmy chcieli, żeby było więcej problemów współczesnego świata. Tymczasem znowu będziemy omawiać »Konrada Wallenroda«, »Kordiana«, »Nie-Boską komedię«, »Rozdzióbią nas kruki, wrony«, »Potop«". Kto mógł pańskim zdaniem tak powiedzieć?

Tomasz Makowski: Nie mam pojęcia.

Zaskoczę pana, jeśli powiem że strajkująca nauczycielka?

Tak. Przeprowadzone w zeszłym roku badania nauczycieli polonistów kreślą obraz wytrawnych czytelników, doceniających zarówno nowe książki, jak i klasyczny kanon. Lektury patriotyczne powinny zostać w szkole, bo budują łączność między pokoleniami, wychowują do bycia Polakami. Osoba, która nie przeczytała pewnego zestawu lektur, nie będzie w stanie zrozumieć różnych postaw wcześniejszych pokoleń, ale także współczesnych sobie osób. Szkoła powinna też wychowywać do przyjemności, jaką czerpie się z czytania. Jeśli rodzina nie potrafi wychować do czytania, szkoła musi przejąć jej rolę.

Bez znajomości pewnego kanonu literackiego trudno jest w ogóle uczestniczyć w kulturze, ale także w życiu politycznym, społecznym. Przecież zawiera on pewne archetypy, odniesienia np. do mitologii, historii. Ciężko jest uczestniczyć w nowych kulturalnych wydarzeniach, czytać nowe książki czy oglądać nowe filmy, bo ich twórcy bardzo często sięgają do tych archetypów, które są zawarte w literaturze z kanonu klasycznego.

Nie dotyczy to tylko literatury, ale np. muzyki. Bardzo często na twarzach osób, które pierwszy raz odwiedziły operę czy filharmonię, gości zdziwienie, kiedy słyszą fragmenty, które znały do tej pory wyłącznie z reklam. Współczesna cywilizacja, zarówno jej formy wyrafinowane, jak i bardzo popularne, sięga do tego, co poprzednie pokolenia nam przekazały.

Chciałam napisać tekst, który by się zaczynał stwierdzeniem, że tak jak Telimena do biurka chowam

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 74b7eeeab6

w zakładkach w komputerze pewne informacje, i sobie pomyślałam: jak dużo osób będzie wiedziało, o co chodziło z tą Telimeną i tym biurkiem? Ludzie przestali używać cytatów, sentencji, przywoływać skojarzenia, które są właśnie zakorzenione w literackim kanonie – powiedziałabym – dawanego, ogólnie dobrze wykształconego inteligenta

Nie możemy ustawać w ochocie bycia lepszym. Inteligencję jako grupę społeczną wyróżnia świadomość, jak wiele każdy z nas powinien się jeszcze nauczyć. Należy pokazywać, że warto czytać. Od czasów wynalezienia druku wydano ponad 130 mln tytułów książek, z czego w Polsce 1,2 mln. Ile z tego w ciągu życia jesteśmy w stanie przeczytać? Pięć tysięcy, dziesięć?

Twierdzi pan, że szkoła powinna wychowywać do czytania... Jest już nowy raport o czytelnictwie w Polsce, który Biblioteka Narodowa co roku przygotowuje? Tak samo jak w ubiegłym roku ponad 60 proc. Polaków nie przeczytało ani jednej książki?

Jestem zadowolony, że czytelnictwo nie maleje, negatywny trend się zatrzymał, mimo że pokus innego spędzania wolnego czasu jest coraz więcej. Powstały serwisy filmowe z bardzo atrakcyjną propozycją, nie tylko rozrywkową, lecz także bardziej skomplikowaną intelektualnie.

Ci czytający sięgają tylko po książki w tzw. papierze?

Badamy każdą formę książki, także elektroniczną. Do grupy czytających zaliczamy również tych, którzy przeglądają książki...

To jest częsty widok w księgarniach, czasami człowieka nie stać na kupienie książki.

Im więcej osób będzie przeglądało książki w księgarniach, tym więcej będzie je kupowało.

A młodzież? Czy w tych badaniach kategorie wiekowe są uwzględnione?

Tak, badania obejmują osoby powyżej 15. roku życia. Okazuje się, że najwięcej czytają młodzi. Wpadamy w pułapkę oczywistości, myśląc, że kiedyś wszyscy czytali, a teraz internet odciąga nas od papierowych książek. Czytaliśmy ich więcej, bo jeśli chcieliśmy sprawdzić przepis na zrobienie zupy czy jakiegoś innego dania, musieliśmy sięgnąć do książki kucharskiej, a dzisiaj zajrzymy do internetu, są tam też słowniki czy encyklopedie. Ale to nie znaczy, że kiedyś, w XIX czy XX w., czytano masowo. Wręcz przeciwnie, była cała ogromna grupa ludzi, którzy nie czytali nigdy, i było to niestety przekazywane z pokolenia na pokolenie. Zapamiętujemy szlachetne wyjątki, a nie zjawisko.

> Trudno sobie wyobrazić Polaka, który nie czytał „Odprawy posłów greckich", „Pana Tadeusza", „Balladyny" czy „Przesłania Pana Cogito"

To skąd się wzięła nasza pamięć o latach sprzed 1989 r., kiermaszy książek organizowanych w maju, gdzie ustawiały się wielkie kolejki? Latach, w których książki kupowało się spod lady. Jedni byli szczęśliwi, że mają zaprzyjaźnioną ekspedientkę w mięsnym, ale inni – że panią w księgarni. Nawet jeżeli się nie czytało, wypadało udawać, że się czyta. Nasza pamięć płata nam figla? Tak nie było?

Było tak, jak jest dzisiaj. W dużych miastach, w dużych ośrodkach, zwłaszcza akademickich, rzeczywiście czytanie było modne i dzisiaj jest podobnie. Nastolatki nie tylko rozmawiają o nowych technologiach, bo dla nich ich istnienie jest czymś zwyczajnym, tak jak dla starszych kiedyś prąd, ale bardzo często rozmawiają o książkach. I oni czytają najwięcej. Aby młody człowiek skojarzył czytanie z dorosłością, musi zobaczyć przynajmniej jednego dorosłego w swoim codziennym życiu, dla którego czytanie jest częścią życia. Tą osobą może być rodzic, nauczyciel, bibliotekarz. I który poleci mu książkę, która się spodoba. Jeśli się nie spodoba, nie sięgnie po następną.

Jak powinny być ułożone proporcje w spisie lektur szkolnych? Na ile mają one być czymś, co nadaje nam tożsamość historyczną, narodową, patriotyczną, a na ile tym, co nas przygotuje do życia we współczesnym świecie?

Co najmniej połowę pozycji powinny tworzyć lektury tożsamościowe, budujące naszą wyobraźnię wspólnotową. Trudno sobie wyobrazić Polaka, który nie czytał „Odprawy posłów greckich", „Pana Tadeusza", „Balladyny", czy „Przesłania Pana Cogito". Czy Herbert jest dzisiaj literaturą dawną, czy współczesną? Dzisiejszym 20-latkom opowiada o czasach dla nich odległych. I w tej perspektywie musimy myśleć. Odzyskiwanie niepodległości szczęśliwie dzisiaj nie jest naszym zadaniem, ale powinniśmy znać lektury pokazujące walkę o nią czy też mówiące o tym, jak budowała się w pokoleniach żyjących w czasach niewoli potrzeba państwa niezależnego.

Mniej romantyzmu, więcej pozytywizmu w lekturach?

Pewnie tak, bo dzisiaj nikt nie musi walczyć o niepodległość jak nasi przodkowie w XIX i XX w. Żyjemy w wolnym i niepodległym kraju.

Może zatem ta nauczycielka ma trochę racji, kiedy mówi, że lektury oparte na etosie walki o niepodległość, poświęcania życia za ojczyznę są dla dzisiejszej młodzieży mniej zrozumiałe, może właśnie pozytywistyczny etos pracy, a nie ten narodowowyzwoleńczy, w którym „na stos rzuciliśmy nasz życia los"?

To nie jest wybór albo, albo. Żyjąc w tym miejscu Europy, w którym jesteśmy, nie możemy być pewni przyszłości. Lektury identyfikujące nas niepodległościowo nie opowiadają

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Andrzej Wiktor

tylko o przeszłości, one są nam potrzebne dzisiaj. Mamy teraz najlepszy czas na dyskusję o lekturach szkolnych, bo po raz pierwszy od 200 lat dojrzało pokolenie urodzone w wolnym kraju, które nie pamięta czasów niewoli. Oni patrzą inaczej. Co więcej, pisarze nie wymarli, piszą nowe książki, wiersze, opowiadające o naszym życiu dzisiaj. I częścią lektur szkolnych powinny być dzieła żyjących autorów, którzy poprzez swoją wrażliwość opowiadają o czasach nam współczesnych. Myślę, że w każdym roku pojawia się co najmniej jedna książka, jedna powieść czy jeden tomik wierszy, które warto włączyć do spisu lektur, bo one opowiadają o nas współczesnych. Również jako tekst do dyskusji.

Kto powinien układać listę lektur szkolnych? Urzędnicy resortu edukacji, przy pomocy bliżej nieokreślonej grupy ekspertów, czy to powinna być bardziej powszechna dyskusja?

Moim marzeniem jest, żeby raz do roku odbywała się publiczna dyskusja o tym, co powinno być przekazywane młodym ludziom do czytania. To nie może być ani przypadek, ani wynik osobistych upodobań. Nauczyciele, uczniowie, literaturoznawcy, bibliotekarze i politycy powinni dyskutować na ten temat, bo to jest kwestia budowy wyobraźni społecznej kolejnych pokoleń.

Są wielkie dzieła opisujące najważniejsze przeżycia pokoleniowe, żeby daleko nie sięgać – „Pan Tadeusz" i wojny napoleońskie, „Dziady" – młodzi ludzie walczący o niepodległość, mieliśmy pokolenie Kolumbów, też opisane. Ale czy mamy taką wielką literaturę, która by pokazywała np. przełom 1989 r., pokolenie Solidarności?

To pytanie sam sobie stawiam. Bardzo ciężko byłoby dzisiaj wyłonić jedną książkę, która osiągnęła ogromny nakład i opowiadała o naszym życiu na przełomie tych dwóch epok. Mam wrażenie, że żyjemy w czasach bardzo dobrych poetów i dzisiaj łatwiej opisać świat poprzez wiersze. Skoro nie potrafimy stworzyć wielkich powieści, wielkich narracji opisujących świat z perspektywy 30 lat, to może warto zacząć od opowiadań, mniejszych form. Mamy dobre przykłady – zaczynając od Marka Nowakowskiego i jego następców Wojciecha Chmielewskiego i Pawła Sołtysa oraz kilku innych znakomitych twórców.

Pomału zaczynamy się odzwyczajać od czytania dłuższych tekstów, bo ludzie szybciej żyją i chcą w bardziej skondensowanej formie odbierać to, co ktoś inny myśli i przelewa na papier.

Nie badamy umiejętności czytania, która jest powszechna, ale gotowość przeznaczenia części swojego wolnego czasu na wyrafinowaną lub mniej wyrafinowaną lekturę. Zwłaszcza teraz, kiedy dzięki postępowi technologicznemu obowiązki domowe zabierają nam mniej czasu niż kiedyś.

Spotkałam się z taką opinią, że nieważne, co człowiek czyta, ważne, żeby w ogóle czytał. Przypominam sobie ten okres, kiedy na polski rynek weszły tzw. harlequiny i mówiło się, że to były książki, które zachęciły kobiety do czytania. Dla niektórych to była pierwsza książka, którą przeczytały, i potem sięgały po inne. Nieważne, od czego zaczynamy, bo to może być droga do tej ambitniejszej lektury?

Trudno się z tym zgodzić, bo ważne jest, żebyśmy czytali lektury bardziej wyrafinowane niż prymitywne. Ale też pamiętajmy, że kiedyś również dominowała literatura rozrywkowa. W XVI w. częściej czytano literaturę jarmarczną niż traktaty filozoficzne. Jeśli młodych ludzi wychowamy od razu do czytania rzeczy wartościowych, to będzie duży sukces, ale zawsze musi to być uzupełnione literaturą czytaną dla czystej przyjemności. Czytamy książki rozrywkowe, żeby odpocząć, nie tylko wzbogacić się wewnętrznie czy czegoś nowego się dowiedzieć. Nie ma w tym nic złego. Najczęściej drogą do bardziej wymagających tekstów są te łatwiejsze.

Z badań, o których pan wspomniał, wynika, że największą grupą czytających jest młodzież. Ale co ona czyta? Czy sięga do klasyki?

Mądra młodzież czyta mądre książki i zazwyczaj to zasługa dorosłych. Ktoś musi ją wychować, być przewodnikiem po świecie książek. Bez opieki na początkowym etapie dojrzewania młodzi będą sięgali po tytuły przypadkowe.

Inne badania pokazują, że młodzież uważa, że jest mądrzejsza od dorosłych.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Tak zawsze było! Bo są sprawniejsi technologicznie, tak jak my byliśmy sprawniejsi od naszych rodziców czy dziadków. Ale dorastają i okazuje się, że wiele wątków i sytuacji, które ich w życiu spotyka, było naprawdę świetnie opisanych np. w starożytności. I że nie do końca jesteśmy aż tak dużo mądrzejsi od przeszłych pokoleń. Pewne sytuacje i wybory spotykają nas cały czas i sięganie do archetypów nie jest takie niezasadne, bo świat istnieje od bardzo dawna.

Kiedy wynaleziono telewizję, mówiło się, że zabije film, dzisiaj kino ma się całkiem dobrze, a nawet lepiej, teraz mówi się, że film może zabić czytelnictwo. Czy sfilmowane książki zastępują dzieła literackie czy odwrotnie – zachęcają do przeczytania oryginału?

Obecnie ekranizacje zachęcają do sięgnięcia po książkę, rzadziej odwrotnie. Jak pokazują badania, ekranizacje mają duży wpływ na pobudzenie chęci czytania oryginału, więc nie ma w tym nic złego. Chodzi o to, żeby czytanie zekranizowanych książek rozbudzało chęć sięgania po inne książki.

Zalew bryków, streszczeń, sfilmowanych lektur szkolnych... Można udawać, że się książkę przeczytało.

Tak też było zawsze. Dzieci próbują wywalczyć sobie czas wolny i to jest zrozumiałe. Dopiero z czasem zdają sobie sprawę, że jakaś lektura była dla nich ważna i doceniają wymóg przeczytania całości.

„Noce i dnie", „Nad Niemnem" to są lektury, które młodzież chyba gremialnie odrzuca. Może tolerowany jest Sienkiewicz, bo to był taki polski Dumas, pisał książki, które są prawie że scenariuszami filmowymi.

Sienkiewicz w 2019 r. jest obecny, nie trzeba go reanimować, nadal jest czytany. Nawet kultura popularna nawiązuje do Sienkiewicza.

Ale dla ilu z młodego pokolenia „Ociec, prać?" będzie wyłącznie reklamowym sloganem, a nie kwestią młodych Kiemliczów z „Potopu"?

Myślę, że wiele osób przeczytało Sienkiewicza z ogromną przyjemnością, może niektórzy nie chcą się do tego przyznawać. Na pewno jest to autor o największym łącznym nakładzie książek w Polsce po II wojnie światowej.

Każdy egzemplarz książki wydanej w Polsce trafia do Biblioteki Narodowej. Jak się kształtuje struktura wydawnicza w naszym kraju?

Dominuje literatura rozrywkowa, kryminały, poradniki. Cechą, charakterystyczną polskiego rynku jest znacznie większy udział w porównaniu z innymi krajami literatury religijnej. Literatura z wyższej półki, zarówno proza, jak i poezja, ma niestety niewielkie udziały w rynku. Tak było i tak jest także w innych krajach.

> Mam wrażenie, że żyjemy w czasach bardzo dobrych poetów i dzisiaj łatwiej opisać świat poprzez wiersze

Nasz rynek wydawniczy jest za mały, na poziomie 2–2,5 mld zł, a powinien osiągać wartość, zważywszy na liczbę mieszkańców, 6–7 mld zł. To wynika oczywiście z niskiego czytelnictwa, mniej się kupuje, upadają księgarnie.

Nawet biorąc pod uwagę te ograniczenia, trudno stwierdzić, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat jakiś polski autor osiągnął olbrzymi sukces.

Największy sukces w polskiej literaturze osiągnął Sienkiewicz. Rok po pierwszym wydaniu „Quo vadis" w języku polskim, trochę ponad sto lat temu, już były cztery niezależne tłumaczenia w języku hiszpańskim. Język polski jest dopiero czwartym, jeżeli chodzi o liczbę edycji tego dzieła, po niemieckim, hiszpańskim i włoskim.

Ale trochę czasu minęło. Który polski autor powtórzył ten sukces?

Tylko św. Jana Paweł II i św. Faustyna. Ale to nie jest literatura piękna.

Będę się upierała, że książki w Polsce są za drogie, ale biblioteka jest takim miejscem, do którego każdy może przyjść i książkę wypożyczyć za darmo. Jednak w większości bibliotek gminnych czy w mniejszych miastach brakuje nowości, które przyciągają czytelnika.

W zeszłym roku kupiliśmy do bibliotek publicznych 3,5 mln książek. To trzy razy za mało. W większości były to nowości wydawnicze, oczywiście część to lektury szkolne. Cały czas zachęcam samorządy do inwestowania w biblioteki. Kraje najbardziej rozwinięte, w których dostęp do technologii jest powszechny, np. skandynawskie, inwestują bardzo mocno w biblioteki, pełnią one bowiem wiele funkcji koniecznych dla funkcjonowania społeczności lokalnych. Zaufanie społeczne, jakim cieszą się biblioteki, wynika m.in. z bezpośredniego kontaktu. Rozmawia się tam w cztery oczy. Bibliotekarka nie ocenia. Młody człowiek, który nie wynosi kapitału społecznego z domu, bardzo często boi się prosić nauczyciela o radę lub pomoc w rozwijaniu swoich zainteresowań, bo nauczyciel wystawia oceny. Każdy dorosły może pójść do bibliotekarki i poprosić o pomoc w poznaniu nowych technologii, np. korzystaniu z internetu. Biblioteka powinna też być oczywistym miejscem spędzania czasu dla osób na emeryturze, zwłaszcza samotnych. W bibliotece nie tylko pożyczą książki, lecz przede wszystkim spędzą czas wśród innych ludzi. Dlatego biblioteki powinny być otwarte przez cały dzień, przede wszystkim w soboty, bo jest to miejsce potrzebne i niezastąpione. I nawet jeżeli wszystkie książki będą w internecie, a prędzej czy później tak się stanie, to i tak biblioteki będą potrzebne jako miejsce bezpieczne i bezpłatne, w którym będzie ktoś, kto nam doradzi lub po prostu porozmawia. Internetowa księgarnia czy wypożyczalnia tego nie zastąpią.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Trzej panowie w Kiszyniowie

Ta historia jest żywcem wyjęta z opowieści o czasach kolonialnych, choć zdarzyła się w Europie w ciągu ostatnich dni



JAN ROKITA

Rzecz wydarzyła się w Mołdawii, jednym z najciemniejszych i najuboższych zakątków postsowieckiej części naszego kontynentu, i zapewne dlatego nie wywołała odpowiedniego zainteresowania czy odzewu. Polityczny chaos dominuje w Kiszyniowie nie od dzisiaj i nikt tak naprawdę nie przywiązuje większej wagi do tego, co się dzieje na tamtejszej scenie. Nikt oczywiście, z wyjątkiem Kremla, który na całym rozległym obszarze postsowieckiej Europy z utratą swoich wpływów jako tako się pogodził w krajach bałtyckich, ale nigdzie więcej. Żywe zainteresowanie wydarzeniami w Kiszyniowie wykazują jeszcze tylko dwa kraje sąsiedzkie: Rumunia i Ukraina. W Bukareszcie prezydent Klaus Iohannis szedł do zwycięskich wyborów z mglistym planem federalizacji swego kraju z historycznie i kulturowo związaną z nim Mołdawią. W Kijowie zaś były prezydent Petro Poroszenko pozostawał w zażyłym sojuszu z najsilniejszym ostatnio człowiekiem w Kiszyniowie – potentatem, oligarchą, filantropem i przywódcą tamtejszej Partii Demokratycznej Władem Płachotniukiem, z którym wespół próbował konstruować coś na kształt zapory przeciwko geopolitycznym aspiracjom Kremla w południowo-wschodniej Europie. Nic dziwnego, że gwałtowny upadek Płachotniuka i jego ucieczka z Mołdawii wywołały oznaki niepokoju w tych właśnie dwóch stolicach: w Bukareszcie i Kijowie. Reszta Europy, w tym także Polska, patrzy na

eprasa.pl 74b7eeeab6



Nowa premier Mołdawii Maja Sandu to absolwentka Harvarda i wieloletnia funkcjonariuszka Banku Światowego

Fot. East News/AP Photo/Rovelia Buga

Kiszyniów z nie całkiem uzasadnioną obojętnością.

WSZECHWŁADZA WŁADA

Mołdawia to mały kraj, liczący raptem 3,5 mln ludzi, a szacuje się, iż milion wyemigrowało zeń ostatnimi laty. Najpopularniejszym politykiem w sondażach jest tam... Władimir Putin, co obrazuje nie tylko silną społeczną więź z Rosją trwającą po czasach sowieckich, lecz może jeszcze bardziej zniechęcenie Mołdawian do własnej klasy politycznej. Przekłada się to również na dominację prorosyjskiej Partii Socjalistów Republiki Mołdawii (PSRM), która wyraźnie wygrała w lutym tego roku wybory, a w ciągu ostatnich miesięcy zwiększyła swoje społeczne poparcie do przeszło 40 proc. Jej przywódcą jest obecny prezydent kraju Igor Dodon, który swoją polityczną drogę zaczynał w mołdawskiej partii komunistycznej, odwołującej się wprawdzie do ideologii leninowskiej, ale zafascynowanej jednocześnie typowo postsowieckim nomenklaturowym kapitalizmem. Przez krótki czas, po roku 2009, władzę w Kiszyniowie sprawowali prounijni liberałowie, którzy nawet byli w Brukseli przedstawiani jako prymusi w reformowaniu państwa na modłę europejską i nagradzani m.in. umową o wolnym handlu z UE. Ale liberałowie upadli po tym, jak się okazało, iż ich szefowie wraz z rodzinami wyprowadzili z mołdawskich banków kwoty rzędu 1 mld dol., co w tym biednym kraju było równe mniej więcej rocznemu budżetowi państwa. Ostatniego liberalnego premiera Walerego Streleta obaliła w 2015r. fala rozruchów, jakie wybuchły po ujawnieniu tej afery.

Od tamtego czasu najsilniejszym człowiekiem mołdawskiej polityki stał się Wład Płachotniuk, o którym jego mołdawscy przeciwnicy rozpowiadali legendy. Karierę finansową miał on ponoć zaczynać od sutenerstwa i handlu kobietami, ale (co już jest w sferze sprawdzonych faktów) fortuny dorobił się jako menedżer mołdawskiej filii rumuńskiego koncernu petrochemicznego i prezes sporego banku. W tamtym czasie nie tylko udawało mu się przejmować kolejne mołdawskie firmy, lecz stopniowo podporządkowywać sobie kolejne instytucje publiczne. Kiedy w końcu stanął także na czele Partii Demokratycznej, jego polityczno-finansowy konglomerat obejmował kontrolę nad głównymi mołdawskimi sądami, policją, biurem antykorupcyjnym, centralną prokuraturą, a także większością mołdawskiego rynku medialnego (m.in. czterema stacjami telewizyjnymi). Jego fundacja Edelweiss była największą instytucją filantropijną w kraju. W ciągu ostatnich czterech lat w Mołdawii było jasne, że bez Płachotniuka żadna władza w Kiszyniowie nie może się utrzymać.

Tak więc socjaliści Dodona wygrywali wybory, ale musieli rządzić pod nadzorem Płachotniuka, tzn. „w koalicji" z jego Partią Demokratyczną. Fakt ten miał dwie fundamentalne konsekwencje.

Mołdawski system polityczny stawał się z czasem coraz bardziej iluzoryczną demokracją, gdyż układ władzy nosił charakter polityczno-finansowej koterii, rozszerzającej swoje wpływy i interesy. Było więc jasne, że w takim systemie postulowane przez Brukselę „reformy strukturalne", których częścią miałyby być przejrzyste procedury rządzenia, są czystą mrzonką, która nigdy nie zostanie urzeczywistniona. To wzbudzało szczególną irytację w Brukseli, przywiązanej bardzo do idei eksportu własnych procedur i reguł gry.

Ale kontrola Płachotniuka nad całym układem władzy miała i drugi – pewnie z politycznej perspektywy ważniejszy – skutek. Temu prorosyjskiemu i wstrząsanemu ulicznymi rewoltami krajowi Płachotniuk narzucił swoistą wolę suwerenności, wymuszając na socjalistach, gotowych w każdej chwili służyć Kremlowi, politykę obrony państwa przed naciskiem i wpływami Rosji. Płachotniuk posuwał się nawet do takich antyrosyjskich spektakli, że wyrzucał z Mołdawii rosyjskich szpiegów-dyplomatów albo odwoływał swego ambasadora w Moskwie. I rozszerzał stopniowo swoją kontrolę także na pobliskie mafijne Naddniestrze, które Rosjanie przywykli traktować jako rozsadnik własnych wpływów i narzędzie do infiltracji sąsiednich krajów. Nic więc dziwnego, że Płachotniuk został przyjacielem prowadzącego otwartą wojnę z Rosją Petra Poroszenki. W Moskwie jego rządy musiały budzić rosnące zniecierpliwienie.

POLITYCZNY PRZEWRÓT

I oto zdarzył się polityczny cud, którego szczegółowej anatomii zapewne prędko nie poznamy, gdyż okrywa ją tajemnica skrytej dyplomacji pomiędzy Moskwą, Waszyngtonem i Brukselą. Po ostatnich lutowych wyborach Płachotniuk i Dodon wdali się w spór o zakres swoich wpływów, co w efekcie zablokowało na kilka miesięcy możliwość powołania nowego rządu.

eprasa.pl 74b7eeeab6

3 czerwca w Kiszyniowie pojawili się nagle i jednocześnie trzej panowie: Dmitrij Kozak z Moskwy, Bradley Freden z Waszyngtonu oraz Johannes Hahn z Brukseli. Pierwszy jest rosyjskim wicepremierem, którego w Kiszyniowie dobrze znają, gdyż jako „mediator" w konfliktach między Mołdawią a Naddniestrzem był swego czasu bardzo blisko przeprowadzenia traktatu o federalizacji obu sąsiadów. A zważywszy na to, iż Naddniestrze jest de facto terytorium rosyjskim, z liczną obecnością rosyjskich żołnierzy, była to zręczna próba pozbawienia Mołdawii suwerenności państwowej. Drugi z trzech panów jest najwyższym w ekipie Trumpa dyplomatą ds. Europy Wschodniej, trzeci zaś unijnym komisarzem z Austrii ds. rozszerzenia, który co prawda nie ma w Brukseli zbyt wiele roboty (jako że idea dalszego rozszerzania Unii jest coraz bardziej fikcją), ale zajmuje się tam właśnie sprawami mołdawskimi, gdyż Kiszyniów formalnie zabiega o to, aby został przyjęty kiedyś do Unii.

Ich przylot do Kiszyniowa wywołał niemal natychmiast polityczny przełom. Dodon został zmuszony do gwałtownego zerwania z Płachotniukiem, za to raz–dwa pojednał się ze swoimi śmiertelnymi wrogami z obywatelskiej koalicji Teraz, orientującej się na Zachód i Brukselę. Pogłoski z Kiszyniowa donoszą, że Kozak kolanem dociskał nowy układ, na który Dodon i jego socjaliści nie chcieli się zgodzić bez wyraźnego polecenia z Kremla. Polecenie takie nadeszło i 8 czerwca w Kiszyniowie władzą podzieliła się Moskwa z Zachodem. Urząd prezydenta i władze parlamentarne pozostały przy Moskwie, ale premierem mianowano Maję Sandu – absolwentkę Harvarda i wieloletnią funkcjonariuszkę Banku Światowego.

Płachotniuk krótko próbował się bronić. Użył kontrolowanego przez siebie Sądu Konstytucyjnego do pozbawienia władzy prezydenta Dodona, wyznaczając na p.o. prezydenta byłego pracownika swoich firm i premiera Pawła Filipa. Filip najpierw ogłosił nowe wybory na 6 września, ale gdy Moskwa, Waszyngton i Bruksela wespół odmówiły uznania nowych wyborów, zmienił zdanie. I po wizycie amerykańskiego ambasadora zrezygnował ze wszystkich funkcji, umożliwiając powrót do władzy Dodona oraz rozpoczęcie urzędowania przez premier Maję Sandu. Do tego czasu nie mogła się ona dostać do zablokowanego przez ludzi Płachotniuka gmachu rządu. W międzyczasie zdanie zmienił także Sąd Konstytucyjny, bo sędziowie się zorientowali, iż opór Płachotniuka słabnie, a on sam i ludzie z jego koterii szykują się do ucieczki z kraju. Podobno samego Płachotniuka do opuszczenia kraju miał osobiście skłonić amerykański ambasador. Na Facebooku oligarcha i filantrop oznajmił, iż zamierza wrócić do Mołdawii, a kierowana przezeń Partia Demokratyczna przechodzi do opozycji. „Moje dzieci są przestraszone, moja rodzina jest przestraszona i nigdzie nie czuje się bezpiecznie" – napisał. „Rodzina potrzebuje, abym był obok niej i zostanę z nią tak długo, jak będę jej potrzebny". Podobno najbliższa rodzina Płachotniuka przebywa w Szwajcarii.

> 8 czerwca w Mołdawii władzą podzieliła się Moskwa z Zachodem. Urząd prezydenta i władze parlamentarne pozostały przy Moskwie, a premierem mianowano wieloletnią funkcjonariuszkę Banku Światowego

RUSO-EURO-AMERYKAŃSKIE KONDOMINIUM

Od losu Płachotniuka, a także (niestety taka jest polityka) od przyszłości samej Mołdawii daleko ważniejszy jest niebywały precedens stojący za obecnym przewrotem w Kiszyniowie. Nie było dotąd bowiem takiego przypadku, aby Rosja, Ameryka i Unia Europejska – razem i w porozumieniu – dokonały zmiany władzy w jakimś europejskim kraju, dzieląc się zarazem wpływami i kontrolą nad nowo ustanowionymi rządami. Kiedyś w Polsce, niezbyt zresztą trafnie, lider PiS rozpropagował termin „kondominium". Dziś okazuje się, że kolonialna praktyka wzajemnego gwarantowania sobie interesów przez ustanawianie tego rodzaju politycznych tworów może być aktualna nawet w Europie. Chociaż za sprawą Płachotniuka polityczny system Mołdawii ulegał degeneracji, to zarazem potęga i wpływ tego oligarchy i filantropa stanowiły – kto wie czy nie jedyną – ostoję mołdawskiej suwerenności politycznej.

Mołdawia tak gwałtownie przeobrażona po wizycie trzech panów jest już dziś tylko niesuwerennym terytorium, zarządzanym wolą zewnętrznych mocarstw. Czyli ruso-euro-amerykańskim kondominium. Szkopuł w tym, że spośród tych trzech czynników wywierających dziś wpływ na kształt Mołdawii, zdecydowanie najsilniejszym jest Moskwa. Co więcej, tylko Rosja zachowuje olbrzymi realny wpływ na mołdawskie społeczeństwo, a za pośrednictwem dominującej partii PSRM także na mołdawską politykę. Łatwo więc przewidzieć, że gdy niezadługo obywatelskie siły z koalicji Teraz znów się rozsypią, na mołdawskim placu boju pozostanie tylko Moskwa i jej mołdawscy plenipotenci. Trudno się oprzeć wrażeniu, że Zachód tak bardzo chciał się pozbyć niereformowalnego Płachotniuka, że otworzył prezydentowi Putinowi drogę do odzyskania Mołdawii.

Nic dziwnego, że taki precedens budzi strach w Kijowie. „Zupełnie nie pasuje nam perspektywa nowego rosyjskiego przyczółka" – mówi szef ukraińskiej dyplomacji Pawło Klimkin. Jeśli z pomocą Zachodu udałoby się Moskwie przejąć kontrolę nad Kiszyniowem, to jest tylko kwestią czasu, kiedy spróbuje ona podobnego triku dla nieporównywalnie bardziej doniosłego celu – dla podporządkowania sobie na powrót Kijowa.

62/0519/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

Oni już są na swoim
TY TEŻ MOŻESZ...

żabka



Zacznij
Biznes z Żabką

12 000 zł + **3000 zł**
Podstawowego przychodu
Miesięcznie przez pierwsze pół roku

Bezpieczeństwo
Zatowarowany i gotowy do prowadzenia sklep

Łatwy start
Wystarczy 5000 zł wkładu własnego na początek

tel.: 800 207 208

www.franczyza.zabka.pl

Oferta ograniczona czasowo. Dotyczy franczyzobiorców, którzy rozpoczną współpracę z Żabka Polska sp. z o.o. od 01.06.2019 do 31.12.2019. Wskazana kwota przychodu obowiązuje przez pierwsze 6 miesięcy współpracy i jest uzależniona od spełnienia określonych warunków. Szczegółowe warunki oferty na: www.franczyza.zabka.pl

eprasa.pl 74b7eeeab6

Ochrona przyrody po trupach



Światowy Fundusz na rzecz Przyrody (WWF) prowadzi coraz bardziej bezlitosną wojnę z kłusownikami, której ubocznymi ofiarami stają się zwykli ludzie przepędzani ze swoich ziem, by zrobić miejsce dla parków narodowych, i terroryzowani, a nawet zabijani przez strażników rezerwatów w imię ochrony zwierząt



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Nieopodal stawów z krokodylami w parku narodowym Chitwan w Nepalu, na małej polanie otoczonej drzewami, przez długie lata stało więzienie. W nim w 2006 r. zmarł Shikharam Chaudhary. Sekcja zwłok wykazała siedem złamanych żeber i siniaki pokrywające niemal całe ciało mężczyzny. Strażnicy parku oskarżyli Shikharama o to, że wraz z synem zdobył, a następnie zakopał róg nosorożca w ogrodzie swojego domu. Rogu wprawdzie nie znaleziono, ale strażnicy i tak wtrącili mężczyznę do celi. Wdowa twierdzi, że był bity i torturowany. Wlewano mu m.in. do ust i nosa słoną wodę. Policja zatrzymała trzech przedstawicieli parku narodowego i postawiła im zarzut zabójstwa. Po kilku miesiącach śledztwo umorzono, ale o sprawie

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Shutterstock

stało się głośno, bowiem strażników, którzy mieli torturować Shikharama, szkolił i finansował Światowy Fundusz na rzecz Przyrody (WWF). A śmierć Nepalczyka idealnie pasowała do strategii, którą WWF stosuje w walce z kłusownictwem.

Jak twierdzi portal BuzzFeed, organizacja z uroczą pandą w logo w celu ochrony przyrody idzie dosłownie po trupach. W parkach narodowych finansowanych przez WWF strażnicy mieli bić, torturować, a nawet mordować ludność tubylczą. Pracownicy WWF mieli również wspólnie z lokalnymi watażkami urządzać najazdy na wioski. Miało to „odzwyczaić" tubylców od kłusownictwa i skłonić ich do przeniesienia się z rodzimych ziem na tereny bardziej oddalone od rezerwatów naturalnych. Organizacja miała także utrzymywać w niektórych krajach zorganizowaną sieć informatorów, która infiltrowała lokalną społeczność i donosiła o przypadkach kłusownictwa.

Nie tak dawno, bo w 2017 r. – jak pisze BuzzFeed – strażnicy w finansowanym przez WWF parku narodowym w Kamerunie torturowali 11-letniego chłopca na oczach jego rodziców. Złożona w tej sprawie skarga pozostała bez odpowiedzi. W skrócie: zachodni ekolodzy stawiają prawa zwierząt ponad prawa człowieka, a promowany przez nich rozwój poprzez ochronę przyrody w krajach Trzeciego Świata to nic innego niż brutalny, neokolonialny wyzysk. Realizacja zachodnich ideałów na koszt zubożałej lokalnej społeczności.

BUTY NA ZIEMI

BuzzFeed przeprowadził w tej sprawie trwające ponad rok śledztwo, odbywając ponad sto rozmów i gromadząc tysiące stron dokumentacji, mających świadczyć o brutalności, z jaką ekolodzy z pandą w logo walczą z kłusownictwem w krajach Trzeciego Świata. W Kongu, Kamerunie, Republice Środkowej Afryki, Indiach i Nepalu. „Wiele parków narodowych to magnesy dla kłusowników. WWF inwestuje znaczną część swojej energii i pieniędzy w globalną walkę przeciwko zorganizowanym gangom przestępczym, które polują na zagrożone gatunki. Jest to krucjata, o której WWF mówi w terminologii wojennej. Jest mowa o »butach na ziemi«, partnerstwach z »elitarnymi siłami zbrojnymi«, stworzeniu »brygad dżungli« i rozmieszczeniu »dronów konserwatorskich«" – czytamy w raporcie BuzzFeed. Według portalu inne organizacje ekologiczne sięgają po podobne metody i rekrutują do ochrony parków narodowych weteranów wojen w Afganistanie i Iraku. Kłusownictwo to wielomiliardowy biznes (przynoszący od 70 do 213 mld euro zysku rocznie), który doprowadził niektóre gatunki zwierząt niemal do wyginięcia. W Chinach płaci się aż 730 dol. za kilogram kości słoniowej. A praca strażników w parkach narodowych bywa niebezpieczna. Niemniej jednak ofiarą wojny WWF z kłusownictwem padają głównie niewinni cywile.

W rozmowach z BuzzFeed mieszkańcy wiosek nieopodal parku narodowego Campo w południowo-wschodnim Kamerunie mówią o nocnych najazdach strażników uzbrojonych w maczety, pobiciach i paleniu domów. To rządy poszczególnych krajów zatrudniają strażników, ale to WWF często płaci im pensje. To wymaga współpracy z lokalnymi watażkami i oddziałami paramilitarnymi, nagminnie łamiącym prawa człowieka. W 2017 r. organizacja Survival International, która obrała sobie za cel ochronę prymitywnych plemion na świecie, oskarżyła WWF o „okrucieństwo wobec lokalnych społeczności Pigmejów" w Kamerunie i Republice Środkowej Afryki. WWF nie stroni też – jak twierdzi portal BuzzFeed – od kłamstwa, by osiągnąć swój cel.

Messok Dia to gęsty las tropikalny na północnym wschodzie Republiki Kongo. Jest domem dla licznej populacji słoni, goryli, wojowników wspaniałych i zagrożonych wymarciem łuskowców. WWF od lat walczy o to, by zamienić go w chroniony rezerwat przyrody. Organizacja złożyła w tym celu wniosek o dofinansowanie z Unii Europejskiej w wysokości 1 mln euro. We wniosku twierdziła, że tubylcza ludność wspiera projekt. W rzeczywistości lokalna społeczność protestuje przeciwko stworzeniu tam rezerwatu przyrody. Z wewnętrznego raportu WWF wykreślono jednak wszystkie zdania mówiące o lękach tubylców, że zostaną przepędzeni ze swoich ziem lub nie będą mogli już na nich polować w celu zdobycia pożywienia. UE fundusze przyznała.

„To kolonialna metoda ochrony środowiska" – twierdzi Jerome Lewis, jeden z czołowych obrońców praw tubylczych na świecie. Według niego setki tysięcy ludzi od plemienia Tharu w Nepalu po plemię Baku w Republice Środkowej Afryki wypędzono z ich ziemi tylko po to, by „zwierzęta mogły sobie swobodnie żyć".

OSTATNIA LINIA OBRONY

Także w kongijskim parku narodowym Salonga strażnicy finansowani przez WWF mieli się dopuścić

eprasa.pl 74b7eeeab6

tortur i mordów. Mimo to niemiecki bank KfW, który finansuje dla rządu w Berlinie projekty rozwojowe, wspiera działalność parku. Bank potwierdził portalowi BuzzFeed, że wie o zarzutach wobec WWF o łamaniu praw człowieka, ale mimo to odmówił udostępnienia swojej dokumentacji. W nepalskim Chitwanie WWF pojawiło się już w 1967 r. Kilka lat później został utworzony rezerwat mający chronić nosorożce, tygrysy bengalskie i błotne krokodyle. By zrobić miejsce dla parku narodowego, dziesiątki tysięcy ludzi zostało przesiedlonych. W 1990 r. WWF stworzyło specjalne jednostki antykłusownicze w parku, wyposażając strażników w tradycyjne zagięte noże khukuri. Nepalskie prawo pozwala strażnikom dokonywać zatrzymań kłusowników bez nakazu i oferuje im immunitet, jeśli są zmuszeni ich zastrzelić. Od tego czasu mieszkańcy okolicznych wiosek donoszą o zabójstwach, gwałtach i pracy przymusowej. Strażnicy, którzy torturowali Shikharama Chaudhary'ego, oskarżonego o zabójstwo nosorożca, chwalili się później, że stosowali na nim technikę waterboardingu. Rodzina mężczyzny i nepalskie organizacje broniące praw człowieka walczyli o sprawiedliwość dla niego, ale rząd postanowił nie zrażać do siebie organizacji, która jest gwarantem milionów dolarów pomocy rozwojowej. W 2008 r. kolejny mężczyzna został znaleziony martwy w swojej celi w małym więzieniu w Chitwanie. Kierownictwo parku oświadczyło, że popełnił samobójstwo.

Przewinień, których miała się dopuścić organizacja, posiadająca biura terenowe w 40 krajach świata i mająca wśród swoich ambasadorów m.in. aktora Leonarda DiCaprio i brytyjskiego biologa sir Davida Attenborough, jest zbyt wiele, by je wszystkie wymienić. W raporcie BuzzFeed jest mowa o atakach strażników parków narodowych na tubylczą ludność za pomocą maczet, pasów skórzanych i kijów bambusowych, gwałtach, podpisanym przez kierownika parku narodowego Kaziranga w Indiach zezwoleniu na zabicie każdej nieuprawnionej osoby, która wejdzie na jego teren (między 2014 r. a 2015 r. zginęło tam 50 osób), dostarczaniu lokalnym watażkom i grupom paramilitarnym broni, w tym noży oraz noktowizorów, a nawet nieudanej próbie zakupu broni szturmowej od jednej z grup rebelianckich w Republice Środkowej Afryki.

> Jak twierdzi w swoim raporcie portal BuzzFeed, w parkach narodowych finansowanych przez WWF strażnicy mieli bić, torturować, a nawet mordować ludność tubylczą

„Ochrona przyszłości natury" najwyraźniej wymaga ofiar, w końcu WWF to – jak głosi broszura tej organizacji – „pierwsza i ostatnia linia obrony planety". Oraz bardzo lukratywny biznes. Tylko w 2017 r. WWF otrzymało ponad 760 mln euro dotacji, z czego połowa pochodziła od prywatnych donatorów.

WIĘCEJ ZWIERZĄT, MNIEJ LUDZI

Nie ulega oczywiście kwestii, że zubożała tubylcza ludność nierzadko współpracuje z gangami kłusowników. Oferowana zapłata jest często zbyt kusząca, by móc ją odrzucić. To nie zmienia jednak tego, że między obiecaną ekologiczną nirwaną (ekolodzy ratują zwierzęta, miejscowi zdobywają pracę w ekoturyzmie i wszyscy są szczęśliwi) a rzeczywistością jest ogromny rozdźwięk. Parki znajdują się często w krajach rządzonych przez dyktatury, gdzie panuje korupcja i dochody z rezerwatów nie są równo dystrybuowane. Rdzenni mieszkańcy tracą ziemię i nie otrzymują za to żadnej rekompensaty. Do tego zabrania im się polować na chronionych terenach, odbierając możliwość wyżywienia swoich rodzin. A rosnąca populacja dzikich zwierząt niszczy ich i tak mizerne uprawy.

Ekologia w stylu, w jakim jest uprawiana przez takie organizacje jak WWF, to jednak przede wszystkim ideologia, która mało przejmuje się rzeczywistością. Dlatego WWF wspiera programy sterylizacyjne w wioskach nieopodal parków narodowych w Indiach, Kamerunie, Kongu i Ugandzie. Tak w każdym razie twierdzą dziennikarze holenderskiego programu telewizyjnego „Zembla", którzy odkryli, że WWF prowadzi wspólnie z amerykańską agencją USAID i firmą Johnson & Johnson „obozy zdrowia" w północnych Indiach. Przeprowadza się tam m.in. sterylizację miejscowych kobiet. WWF wydało nawet – jak twierdzi socjolog rozwoju z uniwersytetu Wageningen w Holandii prof. Bram Büscher – broszurę mówiącą o korzystnym wpływie kontroli narodzin na ochronę środowiska. „Biedacy żyjący w okolicach rezerwatów naturalnych są obarczani winą za utratę bioróżnorodności. Niesłusznie" – uważa prof. Büscher. Zdaniem dyrektora Survival International Stephena Corry'ego to „kompletnie nieetyczne". „Wyobraźmy sobie akcję sterylizacji kobiet żyjących wokół parków narodowych w USA i Europie. Niewyobrażalne. To, że uważają, że jest to akceptowalne w Indiach, to czysty rasizm i nic więcej" – przekonuje Corry.

WWF odpiera zarzuty zarówno ze strony BuzzFeed, jak i Survival International oraz holenderskiej telewizji. Jak twierdzi, jego celem nie jest walka z ludźmi, którzy próbują wyżywić swoje rodziny, tylko z przestępczymi gangami kłusowników. Organizacja twierdzi, że ma nawet spisane reguły, które nakazują jej współpracować z ludnością tubylczą i chronić jej prawa. W oficjalnej deklaracji WWF napisało, że „traktuje wszystkie zarzuty bardzo poważnie i zleciło niezależne śledztwo w celu zbadania incydentów ujawnionych przez BuzzFeed". „Poprosiliśmy BuzzFeed o udostępnienie wszystkich uzyskanych dowodów na poparcie tych twierdzeń, aby pomogły w niezależnym śledztwie" – czytamy na stronach WWF.

eprasa.pl 74b7eeeab6

- 24-25 czerwca w obiektach Akademii Marynarki Wojennej
- Największy kongres gospodarczy północnej Polski
- Polskie produkty, innowacje i firmy
- Obchody 35-lecia Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto

SIECI

II FORUM WIZJA ROZWOJU W GDYNI

Dodatek specjalny przygotowany przez redakcję „Gazety Bankowej”

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE



Sto debat na stulecie Polski

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNERZY



Wizja polskiej gospodarki

MAŁGORZATA ZWIERCAN
POSŁANKA NA SEJM RP

Szanowni Państwo,
100 debat upamiętniających stulecie odzyskania niepodległości, 5 tys. uczestników i 500 autorytetów uczestniczących w kilkunastu blokach tematycznych – to najkrótsza zapowiedź drugiej edycji Forum Wizja Rozwoju. Wydarzenie, które po sukcesie ubiegłorocznej odsłony znalazło miejsce w kalendarzu najważniejszych polskich spotkań gospodarczych, w tym roku odbędzie się w obiektach Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni.

Pomysł utworzenia takiego przedsięwzięcia, jakim jest Forum Wizja Rozwoju, wziął się z potrzeby integracji i wspierania polskiej gospodarki, również w północnej Polsce. Południe naszego kraju obfituje w wiele dużych wydarzeń związanych z rodzimym rynkiem, a do tej pory brakowało miejsca, gdzie byłaby możliwość dyskusji o znaczeniu polskiej gospodarki i pokazania rozwoju polskich przedsiębiorstw również na Pomorzu. Wiedzieliśmy, że istnieje także potrzeba rozmowy o wizji przyszłości polskiego rynku, a nie koncentrowanie się jedynie na tym, co istotne jest w chwili obecnej. Mamy ambicje, aby Forum wpisało się na stałe w kalendarz wydarzeń odbywających się na północy Polski. Gdynia, gospodarz wydarzenia, jest nowoczesnym miastem kojarzącym się nie tylko z gospodarką morską, portami czy stoczniami. Jest to miejsce innowacyjne i postępowe, pokazujące siłę i możliwości polskiej gospodarki, prawdziwe „miasto z morza i marzeń".

Poza dyskusją o aktualnych wyzwaniach gospodarczych podczas Forum promowane będą polskie produkty, rozwiązania i przedsiębiorstwa. Ma to być okazja do poszukiwania sposobów likwidacji barier rozwoju rodzimego biznesu oraz tworzenia dogodnych warunków rozwoju polskich firm, których produkty mogą skutecznie konkurować z zagranicznymi. Podobnie jak w trakcie pierwszej edycji wydarzenia proponujemy merytoryczną dyskusję o wizji polskiej gospodarki. Zaprosiliśmy do niej autorytety ze świata biznesu i nauki, ale również mediów i polityki.

Tegoroczna edycja Forum koncentruje się na najważniejszych wyzwaniach stojących obecnie przed rodzimą gospodarką: od innowacji, poprzez ekomobilność, energetykę i automatyzację przedsiębiorstw, po społeczną odpowiedzialność biznesu. Dyskusje panelowe dotyczyć będą szerokiego spektrum zagadnień, w tym m.in. inwestycji, obronności, badań i rozwoju, zdrowia, kultury i sztuki czy technologii przyszłości. Nie zabraknie wspomnianej gospodarki morskiej bliskiej miejscu, w którym odbywa się Forum, oraz tematów rozpoczętych podczas pierwszej edycji.

Jednym z nich jest tzw. srebrna gospodarka, czyli wykorzystanie wiedzy, doświadczeń i potencjału zawodowego osób starszych. Jest to kluczowy element współczesnej gospodarki, ponieważ, społeczeństwo się starzeje, a rynek produktów i usług przeznaczonych dla seniorów rośnie. Od mądrości naszej reakcji na te zjawiska bardzo wiele zależy. Cieszę się, że będziemy mogli wspólnie poszukać pożytecznych rozwiązań w tym obszarze, ponieważ duże tempo zachodzących zmian demograficznych stawia przed nami wyzwania, którym w równie szybkim tempie należy sprostać. W exposé premiera Mateusza Morawieckiego wybrzmiała dewiza: „Młodzi ludzie biegną szybciej, ale to starzy znają drogę". Często ją przytaczam, ponieważ całkowicie zgadzam się z jej przesłaniem. Dziś senior to osoba szukająca nowych wyzwań, aktywnie angażująca się w sprawy społeczności lokalnej, chcąca stale się rozwijać. Zadaniem przedsiębiorców jest dostrzeżenie osób starszych jako rosnącej siły nabywczej wytwarzanych przez siebie dóbr i usług. Przy projektowaniu przeznaczonych dla seniorów rozwiązań muszą się odważyć sięgać po te wykorzystujące innowacyjne technologie.

Podczas II Forum Wizja Rozwoju porozmawiamy nie tylko o przyszłości, lecz również o przeszłości. Stworzymy przestrzeń do dyskusji o historii i ludziach ją kreujących. Taką możliwość daje udział w obchodach 35-lecia Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto, które jest wydarzeniem towarzyszącym Forum. Będzie to również szansa spotkania się z dawnymi działaczami. Naoczni świadkowie, noszący w sobie wciąż żywe wspomnienia najnowszej historii Polski, zbudują niepowtarzalny klimat spotkań o charakterze historycznym. Tematy gospodarcze i narodowe, związane z tymi przedsięwzięciami, są z sobą ściśle powiązane. Budowanie tożsamości narodowej to również polski biznes i myśl naukowa, które muszą być tak skomunikowane, by polskie przedsiębiorstwa oferowały produkty mogące konkurować na rynkach rozwiniętych.

Do zobaczenia w Gdyni. ●

eprasa.pl 74b7eeeab6

STANISŁAW KOCZOT

Jaki kierunek wskaże gdyńskie forum?

Polska gospodarka ma się dobrze, jej parametry są znakomite, PKB rośnie w szybkim tempie. Co trzeba zrobić, by biznes zachował świetną kondycję i dobrze przygotował się na wyzwania, których przecież nie brakuje? W siedzibie Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni rusza druga edycja Forum Wizja Rozwoju

Podczas Forum odbędzie się 100 debat upamiętniających stulecie odzyskania niepodległości, organizatorzy przewidują, że weźmie w nich udział 5 tys. osób. Forum będzie trwało dwa dni, 24 i 25 czerwca. Jest to największe wydarzenie gospodarcze w północnej Polsce, odbywające się pod patronatem premiera Mateusza Morawieckiego.

Podczas Forum będą omawiane kluczowe wyzwania stojące przed polską gospodarką, ujęte w kilka bloków tematycznych poświęconych m.in.: inwestycjom, energetyce, bezpieczeństwu kraju (w kontekście rozwoju gospodarczego), technologiom przyszłości, finansom, działalności badawczo-rozwojowej, CSR, srebrnej gospodarce, gospodarce morskiej, zdrowiu, ekomobilności, prawu gospodarczemu. Sto debat, ujętych w programie Forum, dotyczyć będzie szerokiego spectrum zagadnień, od obronności po sztukę, kulturę i historię.

Równolegle do Forum Wizja Rozwoju w auli Akademii Marynarki Wojennej odbędą się obchody 35-lecia powstania Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto.

Panele, nagrody i hackathon

Pierwszego dnia Forum zostaną wręczone Nagrody Gospodarcze, a drugiego – nagroda CEMT 2018 za znaczące osiągnięcia techniczne. Podczas



Forum nastąpi oficjalne otwarcie Mariny Yacht Park przez Polski Holding Nieruchomości – najnowocześniejszej przystani na polskim wybrzeżu Bałtyku.

Partnerami merytorycznymi Forum jest dziewięć ministerstw oraz przewodnicząca sejmowej komisji polityki senioralnej, poseł na Sejm RP Małgorzata Zwiercan.

Panele i konferencje będą okazją do poszukiwania sposobów likwidacji barier rozwoju rodzimego biznesu oraz tworzenia dogodnych warunków rozwoju polskich firm. Prezes Forum Wizja Rozwoju Andrzej Michalak mówi, że organizatorom zależy na wypracowaniu koncepcji konkretnych działań, kreowaniu innowacyjnych planów i stworzeniu projektów pożytecznych dla polskiej gospodarki.

Już po raz drugi odbędzie się podczas Forum maraton projektowania skierowany do miłośników nowych technologii (na zwycięzców czeka łączna pula nagród w wysokości 20 tys. zł). Hackathon jest skierowany do programistów, grafików, project managerów, inżynierów, analityków danych oraz wszystkich pasjonatów nowych technologii. Celem rywalizacji jest stworzenie rozwiązania określonego problemu.

eprasa.pl 74b7eeeab6

W tym roku uczestnicy podejmą wyzwania związane z Open Data i Open Innovation. Przykładowe obszary to bankowość, edukacja, energetyka, logistyka, przemysł i zdrowie.

Transport bardziej ekologiczny

Forum poświęci wiele uwagi energetyce, i to w różnych aspektach – od polityki energetycznej Polski po perspektywy energetyki jądrowej. Wątkiem, który najprawdopodobniej pojawi się podczas paneli, będą inwestycje w infrastrukturę gazową, już realizowane i planowane w najbliższym czasie. Jeżeli uda się dopiąć polskie plany, nasz kraj będzie w stanie zaopatrywać w gaz nie tylko własny rynek, lecz i cały region Morza Bałtyckiego oraz Ukrainę.

Z tym tematem wiąże się również wątek transportowy, ponieważ na sprowadzanym do Polski gazie skroplonym LNG będą mogły jeździć samochody od Bałtyku po Adriatyk i Morze Północne. Przez Polskę przebiegają ważne szlaki transeuropejskiej sieci transportowej TEN-T. Pierwszy to korytarz Bałtyk–Adriatyk (z Gdyni przez Warszawę, Wiedeń, Triest, Bolonię do Lublany i Triestu), drugi – Morze Północne–Bałtyk (przez takie miasta, jak Helsinki, Ryga, Warszawa, Berlin, Amsterdam, Hanower). TEN-T obejmuje różne rodzaje transportu – od samochodów, przez kolej, po samoloty, a także statki żeglugi śródlądowej i morskiej.

Część z nich będzie napędzana LNG. To o wiele bardziej ekologiczne paliwo niż olej napędowy i benzyna. LNG już teraz wypiera paliwa ciężkie, stosowane w statkach pływających po Bałtyku i Morzu Północnym. Za chwilę może się stać jednym z najważniejszych paliw w transporcie samochodowym i kolejowym. Wyścig o to, kto będzie je dostarczał, coraz bardziej się rozkręca. W naszym regionie Europy pierwsze skrzypce zaczyna grać Polska. Na razie o LNG mówi się przede wszystkim w kontekście bezpieczeństwa energetycznego, ale to tylko jedna z szans, jakie daje gaz skroplony. Jego zastosowanie w przemyśle i w transporcie to kolejny atut LNG.

W tym kierunku zmierza m.in. rozbudowa gazoportu w Świnoujściu, a także plan budowy tzw. terminalu małej skali w Gdańsku oraz projekt pływającego terminalu LNG w Zatoce Gdańskiej (FSRU – Floating Storage and Regasification Unit). Terminal w Gdańsku dostał pieniądze z Brukseli na przygotowanie studium wykonalności projektu (jego wartość to 1,74 mln euro, z czego UE dorzuci ponad 1 mln euro). Czym terminal będzie się zajmował? Poza sprawami oczywistymi i bardzo ważnymi z punktu widzenia polskiej gospodarki (m.in. wynikającymi z zastosowania LNG w elektroenergetyce i ciepłownictwie) są jeszcze kwestie bezpośrednio związane z transportem. Jest to np. zapewnienie infrastruktury pozwalającej na wykorzystanie LNG jako paliwa w żegludze morskiej w trójmiejskich portach należących do sieci TEN-T.

Technologia, czyli rewolucja

Jeden z ważniejszych tematów Forum to technologie przyszłości. Z pewnością pojawią się tematy związane z technologią 5G, która nie jest kolejnym wcieleniem sieci telekomunikacyjnej, ale rewolucją na miarę elektryczności, krzemu i pary. Za kilka lat może zmienić nasz świat nie do poznania. 5G to nie tylko smartfony, lecz również samochody 5G, drony gaśnicze 5G, a nawet systemy hodowli ryb 5G.

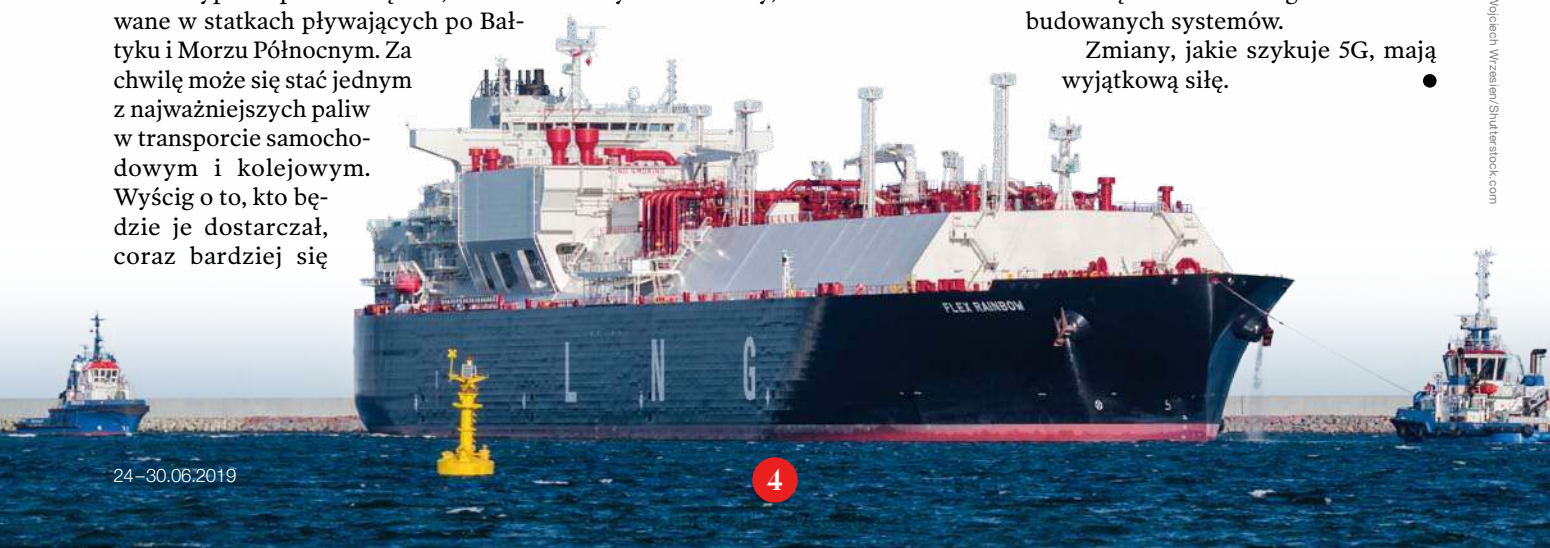
Dla szefów największych firm telekomunikacyjnych 5G oznacza ponoszenie olbrzymich wydatków, które muszą się zwrócić. Wygląda na to, że biznes technologiczny ma problem, by przekonać świat, że technologia 5G naprawdę jest niezastąpiona, że jest dużo lepsza od 4G, 100 razy szybsza i tak pojemna, że można dzięki niej przyłączyć do sieci olbrzymią liczbę urządzeń. Ale czy te argumenty wystarczą, by wydać na nią setki miliardów euro? GSMA, organizacja reprezentująca operatorów sieci komórkowych, szacuje, że wdrożenie 5G w Europie będzie kosztować 500 mld euro.

Zainteresowanie 5G nie jest aż tak wielkie, by masowi użytkownicy chcieli na nią wydawać więcej pieniędzy. Według firmy konsultingowej PwC tylko jedna trzecia amerykańskich konsumentów byłaby skłonna zapłacić jakąkolwiek premię za połączenie 5G.

Bardziej otwarty na nową technologię jest przemysł. CNN w korespondencji z Mobile World Congress w Barcelonie twierdził, że biznes może szybciej zrozumieć korzyści płynące z prędkości i ilość danych obsługiwanych przez 5G. Technologia może być kosztowna, ale pomoże zwiększyć wydajność firm. Produkcja to sektor, który natychmiast skorzysta z 5G. Czujniki 5G można instalować w fabrykach, aby wykryć błędy w czasie rzeczywistym. Zapobiegłoby to marnowaniu zasobów wykorzystywanych w produkcji.

Beneficjentem 5G będą też wielkie miasta z autonomicznymi samochodami, inteligentnymi ulicami i ogromną liczbą podłączonych urządzeń. Sieci 4G nie są w stanie obsługiwać tak rozbudowanych systemów.

Zmiany, jakie szykuje 5G, mają wyjątkową siłę. ●



Fot. Wojciech Wrzesień/Shutterstock.com

LOTOS i jego wizja rozwoju

Grupa LOTOS, właściciel jednej z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, została partnerem strategicznym II edycji Forum Wizja Rozwoju. Podczas wydarzenia przedstawiciele koncernu zabiorą głos w debatach związanych z polską energetyką, CSR oraz finansami w gospodarce, a także inwestycjami i transportem. Nie zabraknie też tematu paliw alternatywnych

LOTOS dąży do uzyskania pozycji lidera w obszarze paliw alternatywnych. Jest to jeden z priorytetów, jaki spółka zawarła w swojej strategii do końca 2022 r. Jesienią 2018 r. w ramach projektu LOTOS Niebieski Szlak firma rozpoczęła test pierwszych 12 punktów ładowania pojazdów elektrycznych na trasie Warszawa–Trójmiasto (autostrady A1 i A2). To pierwsza w Polsce pilotażowa budowa sieci stacji do szybkiego ładowania pojazdów elektrycznych, która została stworzona poza miastami wzdłuż korytarzy Transeuropejskiej Sieci Transportowej. Aż do odwołania korzystanie z tej infrastruktury będzie bezpłatne. Grupa LOTOS planuje czterokrotne powiększenie liczby ładowarek elektrycznych na swoich stacjach. Oznacza to, że do końca 2020 r. odda do użytku kierowców 38 kolejnych punktów.



36/0619/F

– Podróż w elektromobilność w Polsce jest jeszcze kwestią przyszłości. Musimy więc równolegle rozwijać też tematy związane z CNG, LNG oraz wodorem – podkreśla Patryk Demski, wiceprezes zarządu ds. inwestycji i innowacji Grupy LOTOS.

Podczas ostatniego szczytu COP24 w Katowicach Grupa LOTOS podpisała umowę na finansowanie projektu „Pure H2", którego celem jest uruchomienie sprzedaży wodoru o bardzo wysokiej czystości (99,999 proc.). Przedsięwzięcie zakłada wybudowanie na terenie rafinerii w Gdańsku instalacji do oczyszczania wodoru oraz stacji sprzedaży i dystrybucji tego paliwa w bezpośrednim sąsiedztwie zakładu Grupy LOTOS, a także dwóch punktów tankowania pojazdów w Gdańsku i Warszawie. Inwestycja o wartości niemal 10 mln euro ma być oddana do użytku w 2021 r.

LOTOS rozwija się też w zakresie LNG. Razem z PGNiG, Gaz-Systemem i Remontowa LNG Systems koncern współpracuje w trzech niezależnych projektach, służących większemu wykorzystaniu LNG w żegludze morskiej na Bałtyku. Z Remontowa LNG Systems w styczniu 2018 r. Grupa LOTOS podpisała list intencyjny w sprawie budowy pilotażowego systemu dystrybucji LNG. Nieco wcześniej razem ze spółką Gaz-System LOTOS otrzymał również unijne dofinansowanie z CEF na opracowanie studium wykonalności projektu budowy w Gdańsku terminalu LNG małej skali i budowy innowacyjnych bunkierek LNG. Z kolei w kwietniu ub.r. LOTOS Asfalt oraz PGNiG Obrót Detaliczny podpisały umowę o wspólnej ofercie usługi bunkrowania statków paliwem LNG, pochodzącym z Terminalu Gazowego w Świnoujściu.

Naturalną przewagą LOTOSU jest jego nadmorskie położenie. Dlatego też koncern zamierza uczestniczyć w projekcie rozbudowy portu zewnętrznego, realizowanego w Porcie Gdańsk.

– Na projektowanych nabrzeżach możemy umiejscowić infrastrukturę wykorzystaną do obsługi wielkiego frachtu morskiego. Inną braną pod uwagę alternatywą zwiększenia wydajności logistycznej jest budowa własnego nabrzeża i terminalu na Martwej Wiśle. Eksperci LOTOSU analizują trendy rynkowe i próbują zdefiniować możliwości, jakie stoją przed Grupą po zakończeniu Projektu EFRA – dodaje prezes Demski. ●

eprasa.pl 74b7eeeab6

PIOTR ROSIK

Kapitał płynie do Polski



Fot. Fratria

Inwestorzy zagraniczni reinwestują w naszym kraju coraz większą część swoich zysków, co jest bardzo dobrym sygnałem

Zacznijmy od liczb. 34,7 mld zł – taka była wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych (BIZ) w Polsce w 2017 r. według danych NBP. Niestety oznacza to spadek o 44 proc. w porównaniu z rokiem 2016. W 2018 r. ten trend spadkowy był prawdopodobnie kontynuowany.

– Na podstawie miesięcznych danych o bilansie płatniczym NBP można szacować, że napływ BIZ do Polski w 2018 r. wyniósł ok. 33,5 mld zł – wskazuje Marcin Mrowiec, główny ekonomista Banku Pekao. To oznaczałoby spadek o 4 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. W opinii Mrowca, ze względu na prognozowane osłabienie wzrostu gospodarczego za granicą, szczególnie w Niemczech, u największego inwestora w Polsce, nie można wykluczyć dalszego spadku napływu BIZ do naszego kraju.

Ostrożnie z wyciąganiem wniosków

Na pierwszy rzut oka pewną nadzieję na odwrócenie trendu dają informacje płynące z Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu (PAIH). Wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Polsce obsłużonych przez PAIH wzrosła w trzech pierwszych kwartałach 2018 r. o 70 proc. rok do roku. W ubiegłym roku agencja obsłużyła aż 71 projektów na kwotę 2,13 mld euro wobec 61 projektów za 2 mld euro w 2017 r. – to był najlepszy wynik w jej historii. – Jednak PAIH obsługuje jedynie ok. 30 proc. BIZ w Polsce, więc jej dane niekoniecznie dobrze oddają kształtowanie się trendu – wskazuje Marcin Mrowiec.

Główny ekonomista Banku Pekao podkreśla jednak, że w przypadku bezpośrednich inwestycji zagranicznych trzeba rozważnie analizować wzrosty procentowe, ponieważ pojedyncze inwestycje – ze względu na swoje niekiedy duże rozmiary – mogą mocno wpływać na statystykę. – Na przykład w 2017 r. przyczyną bardzo mocnego rocznego spadku napływu BIZ były pojedyncze, duże transakcje, w wyniku których polscy rezydenci nabywali od zagranicznych inwestorów akcje krajowych spółek. Największe dezinwestycje dotyczyły podmiotów z Włoch. W tym przypadku istotna była sprzedaż przez UniCredit pakietu akcji Banku Pekao za 2,4 mld euro na rzecz PZU i PFR. Z kolei PGE odkupiło od francuskiej spółki EdF, kontrolującej kilka polskich elektrociepłowni i elektrowni, akcje za ok.1 mld euro – przypomina Marcin Mrowiec.

Skąd idą pieniądze?

Zaburzenia pojawiają się więc nawet w danych NBP, mimo że bank centralny korzysta ze sprawozdań finansowych przedsiębiorstw, liczy realne przepływy finansowe i stara się, na ile to możliwe, wyłapać realne źródło pochodzenia kapitału. NBP stosuje metodologię dostosowaną do wymogów Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD).

eprasa.pl 74b7eeeab6

Chodzi tu nie tylko o zaburzenia w dynamice BIZ, wywołane dużymi transakcjami, lecz także o wskazania źródła pochodzenia kapitału płynącego do Polski. Według danych NBP największym inwestorem są Niemcy, ale drugą pozycję ma Luksemburg, a trzecią Cypr. Jak wiadomo, te kraje są wybierane przez inwestorów na siedzibę najczęściej ze względów podatkowych. Czyli są tylko parawanem, za którym kryją się inwestorzy z innych krajów – tłumaczą eksperci z PAIH.

Można się na przykład zastanawiać, dlaczego USA odgrywają – wedle oficjalnych statystyk NBP – relatywnie skromną rolę jako inwestor zagraniczny w Polsce. Coś tu „nie gra", jeśli weźmiemy pod uwagę wielkość gospodarki amerykańskiej i dobre relacje z Polską... Eksperci znajdują jednak wyjaśnienie. – Gdy przeanalizujemy stan zobowiązań z tytułu BIZ w Polsce, według kraju siedziby podmiotu dominującego w grupie kapitałowej, do której należy inwestor bezpośredni, ujawniają się wtedy rzeczywiste powiązania inwestycyjne między krajami – wskazuje Marcin Mrowiec. – W takim zestawieniu przodują Niemcy, którzy zainwestowali 167,6 mld zł, a wiceliderem są Amerykanie z kwotą 91,2 mld zł. Na podium mieszczą się jeszcze Francuzi z sumą 81,0 mld zł. Z różnic pomiędzy oboma ujęciami można wnioskować, że zagraniczny kapitał, który w największej mierze przechodzi do Polski przez „parawany" podatkowe, pochodzi właśnie z USA – dodaje główny ekonomista Banku Pekao. Dużą rolę Amerykanów jako inwestora potwierdza też PAIH. W portfelu agencji od lat dominują inwestorzy z Niemiec i właśnie USA (ostatnio aktywni stali się także ci z Belgii i Korei Południowej). – Zatem amerykańskie przedsiębiorstwa należą do kluczowych, obsługiwanych przez PAIH, inwestorów. W 2018 r. zadeklarowali oni największe zatrudnienie, sięgające ponad 8 tys. osób. Zaangażowali również największe fundusze w realizację BIZ w Polsce, bo aż 616 mln euro – wskazują eksperci PAIH. – Należy też pamiętać, że amerykańscy inwestorzy lokują kapitał głównie w sektorze usługowym, który jest mniej kapitałochłonny niż np. sektor przemysłowy, w którym lubują się Niemcy – dodają.

Jeśli chodzi o Chiny, to inwestycje bezpośrednie tego kraju w Polsce w 2017 r. wedle danych NBP wyniosły ledwie 217 mln zł, a stan zobowiązań na koniec tegoż roku sięgał tylko ok. 200 mln dol. Widać tutaj jak na dłoni, że z wiarygodnością danych o chińskich BIZ w Polsce jest problem, zresztą nie tylko w Polsce... „Żadne ze [...] źródeł nie zapewnia kompletnych i wiarygodnych danych o napływie chińskich BIZ do poszczególnych krajów świata. Kalkulacje są sprzeczne, wybrakowane czy wręcz nieprawdziwe. Jest to szczególnie problematyczne w przypadku państw niewielkich lub takich, gdzie zaangażowanie przedsiębiorstw z Chin jest mniejsze. Do tych ostatnich należy również Polska" – wskazuje Maciej Kalwasiński w artykule „Bezpośrednie inwestycje zagraniczne Chin w Polsce – problem rzeczywistej skali inwestycji" („Prace naukowe Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu", nr 523/2018). „Podmioty z Chin inwestują w Polsce za pośrednictwem podmiotów ulokowanych w innych krajach, a faktyczny poziom ich zaangażowania w Polsce jest znacznie wyższy, niż dotychczas sądzono" – dodaje Kalwasiński. A jaki jest ten poziom? W styczniu 2018 r. PAIH miała w swoim portfelu 11 chińskich inwestycji o łącznej wartości 1,27 mld euro. Z kolei stan zobowiązań z tytułu BIZ Chin i Hongkongu w Polsce, według kraju siedziby podmiotu dominującego, na koniec 2016 r. według NBP wynosił łącznie ok. 875 mln dol. Z kolei według narzędzia China Global Investment Tracker stworzonego przez Heritage Foundation sumaryczna wartość chińskich BIZ w Polsce w latach 2013–2017 wyniosła 790 mln dol. – podaje w swoim artykule Kalwasiński. „Śledzenie przepływów kapitału pochodzącego z Chin jest jednak utrudnione – z powodu zarówno niedostatków chińskich statystyk, jak i wyjątkowo częstej praktyki wykorzystywania finansowych centrów offshore do ulokowania środków w innym kraju" – podsumowuje Maciej Kalwasiński.

Usługi przyciągają

Zdaniem ekspertów w ostatnich latach w BIZ widać bardzo wyraźną i pozytywną dla polskiej gospodarki tendencję: rośnie rola sektora usługowego. W 2017 r. inwestycje w sektor usług stanowiły 60 proc. zagranicznych inwestycji ogółem, według danych NBP. Polska przechodzi od gospodarki produkcyjnej do usługowej, przy czym warto pamiętać, że biznesowe projekty z sektora usług nie są tak kapitałochłonne jak produkcyjne (ale są za to pracochłonne). PAIH potwierdza, że projektów usługowych oraz B+R (badawczo-rozwojowych) jest coraz więcej i mają coraz większe znaczenie w zakresie bezpośrednich inwestycji zagranicznych.

Jak wskazuje Marcin Mrowiec, jeśli chodzi o stan zobowiązań z tytułu BIZ w Polsce, to w 2017 r. sektor usług stanowił 60 proc. wszystkich. – W jego ramach największy udział miały inwestycje w sektorze działalności finansowej i ubezpieczeniowej, bo aż 20 proc. ogólnej sumy bezpośrednich inwestycji. Z kolei przetwórstwo przemysłowe stanowiło 31 proc. całości zobowiązań z tytułu BIZ, tutaj szczególnie duży udział ma sektor motoryzacyjny – zauważa główny ekonomista Banku Pekao.

Rekordowe reinwestycje

W 2017 r. wartość reinwestycji zysków w Polsce przez zagranicznych inwestorów była rekordowa – wyniosła 39 mld zł. Według ekspertów PAIH to bardzo dobry sygnał, pokazujący rosnące zaufanie inwestorów do naszego kraju. Każdy inwestor, który reinwestuje w danym państwie, robi to w długim terminie, czyli to zjawisko pokazuje, że inwestorzy mają dobrą opinię co do przyszłości naszego kraju – uważają eksperci PAIH.

Marcin Mrowiec nieco studzi ten optymizm. – W ostatnich latach reinwestycje zysków to rzeczywiście główna składowa BIZ. W przeciwieństwie do inwestycji w akcje czy w obligacje jest mniej zmienna i wykazuje długoterminowy wzrost wraz ze wzrostem zysków firm będących w posiadaniu inwestorów zagranicznych. Tak więc osiąganie przez nią coraz wyższych poziomów jest zupełnie naturalne i jest pochodną wzrostu krajowej gospodarki – uważa główny ekonomista Pekao. ●

eprasa.pl 74b7eeeab6

Przewozy Regionalne zakończyły proces restrukturyzacji

Największy polski przewoźnik kolejowy, operujący pod marką POLREGIO, zakończył z sukcesem trwający ponad trzy lata proces restrukturyzacji. O tym, jak on przebiegał i jakie przyniósł skutki, opowiada w wywiadzie Krzysztof Zgorzelski, prezes Przewozów Regionalnych



W maju Przewozy Regionalne podsumowały proces restrukturyzacji. Jaki był punkt wyjścia? Czy udało się osiągnąć wyznaczone cele?

Krzysztof Zgorzelski: Od momentu powstania w 2001 r. Przewozy Regionalne borykały się z wieloma problemami związanymi m.in. z płynnością, wynikami finansowymi oraz przekształceniami organizacyjnymi. Spółka odnotowywała straty, niepowodzeniem kończyły się kolejne plany naprawcze, a widmo upadku było naprawdę realne. Dopiero objęcie pakietu większościowego przez Agencję Rozwoju Przemysłu w 2015 r. pozwoliło na wdrożenie skomplikowanego planu restrukturyzacyjnego, który dotyczył wszystkich sfer działalności firmy. Dzięki temu spółka odzyskała rentowność: przez trzy kolejne lata Przewozy Regionalne odnotowały dodatni wynik finansowy. Zmniejszono koszty działalności spółki, rozwinięto systemy sprzedaży (w tym poprzez stronę internetową czy aplikacje mobilne), zmodernizowano dużą część taboru, dostosowano skład drużyn konduktorskich do taboru czy wreszcie wprowadzono oszczędności w zużyciu energii elektrycznej. Dzięki żelaznej konsekwencji we wdrażaniu programu restrukturyzacji Przewozy Regionalne dzisiaj w żadnym stopniu nie przypominają siebie sprzed kilku lat.

Jakie obszary restrukturyzacji były zdaniem pana prezesa najtrudniejsze?

Cztery ostatnie lata to tytaniczna praca zarządu na wielu odcinkach w celu stworzenia efektywnego kosztowo przewoźnika. Dzięki wsparciu ARP i w bliskiej współpracy z samorządami wojewódzkimi mogliśmy przeprowadzić szeroko zakrojoną modernizację całej firmy. Zmiany prowadzone w latach 2015–2018 objęły każdy obszar działalności spółki, jeżdżącej obecnie pod marką POLREGIO. Dla nas priorytetem zawsze był pasażer i jakość jego obsługi. Stąd pierwszy raz w historii spółki zrealizowaliśmy duży program inwestycji na zakup i modernizację taboru. Drużyny konduktorskie zostały wyposażone w 1780 nowoczesnych terminali, wdrożono płatności kartą w pociągach, ruszyła sprzedaż biletów poprzez naszą stronę internetową, zmodernizowano kasy biletowe w 47 lokalizacjach na terenie całego kraju.

Przewozy pasażerskie od kilku lat we wszystkich spółkach kolejowych w Polsce rosną. Jakie czynniki wpływają na tę sytuację?

Kolej jest najbezpieczniejszym środkiem transportu w Europie, a do tego jest bardziej ekologiczna niż transport samochodowy czy lotniczy. Pociągi najszybciej penetrują tkankę miejską, a ponadto są zdecydowanie wygodniejsze, zwłaszcza dla osób podróżujących z bagażem czy np. rowerem. To wszystko zbiegło się w Polsce z procesem modernizacji kolei – od wymiany taboru na nowocześniejszy, poprzez zmiany ułatwiające zakup biletu, aż po zatrzymanie procesu likwidacji lokalnych połączeń kolejowych. Pozwoliło to przywrócić zaufanie pasażerów do kolei.

Najbardziej widocznym elementem spółek kolejowych jest ich tabor. Jakim zmianom został on poddany w Przewozach Regionalnych w ostatnich trzech latach?

W trakcie procesu restrukturyzacji na tory wyjechało 12 nowych i 42 zmodernizowanych pojazdów w barwach POLREGIO. Nowoczesne składy zostały wyposażone w klimatyzację, bezprzewodowy internet, gniazdka elektryczne, udogodnienia dla matek z dziećmi i osób z niepełnosprawnościami. Jednocześnie, aby osiągnąć trwałą rentowność, dostosowano liczbę posiadanej rezerwy taborowej do rozmiaru koniecznego do obsługi połączeń zamawianych przez organizatorów regionalnych przewozów kolejowych, czyli samorządy wojewódzkie. Pozwoliło to zarówno zmniejszyć straty (spadek wartości nieużywanego taboru na zajezdniach), jak i obniżyć koszty wynikające z dzierżawy infrastruktury pod te pojazdy.

Gdzie obecnie znajduje się POLREGIO na liberalizującym się rynku kolejowych przewozów regionalnych? I jakie są państwa plany na najbliższą przyszłość?

Po zakończonej sukcesem restrukturyzacji POLREGIO jest dziś marką docenianą przez Polaków, a spółka jest największym przewoźnikiem kolejowym w Polsce z udziałem w rynku wynoszącym ponad 26 proc. Oczywiście, zakończenie restrukturyzacji nie oznacza, że zamierzamy spocząć na laurach. Przed nami dalsza modernizacja taboru, chcemy też pozyskać pojazdy hybrydowe. Innym celem jest przekształcenie w spółkę akcyjną oraz skuteczne pozyskanie środków unijnych, do tej pory dla nas niedostępnych. Priorytetem dla nas jest eliminacja tzw. białych plam z komunikacyjnej mapy Polski, stąd chcemy aktywnie się włączyć w rządowe działania w tym kierunku, m.in. aktywnie współpracując z PKS. ●

33/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

POLREGIO



POLREGIO największy przewoźnik kolejowy w Polsce

1900 Codziennie średnio **1900** naszych pociągów wyjeżdża na trasy

220 000 **220 000** pasażerów podróżuje z nami każdego dnia

6817 Codziennie około **6817** naszych pracowników organizuje prace na kolei

1800 Nasze pociągi zatrzymują się na ponad **1 800** stacjach w miastach i miasteczkach

665 W **665** kasach na terenie całego kraju można zakupić bilety na pociągi POLREGIO

Zeskanuj kod i pobierz bezpłatną aplikację POLREGIO

POBIERZ Z Google Play

POBIERZ Z App Store

eprasa.pl/74b7eeeab6





Solidarność Walcząca w Trójmieście

Solidarność Walcząca to gigant drugiego obiegu wydawniczego i wielka potęga konspiracji lat 80. Listy gończe wystawione za jej czołowymi działaczami zostały uchylone dopiero na początku lat 90.

Solidarność Walcząca powstała w czerwcu 1982 r. we Wrocławiu z inicjatywy Kornela Morawieckiego. Jej głównym celem była walka z komuną aż do jej ostatecznego obalenia, bez zawierania kompromisów. Solidarność Walcząca domagała się pozbawienia komunistów władzy, niepodległości Polski oraz wycofania wojsk radzieckich z naszego kraju. Jej struktury powstały zarówno w dużych miastach, np. w Poznaniu, Gdańsku, Gdyni, Rzeszowie, Katowicach czy w Łodzi, jak i w mniejszych ośrodkach, np. w Legnicy. Idee SW były głoszone przez jej emisariuszy nie tylko w Polsce, lecz również w innych krajach bloku sowieckiego.

Solidarność Walczącą wyróżniało od innych ugrupowań opozycyjnych to, że dopuszczała stosowanie czynnego oporu w razie nasilenia represji. – Zaczęliśmy się liczyć z tym, że bezpieka zacznie nas zabijać. Nie zamierzaliśmy dać się zarzynać jak barany. Przeciwnie, postanowiliśmy pokazać, że potrafimy się bronić – mówi Roman Zwiercan, współzałożyciel Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto, w wywiadzie opublikowanym w miesięczniku „wSieci Historii". Grupa SW, która powstała w Trójmieście, była zdolna do zbrojonej reakcji: gromadziła broń i materiały wybuchowe, a w lutym 1988 r. Roman Zwiercan przeprowadził demonstracyjną detonację przed komitetem miejskim PZPR w Gdyni. Przygotowano także plan odbicia z aresztu na Kurkowej w Gdańsku Bogdana Borusewicza. Oddział SW w Trójmieście nie miał sobie równych w całej organizacji pod względem radykalizmu.

Był niezwykle aktywny na polu wydawniczym. W drugiej połowie lat 80. stanowiło to podstawę pracy organizacji. Sześć lat działalności Solidarności Walczącej w Trójmieście zaowocowało ośmioma periodykami, 23 rozproszonymi w różnych miastach drukarniami, tysiącami ulotek, kilkunastoma publikacjami książkowymi. W jej szeregach pracowało wielu konspiratorów, często dzisiaj zapomnianych. – W Solidarności Walczącej nikt niczego nie robił dla sławy. To była organizacja złożona z tysięcy bezimiennych, gotowych na każde poświęcenie i nieoczekujących żadnej nagrody – mówił Roman Zwiercan.

Mimo dużego zaangażowania sił i środków komunistyczne służby specjalne nie rozbiły trójmiejskiego oddziału Solidarności Walczącej. ●

Obchody 35-lecia powstania Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto odbędą się równolegle do Forum Wizja Rozwoju, w auli Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Wydarzenie zostało objęte patronatem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy.
W programie obchodów znalazło się m.in. osiem sesji poświęconych historii Solidarności Walczącej, dwie wystawy, pokazy dwóch filmów, prezentacja książek. Z okazji rocznicy wybitnym działaczom Solidarności Walczącej zostaną wręczone odznaczenia.
W trakcie trwania obchodów funkcjonować będą dwie pokazowe konspiracyjne drukarnie – powielaczowa i sitodrukowa. Jednym z drukarzy demonstrujących konspiracyjną technikę będzie Leszek Jaranowski – działacz podziemia antykomunistycznego, drukarz niezależnych pism podziemnych.

41/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

ARP Leasing sfinansuje technologie dla firm

Małe i średnie przedsiębiorstwa potrzebują kapitału na zakup maszyn i urządzeń niezbędnych do ich rozwoju. Efektywnym sposobem na finansowanie tych potrzeb jest leasing. To rozwiązanie cieszy się coraz większym zainteresowaniem przedsiębiorców. Agencja Rozwoju Przemysłu SA poprzez spółkę ARP Leasing oferuje finansowanie maszyn czy linii technologicznych w formie leasingu typu asset finance

Firmy z sektora małych i średnich przedsiębiorstw potrzebują kompleksowego wsparcia. Agencja Rozwoju Przemysłu w odpowiedzi na te wyzwania stworzyła Centra Obsługi Przedsiębiorców. Pierwsze zostało otwarte we Wrocławiu, kolejne w Katowicach i Gdyni, ich celem jest ułatwienie przedsiębiorcom dostępu do finansowania. Ale specjalna oferta pożyczkowa dla MŚP to nie wszystko – następnym krokiem jest powołanie spółki celowej ARP Leasing sp. z.o.o.

Oferta ARP Leasing dostosowana do potrzeb przedsiębiorców

Zadaniem ARP Leasing jest oferowanie przedsiębiorstwom leasingu typu asset finance dotyczącego maszyn, sprzętu do produkcji przemysłowej i innych urządzeń.

Oferta ARP Leasing to wiele zalet dla przedsiębiorców. Leasing pozwoli rozwijającym się polskim firmom na zakup środków trwałych praktycznie bez naruszenia środków własnych. Umowa leasingowa zawarta na czas określony daje też szansę firmom na dokładne określenie założeń gospodarowania środkami trwałymi oraz wspiera procesy planowania finansowego. Okres umowy i opłat będzie przy tym optymalnie dostosowany do indywidualnych potrzeb klienta i jego możliwości spłaty rat leasingowych.

– Dzięki współpracy z ARP Leasing polscy przedsiębiorcy będą mogli w krótkim czasie podnieść swą konkurencyjność, uzyskać dostęp do nowych technologii oraz zdobyć elastyczne źródło finansowania majątku trwałego. Leasing maszyn pozwoli im także na zmaksymalizowanie efektywności zarządzania kosztami, a tym samym bardziej dynamiczny rozwój – podkreśla Wojciech Miedziński, prezes ARP Leasing sp. z.o.o.

Zgodnie z założeniami okres umowy leasingu będzie wynosić maksymalnie pięć lat. Minimalna opłata wstępna to 10 proc. wartości przedmiotu leasingu, a minimalna wartość jego wykupu (po pięciu latach) – 1 proc. wartości.

O korzyściach dla firm płynących z leasingu dyskutować będą uczestnicy debaty „Leasing szansą rozwoju małych i średnich przedsiębiorstw", która odbędzie się 25 czerwca w Gdyni podczas Forum Wizja Rozwoju. W wydarzeniu wezmą udział m.in. wiceprezes ARP SA Paweł Kolczyński, a także prezes nowo powołanej spółki Wojciech Miedziński, który przedstawi założenia funkcjonowania ARP Leasing.

Leasing coraz bardziej popularny

Dane przedstawiane przez Związek Polskiego Leasingu wskazują, że potrzeby finansowe w zakresie leasingu przemysłowego są duże i w kolejnych latach będą wzrastać.

Według analiz ZPL maszyny i urządzenia to jedna czwarta aktywów, które są przedmiotem leasingu dla polskich firm. Wśród rodzajów maszyn i urządzeń najczęściej leasingowanych przodują maszyny rolnicze. Na leasing takich maszyn polscy przedsiębiorcy wydali w zeszłym roku 5,2 mld zł (stanowiło to zarazem 21,3 proc. wszystkich leasingowanych maszyn i urządzeń). Na leasing sprzętu budowlanego firmy przeznaczyły 3,7 mld zł (14 proc.), na maszyny i urządzenia do obróbki metali zaś 2,2 mld zł (4,8 proc.). Wśród leasingowanych urządzeń znajduje się też sprzęt medyczny, gastronomiczny czy maszyny do produkcji tworzyw sztucznych. Łącznie w 2018 r. polscy przedsiębiorcy przeznaczyli na leasing maszyn i urządzeń ponad 20 mld zł. Wg informacji ZPL polska branża leasingowa dzięki wysokiemu poziomowi finansowania przedsiębiorstw awansowała z siódmego na piąte miejsce w europejskim rankingu. To najwyższa lokata zajmowana przez polską branżę leasingową w historii. Zatem uzasadniony jest przewidywany wzrost popytu na leasing, który w 2022 r. może osiągnąć poziom 24,5 mld zł.

– To wszystko pokazuje, jak ważne jest stworzenie dla polskich przedsiębiorców atrakcyjnej i dostosowanej do ich potrzeb oferty leasingowej. Taki właśnie cel stawia przed sobą ARP Leasing – konkluduje Wojciech Miedziński. ●

Leasing szansą rozwoju małych i średnich przedsiębiorstw

Prezentacja oferty leasingowej ARP Leasing sp. z o.o.
podczas Forum Wizja Rozwoju
25.06.2019, godz. 14.10–15.00
Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni

eprasa.pl 74b7eeeab6



Srebrna gospodarka to złoty biznes

Starzejący się Europejczycy to nie wyłącznie problem, jak do tej pory oceniano, ale przede wszystkim szansa na wzrost gospodarczy dający się przeliczyć na miliardy euro rocznie oraz miliony nowych miejsc pracy

Fot. Shutterstock

GRAŻYNA RASZKOWSKA

Niezamożni, niewymagający, nieznający swoich praw i nieatrakcyjni dla rynku – jeszcze dekadę temu taka charakterystyka w pełni odpowiadała opisowi konsumentów powyżej 50. roku życia. Liczące się marki producenckie, usługodawcy, linie lotnicze, banki czy firmy ubezpieczeniowe nie brały poważnie pod uwagę tej grupy odbiorców. Ale to przeszłość. Dziś rynek dla seniorów to jeden z najbardziej dynamicznie rozwijających się segmentów gospodarki w Europie, który do 2025 r. może rosnąć w tempie 5 proc. rocznie.

Srebrna gospodarka (ang. silver economy) coraz mocniej przyciąga uwagę nie tylko biznesu i przedsiębiorców, lecz także odpowiedzialnych decydentów oraz organizacje społeczne.

Powody są oczywiste: do roku 2060 co trzeci Europejczyk będzie miał ponad 65 lat.

Polska krajem ludzi po sześćdziesiątce

W Polsce odsetek starszych osób także stale rośnie i według danych GUS w połowie XXI w. 30 proc. Polaków będzie miało skończone 65 lat. Ta odległa perspektywa ma jednak już dziś swoje reperkusje w postaci programów społeczno-gospodarczych, których celem jest z jednej strony zapobieganie negatywnym skutkom demograficznym, a z drugiej dostrzeżenie przewag wynikających z tej sytuacji.

Na poziomie rządowym za długofalową politykę senioralną odpowiada Ministerstwo Rodziny Pracy i Polityki Społecznej, a promowanie zatrudniania w starszych grupach wiekowych (45, 50+) jest realizowane na kilka sposobów. Są instrumenty skierowane bezpośrednio do tych osób, m.in. szkolenia, staże, ale też np. pożyczki na własną działalność.

Są także zachęty wspierające pracodawców, którzy decydują się zatrudnić osobę bezrobotną w starszym wieku. Wówczas mogą skorzystać z różnego rodzaju subsydiów, tj. refundacji części wynagrodzenia, refundacji lub zwolnienia z opłacanych składek na ubezpieczenie społeczne albo też ze środków pozwalających utworzyć lub dopasować stanowisko pracy.

Bardzo ważna jest też możliwość łączenia emerytury z pracą. Jeżeli zdrowie na to pozwala, osoby, które osiągnęły minimalny wiek emerytalny (60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn), mogą być nadal aktywne zawodowo, bez żadnych ograniczeń wymiaru etatu czy wysokości dochodów.

Z danych GUS wynika, że w 2018 r. liczba pracujących emerytów wzrosła o 40,6 tys. osób, tj. o 9 proc. w porównaniu z 2017 r. W sumie ok. 494,4 tys. osób w Polsce łączy już pobieranie świadczenia emerytalnego z pracą. Wśród pracujących emerytów, którzy osiągnęli minimalny wiek emerytalny, niemal 2/3 stanowią kobiety (64,6 proc.).

Ciąg dalszy na s. 14

42/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

Jak wybrać partnera do prowadzenia PPK?

Na PPK skorzystają przede wszystkim pracownicy, ale również pracodawcy będą mogli czerpać z tego rozwiązania korzyści

Szeroko dyskutowana i ważna dla każdego z nas ustawa weszła w życie bez fajerwerków. Jej praktyczne zastosowanie zostało bowiem rozłożone na raty, przy czym pierwsze firmy (i to te największe zatrudniające powyżej 250 osób) uruchomią PPK w lipcu 2019 r. Wraz z upływem czasu zainteresowanie zagadnieniami związanymi z PPK będzie jednak rosło, i to zarówno wśród objętych nim pracowników, jak i pracodawców. W styczniu 2020 r. PPK zostaną uruchomione bowiem przez firmy zatrudniające 50–249 osób, w lipcu 2020 r. przez przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej 20 osób, a w styczniu 2021 r. każda firma, która zatrudnia choć jednego pracownika, będzie musiała uruchomić taki program. I nawet jeśli istnieje możliwość nieprzystąpienia do PPK, to system jest tak skonstruowany, że każdy pracodawca stanie w końcu przed koniecznością wyboru partnera, który będzie zarządzał PPK jego pracowników. Na co w takim razie zwrócić uwagę podczas dokonywania wyboru?

Bezpieczeństwo

Ustawa o PPK jasno określa, kto będzie mógł zarządzać środkami zgromadzonymi w ramach PPK. Zgodnie z prawem będą to mogły robić: Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych (TFI), Powszechne Towarzystwa Emerytalne (PTE), Pracownicze Towarzystwa Emerytalne oraz Zakłady Ubezpieczeń. Ponadto instytucje te muszą mieć odpowiedni kapitał zakładowy, fundusz inwestycyjny oparty na modelu cyklu życia w swej ofercie oraz odpowiednie doświadczenie w zarządzaniu funduszami.

Doświadczenia z rynkiem OFE pokazują, że polski ustawodawca potrafił wyznaczyć ramy bezpiecznego działania instytucji zajmujących się oszczędnościami emerytalnymi Polaków. Nie powinniśmy mieć zatem obaw o bezpieczeństwo naszych środków. Jeśli jakiś podmiot zostanie dopuszczony do rynku PPK, to znaczy, że będzie potrafił dotrzymać standardów bezpieczeństwa, tym bardziej że będzie to podlegało kontroli.

Opłaty i koszty dodatkowe

Problemu przy wyborze nie powinny stanowić również opłaty. W przypadku ubezpieczeń czy funduszy inwestycyjnych koszty związane z różnego rodzajami opłatami stanowią czasem czynnik decydujący o atrakcyjności danego narzędzia i powinny być szczególnie brane pod uwagę podczas wyboru instytucji finansowej. Wystarczy wspomnieć głośny przykład polisolokat.

W przypadku PPK ustawodawca wprowadził jednak maksymalne limity opłat, które są znacznie niższe niż przy innych produktach inwestycyjnych. Założono, że dzięki masowości PPK instytucje finansowe będą mogły liczyć na atrakcyjny zysk, a jednocześnie opłaty nie obciążą zbyt mocno przeciętnego uczestnika programu i nie zmniejszą znacząco sum odkładanych na emeryturę.

Niskie limity opłat powodują, że instytucje finansowe raczej nie będą konkurować na tym polu. A jeśli nawet na rynku pojawi się oferta atrakcyjniejsza niż inne, to przy obecnych założeniach nie powinno to mieć znaczącego wpływu na atrakcyjność danej instytucji finansowej. Tym bardziej że liczyć się musi tutaj co innego.

Doświadczenia z funduszami cyklu życia

Środki gromadzone w ramach PPK mają być inwestowane w ramach tzw. funduszy cyklu życia. Wielokrotnie opisywane rozwiązanie polega na prostym założeniu, że im dłuższy okres inwestycyjny, tym większe jest akceptowalne ryzyko inwestycyjne. Oznacza to, że osoby młodsze, które mają jeszcze sporo lat do emerytury, mogą większą część swoich środków inwestować np. w z założenia bardziej ryzykowne akcje, których ceny podlegają większym wahaniom. Im uczestnik programu starszy, a co za tym idzie, im krótszy czas do przejścia na emeryturę, tym więcej środków inwestowanych jest w bezpieczniejsze instrumenty, takie jak np. krótkoterminowe obligacje skarbu państwa fundusze rynku pieniężnego.

Nie oznacza to jednak, że wszystkie podmioty prowadzące PPK będą inwestować tak samo. Fundusze oparte na cyklu życia mogą np. przyjąć inne założenia co do składu portfela oraz podejmować znacząco różne decyzje inwestycyjne. Oznacza to, że wyniki inwestycyjne funduszy cyklu życia mogą się znacząco różnić między sobą. Błędem byłoby zakładanie, że wszyscy będą inwestować tak samo. Dlatego przy wyborze partnera zarządzającego funduszami PPK warto przede wszystkim zwrócić uwagę na doświadczenie z funduszami cyklu życia. Fundusze tego typu są oferowane w Polsce od kilku lat przez niektóre instytucje, w przypadku PKO TFI od ponad sześciu lat. Warto jednak podkreślić, że większość podmiotów, które zostaną dopuszczone do rynku PPK, będzie to doświadczenie dopiero zdobywać. ●

eprasa.pl 74b7eeeab6

Program Dostępność+

Poprawie warunków życia seniorów (a także szerzej osób z niepełnosprawnościami) służy program Dostępność+, jeden z pięciu priorytetowych działań rządu Mateusza Morawieckiego. Wartość inwestycji, które mają się przyczynić do wdrożenia tego wieloletniego programu (zaprojektowany został na lata 2018–2025), ma wynieść ok. 23 mld zł. Za program odpowiada Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju. Pieniądze będą pochodziły z różnych źródeł, którymi są: fundusze europejskie, tzw. fundusze norweskie i EOG, a także publiczne środki krajowe (budżet państwa, środki jednostek samorządu terytorialnego, środki PFRON).

Ten program to także szansa dla polskich przedsiębiorców. Z informacji MIiR wynika, że cztery działania Programu Operacyjnego „Inteligentny Rozwój" (POIR) 2014–2020, największego w Polsce programu finansującego innowacje ze środków europejskich, zostały zaangażowane właśnie w realizację rządowego programu Dostępność+.

Dzięki temu 190 mln zł zostanie przeznaczone na projekty badawcze oraz inwestycyjne służące wprowadzaniu na rynek produktów i rozwiązań dla osób z różnymi ograniczeniami. Projekty już są realizowane. Dla przykładu jedna z firm prowadzi badania nad systemem sztucznej inteligencji wspomagającym osoby z dysfunkcją wzroku. System ma za zadanie obserwować otoczenie, dokonywać analizy obrazu oraz przekazywać informacje użytkownikowi. Pełniąc funkcję inteligentnego asystenta, będzie w stanie np. podać numer nadjeżdżającego autobusu, godziny odjazdów środków komunikacji publicznej, numer pokoju w urzędzie czy nazwę ulicy, po której porusza się użytkownik.

Certyfikacja jest potrzebna

Polscy seniorzy nie są już biedną, wyczekującą nadzwyczajnych promocji i okazji w supermarketach grupą społeczną, którą doceniają wyłącznie firmy oferujące garnki, kołdry czy podejrzane aparaty medyczne, mające ratować przed wszelkimi dolegliwościami. To atrakcyjna, stale powiększająca się grupa konsumentów, o którą warto zabiegać.

Według raportu GUS „Sytuacja gospodarstw domowych w 2017 r." członek „emeryckiego" gospodarstwa domowego dysponuje kwotą 1630 zł miesięcznie, z czego przeważająca większość (87 proc.) pochodzi z emerytury. Dla porównania przeciętny miesięczny dochód rozporządzalny na jedną osobę ogółem w 2018 r. wyniósł 1693 zł.

– Określenie „starzejące się społeczeństwo" staje się nieaktualne, raczej należy mówić o „społeczeństwie osób długo żyjących", bo to bardziej uświadamia nam, z jaką sytuacją społeczno-gospodarczą mamy do czynienia – mówi Marzena Rudnicka, prezes Krajowego Instytutu Gospodarki Senioralnej.

Instytut od kilku lat bacznie obserwuje rynek konsumencki dla seniorów, współdziała pod tym względem z instytucjami publicznymi, w tym z Urzędem Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Przyznaje także rozpoznawalne przez rynek certyfikaty OK Senior, o które zabiegają firmy dostrzegające potencjał srebrnej gospodarki.

W opinii prezes KIGS rynek dla seniorów można podzielić na dwie główne grupy:

– rynek usług bezpośrednio adresowanych do seniorów, a więc np. usługi turystyczne oferowane przez biura podróży czy linie lotnicze, usługi medyczne, rehabilitacyjne, usługi ubezpieczeniowe, ale też np. produkty żywnościowe dla osób starszych czy przystosowane fitness kluby;

– rynek usług rekomendowanych – skierowany jest do biznesu i firm, np. telekomów, producentów oprogramowania, producentów odzieży czy producentów samochodów, którzy mogą część swojej aktywności biznesowej skierować na przystosowanie produktów i usług dla osób w starszym wieku.

> Polscy seniorzy nie są już biedną, wyczekującą promocji i okazji w supermarketach grupą społeczną. To atrakcyjna, stale powiększająca się grupa konsumentów, o którą warto zabiegać

Jako przykład wymienia jeden z polskich telekomów, któremu Krajowy Instytut Gospodarki Senioralnej przyznał, na podstawie szczegółowego audytu, certyfikat jakości OK Senior za usługę „Infolinia Senior". W przypadku tej firmy 15 proc. klientów to osoby w wieku powyżej 70. roku życia.

Ułatwienia w infolinii pozwalają m.in. na krótszy czas oczekiwania na połączenie z doradcą, który w przystępny sposób tłumaczy zawiłości techniczne, trudne do opanowania przez seniora. Innym ułatwieniem jest drukowanie wszystkich pism adresowanych do osób w podeszłym wieku większą czcionką.

Dr hab. Aneta Hryckiewicz-Gontarczyk, profesor ALK, ekspertka w dziedzinie bankowości, podkreśla, że w Polsce banki jeszcze kilka lat temu zupełnie nie dostrzegały starszej wiekowo grupy klientów, nastawiając się prawie wyłącznie na milenialsów, którym masowo oferowały kredyty hipoteczne. Obecnie jednak sytuacja się zmienia, chociaż cały czas w porównaniu z bankami na zachodzie Europy, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, oferta skierowana wyłącznie do starszych osób raczkuje.

– Banki z każdym rokiem będą coraz bardziej dopasowywały swoje usługi do starszych odbiorców – to już nieodwracalny proces – podkreśla prof. Aneta Hryckiewicz-Gontarczyk.

Wygląda więc na to, że budowanie i rozwój przedsięwzięć związanych z potrzebami osób w starszym wieku staje się świetnym pomysłem na biznes i polem do popisu dla rynku finansowego. ●

Tekst w pełnej wersji był wydrukowany w „Gazecie Bankowej" nr 05/2019

43/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

PONAD 12 MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej

od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#RazemDlaSportu | **#RazemDlaKultury**

PONAD 2 MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury

od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl 74b7eeeab6



Polski Holding Nieruchomości wspiera rozwój Gdyni

W dwudziestoleciu międzywojennym Gdynia stała się dla Polski oknem na świat. Wówczas dzięki wysiłkom m.in. takich wizjonerów jak Eugeniusz Kwiatkowski udało się w ekspresowym tempie zbudować port oraz stworzyć polską flotę handlową i rybacką. Dziś Gdynia znów się zmienia. Tym razem za sprawą m.in. Polskiego Holdingu Nieruchomości (PHN)

Na terenach poprzemysłowych powstaje nowa dzielnica Gdyni – Morskie Śródmieście. Obszar usytuowany na styku lądu i wody stanie się tętniącym życiem sercem miasta. Morskie Śródmieście połączy funkcje mieszkaniowe, rekreacyjne i biznesowe. Będzie dla polskiego miasta tym, czym stały się wcześniej zrewitalizowane dzielnice portowe najpiękniejszych, europejskich miast, np. Barcelony czy Hamburga. Morskie Śródmieście będzie się wyróżniało wysokim poziomem architektonicznym i starannością wykonania.

Polski Holding Nieruchomości, wiodący narodowy inwestor na rynku nieruchomości, aktywnie włączył się w przebudowę Gdyni, dokładając wszelkich starań, by ta część miasta miała funkcjonalny i nowoczesny charakter. Po tej prowadzonej na ogromną skalę rewitalizacji dawne tereny przemysłowe, które od wielu lat były niedostępne dla mieszkańców i turystów, znów będą służyć wszystkim.

– Dynamicznie rozwijająca się Gdynia otwiera się na nowe możliwości, które dają miastu tereny poprzemysłowe, położone w bardzo atrakcyjnych miejscach, często bezpośrednio nad Zatoką Gdańską – powiedział Marcin Mazurek, prezes zarządu Polskiego Holdingu Nieruchomości. – Cieszymy się, że możemy być częścią tego przełomowego projektu. Bez wątpienia, teren Morskiego Śródmieścia Gdyni ma szansę stać się nową wizytówką miasta i wielką atrakcją dla mieszkańców i turystów – dodał.

Polski Holding Nieruchomości rewitalizuje tereny Molo Rybackiego, gdzie wznosi sześć pięciokondygnacyjnych budynków z towarzyszącą częścią rekreacyjną oraz handlowo-usługową. Koncepcja urbanistyczno-architektoniczna przewiduje stworzenie kameralnego osiedla Yacht Park, które będzie się składało ze 135 wyjątkowych apartamentów z widokiem na Skwer Kościuszki. Zajmą one obszar ponad 6 tys. mkw. W ramach inwestycji powstała już marina jachtowa – Marina Yacht Park, najnowocześniejsza przystań nad polskim Bałtykiem, która została oficjalnie oddana do użytku pod koniec czerwca tego roku.

W ramach rewitalizacji terenów wokół Molo Rybackiego Polski Holding Nieruchomości jesienią tego roku rozpocznie również budowę nowoczesnego kompleksu Marina Office. Dzięki świetnej lokalizacji przyciągnie on do Gdyni nowych inwestorów i przedsiębiorców. Całkowita powierzchnia wyniesie 27 tys. mkw. Kompleks będzie się składał z trzech niezależnych pięciokondygnacyjnych budynków, otaczających wewnętrzne patio. Projekt będzie w pełni przyjazny środowisku – zakłada uzyskanie certyfikatu BREEAM, potwierdzającego wykonawstwo na najwyższym światowym poziomie. Częścią projektu jest również ogólnodostępny park miejski z wydzielonymi strefami wypoczynku, aktywnego relaksu, a także handlu. Będzie to teren otwarty, podobnie jak inne inwestycje realizowane przez Polski Holding Nieruchomości na terenie Morskiego Śródmieścia. Jego dostępność powinna być w swym założeniu dodatkową i szczególną atrakcją miasta.

– Nasza inwestycja zakłada pełną harmonię między częścią mieszkaniową, usługową i biurową. Dzięki temu dzielnica będzie tętnić energią zarówno w dzień, jak i wieczorami – powiedział Marcin Mazurek, prezes zarządu Polskiego Holdingu Nieruchomości. – Morskie Śródmieście może się stać unikatowym projektem nie tylko na polskim wybrzeżu Bałtyku, lecz na skalę całej w Europy – dodał. ●

11/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

Gazowa opcja nuklearna Rosji wobec Ukrainy



MAREK BUDZISZ

Scenariusz Kremla wydaje się prosty. Odciąć Kijów od gazu, ale też pozbawić go zysków z tranzytu surowca. Ukraińcy będą cierpieć w zimnych mieszkaniach, a zachodni odbiorcy zapłacą wyższe rachunki. Wszystko to ma prowadzić do podważenia zaufania do nowego prezydenta i jego politycznego zaplecza, ale też wywołać falę antyukraińskich nastrojów w Europie

W połowie maja Andriej Kobolew, prezes ukraińskiego Naftohazu, firmy odpowiadającej za tamtejszy system rurociągów, oświadczył, że jego zdaniem rosyjski Gazprom ma techniczne możliwości, aby wywiązać się ze zobowiązań kontraktowych wobec swych zachodnich odbiorców, nawet nie zawierając nowej umowy w sprawie tranzytu gazu przez Ukrainę. Jego zdaniem świadczy o tym sztywne stanowisko negocjacyjne Rosjan, którzy nie spieszą się z rozpoczęciem nowych rund rozmów, oraz znaczący wzrost zapasów, które rosyjski koncern robi w Europie. Rosyjski gigant zgromadził już w swych podziemnych magazynach w Zachodniej Europie dwa razy więcej gazu niźli rok wcześniej i dziś według jego szacunków może dostarczać przez trzy miesiące gaz swym odbiorcom, nawet jeśli ukraiński kurek zostanie zakręcony. Co ciekawe, o podobnym scenariuszu, nazywając go zresztą „gazową opcją nuklearną Rosji", pisał w tym samym czasie na łamach „Forbesa" Paul Gregory, profesor Uniwersytetu w Houston zajmujący się światowymi rynkami energii.

Na czym miałoby to polegać? W największym skrócie rzecz ujmując – Moskwa po prostu nie podpisze nowego kontraktu tranzytowego z Ukrainą, będzie dostarczać do Europy mniej paliwa, a Ukraina na zimę zostanie bez gazu. Nie dość, że nie zarobi pieniędzy na tranzycie, to jeszcze w nieogrzanych domach będą marznąć ludzie. W Europie, która zostanie zmuszona do



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 74b7eeeab6

płacenia wyższych rachunków, podniesie się fala antyukraińskich nastrojów, bo to przez upór Kijowa nie przedłużono umowy, a zatem wzmocnione zostaną głosy opowiadające się za normalizacją stosunków z Rosją.

Anatolij Janowski, rosyjski wiceminister energetyki, powiedział w rozmowie z Agencją RIA Novosti, że Rosja chciałaby przedłużyć umowę, ale nie może. Z jakiego powodu? Po pierwsze, przeszkadza jej niesprawiedliwe, jego zdaniem, postanowienie Sądu Arbitrażowego w Sztokholmie, który nałożył na Gazprom karę w wysokości 2,6 mld dol. na rzecz Naftohazu, a po drugie, jak dodał, Ukraina nie przestrzega norm prawa Unii Europejskiej, które nakazuje organizowanie specjalnych aukcji, nie zaś prowadzenie dwustronnych negocjacji. Zaraz po tych bałamutnych uwagach rosyjski wiceminister mówi wprost: „Rosja, począwszy od 1 stycznia 2020 r., może zakończyć transport gazu przez terytorium Ukrainy". W połowie czerwca w Moskwie przebywał odpowiadający za kwestie energetyczne w Unii Europejskiej komisarz Marosz Szevczowicz. Rozmawiał z nadzorującym rosyjski sektor węglowodorowy ministrem Aleksandrem Novakiem. Stanowisko Rosji jest sztywne. Nie tylko nie chce wieloletniej umowy, czego domagają się w Kijowie, ale również sporne są ilości gazu, jakie miałyby płynąć za pośrednictwem ukraińskich sieci. Kijów chciałby, aby było to minimum 60 mld m sześc., a Rosja jest zdania, że to zbyt dużo. Dodatkowo Rosjanie usztywnili ostatnio swoje stanowisko domagając się, aby Ukraina podpisała wraz z nowym kontraktem tranzytowym porozumienie, które przewidywałoby umorzenie kar nałożonych na Gazprom przez międzynarodowe sądy arbitrażowe w związku z jego monopolistyczna polityką na Ukrainie (idzie o miliardy dolarów). Eksperci oceniają, że w związku z procedurą wyłaniania nowego składu Komisji Europejskiej oraz wyborami na Ukrainie poważne rozmowy w sprawie kontraktu zaczną się dopiero pod koniec października, a może nawet na początku listopada.

Przypomnijmy: już nawet oficjalnie przedstawiciele Gazpromu przyznają, że w związku z obstrukcją Danii pierwotnie planowane oddanie gazociągu Nord Stream 2 do końca br. jest nierealne. Klaus-Dieter Borchardt, wicedyrektor departamentu energii w Komisji Europejskiej, powiedział w kwietniu, że jego zdaniem opóźnienie rosyjskiego gazociągu nie będzie krótkie, może wynieść dwa albo nawet trzy lata. Jest to, jak dodał, „nasz atut", którego będzie można użyć w czasie rozmów z Moskwą w sprawie przedłużenia umów tranzytu gazu przez Ukrainę.


Aleksiej Miller, prezes rosyjskiego Gazpromu

W CO GRA GAZPROM

Wróćmy jednak do rosyjskiej gazowej opcji nuklearnej wobec Ukrainy. Zarówno eksperci w Kijowie, jak i przedstawiciele Gazpromu informują, że już 6 marca koncern został zmuszony do rozpoczęcia cyklicznie powtarzającego się procesu zapełniania swoich podziemnych europejskich magazynów w Europie. Tylko że zazwyczaj robił to wraz z początkiem wiosny, a teraz już do 15 kwietnia zgromadził w zbiornikach 6,4 mld m sześc. Co ciekawe, rosyjski potentat i monopolista sprzedaży gazu za pośrednictwem rur zdaje się tym nie przejmować i wynajmuje coraz więcej magazynów, w których gromadzi zapasy.

W połowie maja kierownictwo Gazpromu zadziwiło rynek jeszcze jednym niekonwencjonalnym posunięciem. Otóż poinformowało publicznie, że będzie rekomendowało walnemu zgromadzeniu akcjonariuszy wypłatę dywidendy o ponad połowę wyższej, niż mówiło o tym jeszcze w kwietniu. O ile pierwotnie na ten cel zamierzano przeznaczyć 246,9 mld rubli (ok. 3,4 mld euro), o tyle teraz kwota ta wzrosła do 393,2 mld rubli (5,4 mld euro). Dmitrij Marinczenko, starszy dyrektor w moskiewskim oddziale agencji Fitch, komentując całą sprawę, twierdzi, że nie pamięta, aby kiedykolwiek miało miejsce podobne posunięcie. „To niespotykane" uzupełnia jego ocenę Andriej Poliszczuk z moskiewskiego Raiffeisenbanku.

Zapowiedzi Gazpromu są tym bardziej zaskakujące, że w poprzednich latach koncern prowadził zupełnie inną politykę, co było zresztą przedmiotem krytyki i ugruntowania opinii, że nie szanuje akcjonariuszy mniejszościowych. Rosyjski gigant gazowy tradycyjnie wypłacał bardzo niewielkie dywidendy, a apetyty rosyjskiego budżetu pokrywane były w inny sposób – w każdym roku uchwalano specjalną ustawę o opodatkowaniu kopalin przeznaczoną tylko dla jednej firmy. Rosyjskie władze, manewrując wysokością tego podatku, wyciągały tyle pieniędzy, ile było im potrzebne. Tym razem postąpiono jednak inaczej. Dlaczego? Oficjalnie koncern tłumaczy, że spowodowały to rekordowe ubiegłoroczne wyniki, ale wiadomo, że firma musi finansować swe gigantyczne inwestycje (w tym roku zamierza wydać na ten cel 1,3 bln rubli, czyli ok. 18 mld dol.). Oczywiście wyjaśnienie tego posunięcia może być prozaiczne: Gazprom będzie musiał pożyczyć pieniądze na rynku albo wręcz planuje nową emisję własnych akcji. W obu tych przypadkach ocieplenie wizerunku, pozbycie się opinii firmy, która nie szanuje akcjonariuszy mniejszościowych, może w tym pomóc. Może też przygotowywać grunt pod działania, które nie zjednają jej sympatii europejskiej opinii publicznej, ale z ekonomicznego punktu widzenia mogą być zabójczo skuteczne. Spowodowanie niedoborów gazu w Europie z pewnością nie spotka się z aplauzem, ale wzrost cen sprzedawanego paliwa może ucieszyć akcjonariuszy rosyjskiego potentata. Te działania koncernu okazały się skuteczne i dziś jego giełdowa wycena jest najwyższa w historii.

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Shutterstock

REWERSU NIE BĘDZIE

I tu wracamy do tranzytu gazu przez Ukrainę. W czasie konferencji prasowej w Pekinie, kiedy rosyjski prezydent informował o tym, że Rosja zaczyna wydawać paszporty dla mieszkańców tzw. republik ludowych w Donbasie, powiedział również coś, co umknęło uwadze międzynarodowej opinii publicznej. Mianowicie zapytany przez dziennikarza o to, jakie tematy i problemy mogłyby się znaleźć na porządku dnia w trakcie jego ewentualnego spotkania z Wołodymyrem Zełenskim, zapytał retorycznie: „To my podpiszemy w końcu to porozumienie tranzytowe czy nie?". Przy okazji w ciekawy sposób uzupełnił tę uwagę, mówiąc, że to raczej Ukrainie powinno zależeć na podpisaniu umowy, bo dziś nie dość, że płaci za gaz dwa razy drożej, niż mogłaby kupować go bezpośrednio od Moskwy, to jeszcze liczy na rewers. Tylko że zdaniem Putina ukraiński rewers to głównie konstrukcja na papierze. Kijów bierze gaz z rury biegnącej przez swoje terytorium, zawierając umowy z firmami z zachodniej Europy. „Jeśli tranzytu nie będzie, to i rewersu nie będzie" – dodał mimochodem rosyjski prezydent.

Z technicznego punktu widzenia można pompować gaz istniejącymi rurociągami z Europy na Ukrainę. Pod jednym warunkiem: jeśli jest on dostępny. W sytuacji zatrzymania tranzytu i kiedy Gazprom, wykorzystując zgromadzone zapasy, będzie mógł jedynie wywiązywać się z kontraktów wieloletnich, dostawy na rynek spotowy, na którym zawierane są krótkoterminowe kontrakty w zależności od potrzeb, mogą zostać znacznie okrojone lub nawet wstrzymane.

Jurij Witrenko, dyrektor wykonawczy ukraińskiego Naftohazu, jest zdania, że jeśli Rosjanie uruchomią wszystkie swoje możliwości, zarówno w zakresie magazynowania gazu w Europie, jak i zwiększając dostawy gazu skroplonego LNG, wykorzystując w tym celu uruchomione niedawno instalacje Jamal LNG oraz zawierając kontrakty typu swap (wymiana ropa za gaz), to do realizacji kontraktów długoterminowych w Europie zabraknie mu 5–10 mld m sześc., ale nie jest to w jego opinii wielkość krytyczna, tym bardziej, że przecież nie mówimy o wstrzymaniu tranzytu przez cały rok. Nawet 2–3 miesięczna przerwa może znacząco poprawić pozycję negocjacyjną Rosjan.

MOŻE BYĆ TYLKO GORZEJ

Może się zatem okazać późną jesienią, a nawet wczesną zimą, że ukraińsko-rosyjskie rozmowy „ostatniej szansy" w sprawie umowy o tranzycie rosyjskiego gazu zakończą się fiaskiem. Ukraińcy chcieli przedłużenia umowy na kolejne 10 lat, ale Gazprom nie był takim scenariuszem zainteresowany, bo nie po to buduje oba potoki – Turecki i Północny, aby przesyłać gaz przez Ukrainę. Co więcej, firma, która zaczęła w tym roku dbać o mniejszościowych akcjonariuszy, nie może się zgodzić na nierealistyczne, a dziś nadal podtrzymywane, oczekiwania Kijowa, aby tranzyt przez terytorium Ukrainy był nie mniejszy niż 40 mld m sześc. Co prawda władze na Ukrainie były zapewniane przez kanclerz Merkel i ministra ds. energii Petera Altmeiera, że tranzyt zostanie utrzymany, ale już dzisiaj widać, że ze starego zaufania Kijowa do pomocy Berlina niewiele zostało, skoro prezydent Zełenski zaproponował, aby do rozmów włączyć też Stany Zjednoczone.

Jednak Ukraina zostanie na zimę bez 10 mld m sześc. gazu, który jest jej niezbędny, oraz przede wszystkim bez dochodów za opłaty tranzytowe. A to w jej przypadku 3 mld dol., czyli 3 proc. PKB. Najbardziej optymistyczne szacunki rządu zapowiadają w przyszłym roku wzrost gospodarczy na poziomie 3,6 proc., a znacznie bardziej sceptyczny Narodowy Bank Ukrainy sądzi, że raczej będzie to 2,9 proc. Utrata dochodów z tranzytu rosyjskiego gazu oznacza więc, że prezydent Zełenski i nowy rząd mierzą się z powrotem recesji do ukraińskiej gospodarki. To tak jakby cały tegoroczny wzrost w jednej chwili wyparował. Ale społeczne, a w związku z tym polityczne konsekwencje tego, co może się wydarzyć, są jeszcze gorsze. Jeśli rynkowe ceny gazu ziemnego w Europie wzrosną i trudniej będzie zawierać kontrakty, to trzeba będzie się liczyć z tym, że za dostarczany gaz przyjdzie płacić więcej, i do tego w gotówce. A jest to na Ukrainie problem poważny. Ceny gazu dla ludności wzrosły tam po 2014 r. dziesięciokrotnie i wszystkie badania opinii publicznej pokazują, że dla Ukraińców ceny gazu stanowią jeden z trzech najważniejszych problemów oraz wyzwań dla nowego prezydenta. Narasta też wielkość nieopłaconych rachunków – od 2014 r. – 5,2 raza.

A Rosja zaczyna grać kartą gazową również w ukraińskiej polityce wewnętrznej. Przed pierwszą turą wyborów prezydenckich do Moskwy udał się lider uznawanej za prorosyjską partii Za Życie Jurij Bojko (to o nim Wołodymyr Zełenski powiedział, że „odbiera polecenia z Moskwy") w towarzystwie oligarchy i przyjaciela Putina Wiktora Medwedczuka. Spotkali się wówczas z premierem Miedwiediewem i prezesem Gazpromu Millerem. W trakcie zaaranżowanej przed kamerami telewizyjnymi rozmowy padły deklaracje, że jeśliby Ukraina zawarła porozumienie gazowe z Rosją, to może liczyć na znaczne, nawet 25-proc., rabaty od dzisiejszej ceny, jaką musi płacić. Propozycja ta została zresztą przez rosyjskie władze ponowiona w trakcie odbywającego się w Petersburgu Forum Ekonomicznego. I znów jej adresatami był duet Bojko–Medwedczuk.

Aleksiej Miller, prezes Gazpromu, powiedział również, że jego firma jest gotowa zbudować konsorcjum, które zainwestuje miliardy dolarów w zdekapitalizowaną sieć gazową Ukrainy. Czyli jest też marchewka, której gwarantem ma być prorosyjska formacja Bojko i Medwedczuka zajmująca w przedwyborczych rankingach drugie miejsce.

Zgodnie z zapowiedziami nowy prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski rozwiązał Radę Najwyższą i wyznaczył termin przyspieszonych wyborów parlamentarnych na 21 lipca. Oznacza to, że kampania wyborcza na Ukrainie przebiegała będzie w warunkach narastającej niepewności co do tranzytu gazu przez Ukrainę. I w każdym z ewentualnych wariantów Moskwa zyskuje. Jeśli umowa nie zostanie podpisana, będzie to pierwsza poważna porażka ekipy nowego prezydenta, a jeśli podpisana na warunkach Moskwy, to wzmocni siły prorosyjskie na Ukrainie.

Autor jest analitykiem zajmującym się Rosją i postsowieckim Wschodem

eprasa.pl 74b7eeeab6

Powiew leśnej wilgoci



Kolejne, nadchodzące lato przynosi informacje o ubytku wody w Polsce. Uwagę przykuwa wysychające Pojezierze Gnieźnieńskie, kurczące się jeziora, zanikające rzeki – to tylko niektóre z wielu przykładów zmian w naszym środowisku. Czy można powstrzymać suszę?

Ostatnio miałem okazję być dwa razy na tej samej, przeznaczonej do zabudowy działce, pierwotnie oazie chaszczy i drzew pomiędzy osiedlami bloków. Za pierwszym razem, pomimo słonecznego przedpołudnia, zarośla były całe w rosie, powietrze rześkie, chłodniejsze niż obok, pomiędzy budynkami, przy stawianiu stóp trzeba było uważać na pełzające wszędzie ślimaki zaroślowe i wstężyki o paskowanych muszlach, korzystające z obfitej wilgoci.

Kilka dni później, po wycięciu drzew, usunięciu krzewów i roślin zielnych, ten sam teren nie miał już ani kropli wilgoci, był wyschnięty i rozpalony, ziemia sprawiała wrażenie twardej i pylistej. Wraz ze zniknięciem zieleni zmienił się mikroklimat i zniknęła woda.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Korzystny wpływ na klimat i wodę – podobnie jak najzwyklejsza nawet osiedlowa zieleń zamiast kostki betonowej – na nieporównywalnie jednak większą skalę wykazuje las.

LAS I KLIMAT

Im większy jest teren leśny, tym bardziej znaczący i wyraźniejszy jest jego wpływ na obieg wody na obszarze kraju. W przypadku gwałtownych deszczów i podczas topnienia śniegu las powstrzymuje ucieczkę wody i dopiero później stopniowo ją oddaje, skutkiem czego rzeki o lesistych dorzeczach odznaczają się wyższym poziomem wód, choć pozostają jednocześnie mniej skłonne do powodzi. Istotna jest pię-

eprasa.pl 74b7eeeab6



Fot. Przemysław Barszcz

Maj w Polsce był bardzo deszczowy, zmagaliśmy się z powodziami. Opady wyparowały z rozgrzanego betonu lub spłynęły do Bałtyku uregulowanymi korytami rzek. Czerwiec przyniósł suszę. Czy nie jest paradoksem zjawisko suszy tuż po ulewach?

trowa budowa lasu, stwarzająca przesyconą wilgocią rzeczywistość, od koron drzew aż po działającą jak gąbka warstwę próchniczną, hamowanie wiatru zmniejszające niekorzystne parowanie itp. Co więcej, las sam generuje opady, zwiększając ich ilość w regionie.

Obecnie zbliżamy się do 30 proc. lesistości Polski. Zgodnie z planem w ciągu kolejnych 20 lat powinniśmy dorzucić jeszcze 3 proc.: 2050 r. = 33 proc. lesistości. Taki jest plan. Jego zrealizowanie nie jest jednak wcale rzeczą oczywistą i wymaga stałej determinacji oraz wielkiego wysiłku. Osiągnięcie tej wartości i kontynuacja zalesień powinny być naszym narodowym priorytetem. Trudno o lepszą inwestycję: odnawialna energia słoneczna gromadzona w pniach, woda, zasoby genowe roślin i zwierząt, naturalne laboratorium biochemiczne – las to hipernowoczesne centrum przyszłości, zawierające więcej odpowiedzi, niż zdążyliśmy zadać pytań. Dlatego 33 proc. lesistości nie powinno być dla Polski wielkością graniczną; potrzebujemy znacznie wyższej.

Las jest ostatecznym, najdoskonalszym stadium naturalnych przekształceń ekosystemu w naszej strefie klimatycznej – zbiorowiska roślinne dążą do tego, by stać się lasem, a realizując swoje przeznaczenie, rozwiązać jednocześnie wiele problemów: z klimatem, bioróżnorodnością, wodą. To trochę tak jak z grawitacją – ona po prostu działa, a my możemy ten fakt próbować zignorować lub wykorzystać.

DUŻA RETENCJA – DUŻE WYZWANIE

Duże zbiorniki gromadzące wodę z pewnością również są jednym z kierunków ochrony zasobów wodnych. Ich realizacja musi być jednak bardzo przemyślana: zapora może zmienić niżej położony odcinek rzeki, niezdolny do zachowania naturalnego charakteru w sytuacji, gdy poziom wody ciągle się zmienia; w skrajnych przypadkach, gdy nadmierne parowanie z powierzchni sztucznego zbiornika powoduje trudności z jego napełnieniem, może dojść do zamienienia rzeki poniżej zapory w ledwo płynący strumyk. Zapora to także przeszkoda, niekiedy nie do przebycia, dla różnorodnego wodnego życia, wędrującego w górę i w dół biegu rzecznego nurtu.

Duża retencja jest więc sprawą wymagającą wielkiej ostrożności.

MAŁA RETENCJA – WIELKI POTENCJAŁ

Osobiście jestem fanem małej retencji. Oczka wodne i stawy, bagienka i mokradła powinny znowu zapełnić nasz krajobraz – nie tylko w lasach, gdzie działania takie są już podejmowane.

Jakiś czas temu szedłem pewną niepozorną ścieżką. Stroma, gliniasta, zwykle po deszczach zamieniała się w błotnistą zjeżdżalnię. Wystarczyło, że ktoś (widać było, że to działanie indywidualne) przekopał skośne, poprzeczne rowki, w które wstawił rodzaj drewnianego korytka, by woda deszczowa nie rozmywała ścieżki, lecz spływała na bok. Każde takie korytko uchodziło do zagłębienia tworzącego rodzaj oczka wodnego; rozwijająca się roślinność sprawiała, że wypełnione wodą zagłębienia nabierały już naturalnego charakteru.

Maj w Polsce był bardzo deszczowy, zmagaliśmy się z powodziami. Opady wyparowały z rozgrzanego betonu lub spłynęły do Bałtyku uregulowanymi korytami rzek. Czerwiec przyniósł suszę. Czy nie jest paradoksem zjawisko suszy tuż po ulewach? Co się stało, że woda zniknęła tak szybko? Z pewnością problem leży w zmianach klimatycznych, ale także coraz bardziej w zaniedbaniach w zarządzaniu wodą.

Wielki potencjał małej retencji tkwi w łatwości jej realizacji. Ale skuteczność tej metody w ochronie wody ujawni się dopiero wtedy, gdy takie działania staną się powszechne. Tak jak powszechne i kontynuowane powinno być zwiększanie lesistości Polski.

eprasa.pl 74b7eeeab6

ALEKSANDRA KLONOWSKA-SZAŁEK*

Gościniec wśród jezior





Opowieść wielotorowa – o ludziach, bez których nie byłoby klimatycznych Mazur i niezwykłej Warmii, a także o tym, czego szukać, by poczuć niepowtarzalną atmosferę tych okolic. Dopełniona praktycznymi informacjami, ale snuta potoczyście. Również w rozdziale podpowiadającym, gdzie dobrze zjeść. Dla przykładu parę fragmentów.

„W okolicy Giżycka i jeziora Jagodne nie wisi żaden billboard z reklamą Barki jako najlepszej restauracji w okolicy. Żadnych tablic dojazdowych. Adres niby precyzyjnie podany, ale aplikacja z mapą głupieje. Jadę więc główną drogą, zawracam, kręcę, a pinezka w nawigacji tańczy w rytm akrobacji drogowych. Po kilku zwrotach akcji w końcu dostrzegam niewielką tabliczkę i z poczuciem satysfakcji z odnalezienia rzadkiego klejnotu parkuję na maleńkim parkingu.

Barka to po prostu barka na jeziorze. Takie same widziałam na rzece w Tajlandii i równie chętnie chodziłam tam jeść. Ta też ma w sobie coś azjatyckiego. Podobną nonszalancję ma w wystroju, który w tych okolicznościach zupełnie się nie liczy. I nie powinien, bo karmią tutaj najlepiej na całych Mazurach i mimo surowego wnętrza i ewidentnego wygwizdowa lądują tu helikoptery z Sopotu i Warszawy, wypełnione zaprzyjaźnionymi z Barką smakoszami".

Niełatwo też trafić do „najlepszej amerykańskiej kuchni na Mazurach", czyli Grilla u Chrisa. Znajduje się on w starej chałupie nad brzegiem jeziora Tałty. Gospodarz wygląda na ekscentryka, ale wprawny poszukiwacz ciekawych historii nie pożałuje zatrzymania się na dłuższą chwilę w wiosce Jora Wielka, by skosztować hamburgera.

Z kolei Oberża pod Psem zawsze pojawia się na szlaku prawdziwych smakoszy. Na drzwiach od 12 lat wisi manifest: „Nie mamy czasu dla ludzi, którzy nie mają czasu", przewrotnie zapisany na torbie z McDonalda. W sezonie trudno tu wepchnąć szpilkę. Każdy chce spróbować słynnej mazurskiej kwaśnicy i kopytek z boczkiem z Kadzidłowa w sercu Puszczy Piskiej.

„W tutejszej kuchni nic nie jest na skróty i każdy talerz trafiający na stół gościa zasługuje na wylizanie. Tak zrobiłam z zaskakującą zupą śledziową. Potem uporczywie podjadałam dziecku kopytka. Podstępnie wyjadłam mężowi pół ciasta śliwkowego, starając się nie wypowiadać na głos słowa „masło" i nie myśleć o tym, że nawet powietrze wokół talerzyka dwukrotnie przekracza moją dobową dawkę kalorii. Finisz z uczuciem szczęścia uczciłam herbatą z prawdziwą kadzidłowską miętą".

Z podobną smakową ekspresją autorka opisuje i inne warte odwiedzenia miejsca. Są wśród nich m.in. gościńce: Głodowo („ludzie przyjeżdżają tu na słynnego sandacza w sosie kaparowym, zupę rakową, frytki z karasia i troć z masłem ziołowym, choć kuchnia »pozarybna« też jest znakomita); Wydminy (w menu świeże: szczupaki, sielawy, sumy, sandacze i liny, ale też kartacze, zupy i dziczyzna, a wszystko przyrządzane zgodnie ze starymi mazurskimi recepturami); Na Wzgórzu (gdzie zamówić można pierogi ze szczupakiem albo truskawkami, wcinać do oporu babkę ziemniaczaną, popić domowym podpiwkiem i lekkim piwem, które robią tu sami, a koniec uczcić sernikiem)".

Szukających pełnego opisu kulinarnych szlaków i ustroni Warmii i Mazur, odsyłam do książki. Serwującej też wiele innych smakowitych wątków.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Autorka książki „Odetchnij od miasta. Warmia i Mazury"*

Placuszki z buraka i koziego sera z dipem limonkowym

Składniki: 2 buraczki, ½ szklanki zielonej soczewicy, jajko od szczęśliwej kury, duża łyżka koziego twarożku, duża łyżka startego koziego sera twardego, sól i pieprz, mąka kukurydziana, limonka, śmietana, olej rzepakowy, miód, sałata i kiełki do podania.

Wykonanie: Do ugotowanej soczewicy dodaję starte surowe buraki, oba sery i jajo, sól i pieprz do smaku. Mieszam widelcem. Ręce posypuję mąką kukurydzianą i lepię niegrube placuszki. Obtaczam delikatnie w mące kukurydzianej i smażę na rozgrzanym oleju rzepakowym. DIP: ocieram skórkę z limonki i wyciskam sok, słodzę odrobiną płynnego miodu i mieszam z gęstą śmietaną. Placuszki podaję na sałacie, posypane kiełkami. Osobno dip limonkowy w miseczce.



eprasa.pl 74b7eeeab6

SŁODKO-SŁONY



Zimno „parzona”

ANNA MONICKA

Maj i czerwiec to dla mnie czas obfitości. Nie tylko dlatego, że wszystko dokoła kwitnie, dojrzewa i owocuje, lecz z bardziej prozaicznego powodu. Mam imieniny i urodziny, więc dostaję prezenty. Czasem naprawdę zaskakujące. Otóż w tym roku hitem jest japońska butla do „parzenia” kawy na zimno. Jaki kształt ma flaszka, każdy z grubsza wie, ta ma wewnątrz bardzo gęsty filtr. Wsypuje się do niego średnio mielone ziarna i zalewa zimną wodą, a urządzenie wstawia do lodówki na minimum 12 godzin. Słowo „parzenie” celowo wzięłam więc w cudzysłów, bo to raczej naciąganie, w którym nie uczestniczą ani wrzątek, ani para wodna. Nastawiona o godz. 19, na 7 następnego dnia będzie gotowa.

Napój jest niezwykły. Wydobywa z kawy to, co delikatne i owocowe, a nie to, co czarne i mocne. Ale jego niezwykłą zaletą jest coś innego – genialnie gasi pragnienie. Można go pić prosto z lodówki, można poczekać, aż złapie temperaturę pokojową, a wtedy dorzucić kulkę z lodu albo z lodów – w wersji deserowej po smacznym obiedzie. Można wreszcie zasypać lodem kruszonym i zrobić kawową granitę.

Cold brew coffee jest bez wątpienia moim odkryciem. Kawa na zimno nigdy wcześniej dobrze mi się nie kojarzyła – była za ciężka, za tłusta, za słodka. Po wypiciu w upały wcale nie czułam się lepiej, bo organizm musiał z mozołem trawić kalorie. Z napojem z macerowanych ziaren jest inaczej – lekki i niskokaloryczny nie obciąża ani nie podrażania żołądka, ani wątroby i od początku to czuć. Ma mniej kofeiny i mnóstwo przeciwutleniaczy, których nie zniszczyło zalanie wrzątkiem.

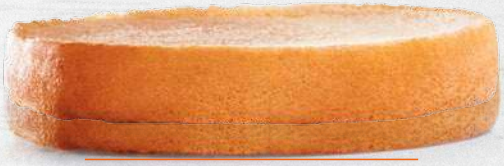
Jakie kawy wybierać? Polecane są afrykańskie, bo mają często cytrusowy lub kwiatowy posmak. Najlepiej jasno lub średnio palone, ale można poeksperymentować z każdą i znaleźć swój ulubiony smak. Bierzemy czubatą łyżkę na 100 ml naparu, więc zużywamy nieco więcej kawy niż podczas tradycyjnego parzenia. Naczynie do maceracji nie musi być hipsterską japońską butelką – to dobra wiadomość. Wystarczy szklany dzbanek (ale zamykany, żeby kawa nie wchłonęła w lodówce innych zapachów, co lubi robić) i porządny filtr, żeby odcedzić fusy.

Fani zimnego parzenia robią w podobny sposób herbatę i zachwalają, że tylko ta metoda wydobywa z listków prawdziwy smak. Jeszcze nie przeprowadziłam tego eksperymentu, ale zachęcona kawą na pewno wkrótce spróbuję. Czeka nas upalne lato, a takie napoje – naturalne, bez sztucznego gazu i cukru – pomogą ten czas przetrwać w dobrej kondycji.

WILCZYM OKIEM



Bułka na szybko



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Fakt 1. Homo sapiens lubi ujarzmiać głód dużą dawką węglowodanów. Fakt 2. Homo sapiens lubi zamieszkiwać w dużych skupiskach, przez tysiąclecia wykształconych w miasta. Z tych dwóch cech wyniknęło ciekawe zjawisko ulicznych, węglowodanowych przekąsek, tak charakterystyczne, że mogłoby się znaleźć w monografii przyrodniczej naszego gatunku w dziale „Pożywienie”.

Są one regionalnie zróżnicowane, jeżeli chodzi o poszczególne części Europy, lecz w istocie takie same. Tworzą swoistą mapę, zaczynając od krakowskiego obwarzanka, poprzez polskie zapiekanki, węgierskie smażone langosze, estońskie pirukas, od których tylko krok do rosyjskich pierożków, aż po grecki gyros i włoską pizzę. Wszędzie konsumuje się w pośpiechu, wypieczony lub wysmażony, nie za wielki, koniecznie mączysty lub ziemniaczany kąsek, często nadziany lub obłożony czymś bogatym w białko lub tłuszcz.

W Danii ze straganu można zjeść pølsera – oryginalnego hot doga. Holandia słynie z kapsalona – frytek zalanych serem. Jeśli mowa o frytkach, to podane z majonezem stanowią chlubę Belgii, a z rybą słynne na cały świat angielskie fish & chips. Niezwykle popularna portugalska bułka w formie kanapki wprost z ulicznego stoiska to bifana, w Hiszpanii znana pod nazwą „bocadillo”; identyczna idea przyświeca czeskiemu chlebičkowi. Pozornie rdzennie turecki kebab, w znanej nam formie jest daniem skrojonym przez Turków pod europejskie bułkowo-mięsne gusta. Osobną grupę stanowią przeróżne wyroby drożdżowe z mięsnym nadzieniem: fińska lihapiirakka czy litewski kybyn o karaimskim rodowodzie.

Ta właśnie namiętność doprowadziła ludzkość, podobno jeszcze w czasach rzymskich, do wynalezienia hamburgera. Prototyp amerykańskiego dania nosi łacińską nazwę isicia omentata, a przepis znaleźć można w dziele „De re culinaria libri deccem” autorstwa Marcusa Gaviusa zwanego Apicjuszem, żyjącego w czasach Chrystusa, choć potrawa jest z pewnością dużo starsza.

Aby zarzucić pszenno-ziemniaczaną europocentryczność, należy przytoczyć kukurydzianą epopeję Ameryki Łacińskiej z wenezuelskimi arepami, brazylijskimi pão czy meksykańskimi tortillami oraz azjatycką ryżową codzienność, która obfituje w japońskie stragany pełne onigiri czy koreańskie kimbapy.

Fot. Shutterstock (x2), Kamila Markiewicz-Lubańska/Fotografka.pl

eprasa.pl 74b7eeeab6

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polski program narodowy



www.wojciechreszczynski.pl

Młodzi ludzie w ruchu narodowym muszą odnaleźć zapomniane idee solidaryzmu narodowego, etos pracy, umiłowania ojczyzny

Jednym z wielkich przegranych wyborów do europarlamentu jest zróżnicowany programowo i słaby organizacyjnie (chyba poza stowarzyszeniem Marsz Niepodległości) polski ruch odwołujący się do idei narodowych. Jego najbardziej medialna część wystartowała pod wspólną nazwą Konfederacja Korwin Braun Liroy Narodowcy. Łącznie uzyskali 621 tys. głosów, czyli 4,55 proc. ogółu głosujących. O 120 tys. głosów więcej niż Kukiz '15, partia o trudnej do wyjaśnienia identyfikacji ideowej, ale wzmocnionej o Mariana Piłkę (5,4 tys. głosów) i Marka Jurka (28 891 głosów). Z kolei na listę nr 10 reprezentowaną przez Prawicowy Komitet Wyborczy „Jedność Narodu" zagłosowało zaledwie 2 tys. osób. Romuald Starosielec zdobył 403 głosy, a Gabriel Janowski 388. Te trzy ugrupowania nie przekroczyły 5-proc. progu wyborczego. Nic nie zyskały.

Tymczasem aż 826 tys. głosów zdobył Robert Biedroń na czele powołanej tuż przed wyborami partii Wiosna i, obok PiS i Koalicji Europejskiej, z poparciem 6 proc. zdobył trzy mandaty do europarlamentu.

Ciekawią indywidualne wyniki liderów Konfederacji. Robert Winnicki w okręgu nr 3 (warmińsko-mazurskie) zdobył 26 tys. głosów, Krzysztof Bosak (Warszawa i okolice) – 40 tys. Marek Jakubiak uzyskał zaledwie 16 tys. głosów. Znany w prawicowych gremiach pisarz i erudyta dr Stanisław Krajski zebrał tylko 3,6 tys. głosów. Wynik dobry, jak się go zestawi z dwukrotnie mniejszym Anny Grodzkiej (Krzysztof Bęgowski) i całkiem zły w porównaniu z głosami oddanymi na Roberta Biedronia – 96 tys.

Kaja Godek, wyrazista liderka ruchów pro-life, zdobyła 16 tys. głosów. Nie porwał wyborców Piotr Marzec (Liroy), uzyskując 40 tys. głosów, ani Grzegorz Braun startujący w bastionie polskiej prawicy na Podkarpaciu, zdobywając 33 tys. głosów, także Jacek Wilk (Katowice) z 34 tys. głosów. Zawiodła rodzinna spółdzielnia wyborcza „Korwin-Mikke". Dominika Maria, Jacek Baltazar, Anna oraz głowa rodziny Janusz Korwin-Mikke zdobyli łącznie 41 tys. głosów.

Dziś na czoło Konfederacji wybija się wiceprezes partii Wolność Konrad Berkowicz, od lat związany z Korwin-Mikkem, kandydujący z okręgu małopolsko-świętokrzyskiego. Zdobył najwięcej, bo ponad 50 tys. głosów. Niestety ten wykształcony młody człowiek, bywały w świecie, skompromitował się, trzymając nad głową wiceminister sportu Anny Krupki, jego konkurentki w wyborach, jarmułkę, zwaną też popularnie mycką. Mentalnie jest zatem blisko Sławomira Nitrasa z PO, a już na pewno swojego guru Janusza Korwin-Mikkego.

Wbrew przedwyborczym sondażom, które sygnalizowały przekroczenie progu wyborczego, polska prawica reprezentowana przez wspomniane partie i ugrupowania poniosła klęskę. Nic nie dała błędna strategia tej formacji polegająca na częstszej krytyce PiS, a rzadszej i łagodniejszej w stosunku PO. Nie sprawdziło się, jako z gruntu fałszywe, popularyzowane przez lata hasło „PiS, PO – samo zło". Wyborcy PiS wiedzieli, dlaczego nie głosują na Platformę. Z tych samych powodów co sympatycy ruchu narodowego skandujący: „Byłeś w ZOMO, byłeś w ORMO, teraz jesteś za Platformą". PiS wygrało wybory głosami prawie 6,2 mln wyborców, zyskując o ponad milion głosów więcej niż PO i aż o 5,5 mln głosów więcej niż Konfederacja. Tak, ale to efekt trudnej, ponad 30-letniej pracy lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego, jego najbliższych współpracowników i Polaków, którzy im zaufali.

Polska prawica narodowa musi ciężko pracować, jeżeli chce wejść jesienią tego roku do parlamentu. Winna krytycznie, czyli uczciwie, docenić służące polskiemu narodowi czteroletnie reformy zwycięskiej partii i – na ile to możliwe – wesprzeć PiS w przyszłym parlamencie. Równocześnie konieczne jest powstrzymanie ekspansji kolejnego ideologicznego potworka, wiadomego pochodzenia, jak kiedyś Ruchu Palikota, czyli partii Wiosna, która dąży do zniszczenia naszej kultury, kontynuując marksizm kulturowy. To tam są właśnie „współcześni bolszewicy", jak powiedział w kontekście PiS Donald Tusk. Polska potrzebuje dziś działania i jeszcze większej oddolnej aktywności. Potrzebuje ludzi mądrych i roztropnych. Wywiady udzielane rosyjskim mediom nie służą temu. Tak jak gloryfikowanie liderów ruchu narodowego w Europie, którzy służyli Hitlerowi.

Młodzi ludzie w ruchu narodowym muszą odnaleźć zapomniane idee solidaryzmu narodowego, etos pracy, umiłowania ojczyzny i szacunku dla naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej, w tym docenienie niezmiernie ważnej roli Kościoła katolickiego. Ale też ideę pomocy tym, którzy jej najbardziej potrzebują. A wtedy ludzie sami wskażą swoich liderów.

61/0319/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

TY MASZ DOM, A ONI?

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały jest powrót wielu osób i rodzin oraz odbudowa domów w Dolinie Niniwy” – kard. Pietro Parolin – Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba również Twojej pomocy.

I Ty możesz się włączyć w BUDOWĘ DOMÓW

w Dolinie Niniwy, w dwóch miastach Iraku: BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów
Tytuł przelewu: Akcja DOM
Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602 7608 3791

Archiwum ks. Mariusza Boguszewskiego/PKWP

Więcej informacji na:
www.fundacja.niedziela.pl

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

maika MŁODZIEŻOWA AGENCJA INFORMACYJNA

eprasa.pl 74b7eeeab6

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Kto cię posiada?



Witold Gadowski

Kiedy nie umiesz czegoś zrozumieć albo nie chce ci się dociekać tego, jak wyglądają coraz wyżej idące powiązania, wówczas ucinasz wszystko jednym żelaznym stwierdzeniem: „spiskowa teoria". To musi wystarczyć za wszelkie wytłumaczenie.

Są jednak ludzie, których nie zadowala powierzchowne odkrywanie kołdry rzeczywistości. Jednym z takich właśnie szperaczy i poszukiwaczy krzywego w równym jest wrocławski przedsiębiorca Józef Białek. Od dawna się odgrażał, że pracuje nad czymś wyjątkowym i wreszcie wpadł mi w dłonie przedpremierowy egzemplarz jego nowej książki „Czas niewolników". Prowadzone przez niego wydawnictwo Wektory publikuje wiele intrygujących książek, przeważnie z dziedziny dociekań ekonomicznych i teorii porządkujących widzenie świata.

Z samym Białkiem można się zgadzać lub nie, nie sposób jednak odmówić mu uporu w dążeniu do odkrywania tajnych powiązań, które w różny sposób wpływają na nasze życie. „Czas niewolników" jest bezlitośnie logiczny i spójny. Wszyscy jesteśmy niewolnikami banków! – pisze autor i podaje cały zestaw przykładów pokazujących, do czego w konsekwencji może przywieść bankowa niewola. To jednak tylko początek rozważania, dalej jest coraz bardziej szokująco. Białek – na podstawie wielu źródeł i dokumentów – dowodzi, że system bankowy w istocie jest własnością ograniczonego kręgu osób „z cienia". Te same nazwiska przewijają się we wszelkich firmach, które posiadają „złote akcje" w wielu największych korporacjach świata. Białek wymienia wielką czwórkę największych posiadaczy: to firmy Black Rock, Vanguard, State Street i Fidelity. Plątanina łączących je powiązań i personalnych zależności tylko z pozoru jest skomplikowana. W efekcie prawie w każdej z nich odnajdziemy decydujące udziały rodzin Rothschildów, Rockefelerów i Warburgów.

Jestem niespełna rozumu? Wyznaje chore teorie mówiące o istnieniu jakiegoś światowego rządu? A może to wy, wieczni rezonatorzy, czerpiący swoją wiedzę o świecie z przekazów głównych telewizji, nie macie pojęcia o tym, kto was po prostu posiada?

Świat się na tyle zglobalizował, że mając np. zaawansowaną platformę cyfrowego „myślenia" o nazwie „Aladdin", naprawdę możemy opanować ruchy inwestycji, pieniądza i – co nie daj Panie Boże – także naszych osobistych fal mózgowych. Mając takie narzędzie, łatwo i w sposób zupełnie nieinwazyjny narzuca się swoją wolę i pomysły innym. A więc może ten Białek wcale nie jest takim oryginałem, na jakiego się zapowiadał?

Wystarczy przestrzegać prawa



Lech Makowiecki

Zupełnie niezrozumiały jest dla mnie ostatni wysyp nieobyczajnych zachowań, które kłócą się z obowiązującym w Polsce prawem. Wszystkie te incydenty można bardzo łatwo ukrócić: wystarczy rygorystycznie stosować istniejące już przepisy prawa, a uniknie się gorszących sytuacji i skandalizujących burd.

Znikłyby natychmiast próby forsowania w polskich szkołach „tęczowych" piątków. Nieuchronna kara za deprawowanie dzieci przez przemycanie kryptopedofilii do programów nauczania odstraszyłaby skutecznie erotycznych „edukatorów". Nikt nie odważyłby się organizować wyuzdanych tzw. Marszów Równości (vide: „waginalna" parodia procesji Bożego Ciała), bo obrażanie uczuć katolickiej większości społeczeństwa i nieobyczajne zachowanie w miejscu publicznym podpadają pod Kodeks karny. Małżeństwo – zapisane w konstytucji jako związek kobiety i mężczyzny – nie mogłoby być kwestionowane i atakowane przez homoseksualne lobby, bo łamanie przepisów tejże konstytucji ścigane jest z urzędu. W świetle obowiązujących przepisów adopcja dzieci przez gejowskie czy lesbijskie pary nie ma racji bytu. Kuriozalne podżeganie do obalania (siłą!) legalnie wybranego rządu (pucz, „wyłączenie państwa z pomocą ulicy i zagranicy") jest czynem przestępczym i zdradą stanu. Policja i odpowiedzialne za porządek w państwie służby powinny już na starcie spacyfikować ten pełzający zamach stanu, a sprawcy terrorystycznych stricte aktów winni zasiąść na ławie oskarżonych. Itd. Itp.

Tymczasem nasz rząd – zamiast zdecydowanie ukrócić te niezgodne z prawem działania – sprawia wrażenie sparaliżowanego tzw. poprawnością polityczną. Totalna opozycja testuje odporność obywateli na kolejne, coraz bardziej niebezpieczne ekscesy. Bezkarność rozzuchwala, dochodzi już do brutalnych ataków na kościoły i księży. Brak reakcji władz zradykalizować może w końcu stronę atakowaną, ileż to razy nadstawiać można drugi policzek? I wtedy naprawdę poleje się krew...

eprasa.pl 74b7eeeab6

Polska liderem M&A w regionie

Liczba zawieranych transakcji fuzji i przejęć jest jednym z wyznaczników kondycji gospodarki. Z tej przyczyny Grupa Pekao wraz z firmą doradczą Lazard przeprowadziła analizy, których wyniki zawarto w najnowszym raporcie „Nowe otwarcie: Wyzwania polskiego sektora przedsiębiorstw motorem rozwojowym rynku M&A"

Żyjemy w czasach rewolucji przemysłowej 4.0, a polskie firmy mogą być jej beneficjentami. Na ich korzyść przemawia kapitał intelektualny, ale również procesy konsolidacji wielu branż. Rodzime przedsiębiorstwa w najbliższych latach będą przejmowały firmy za granicą nie tylko w regionie, lecz także w Europie Zachodniej. Większa aktywność w zakresie fuzji i przejęć jest zjawiskiem pożądanym i korzystnym dla całej polskiej gospodarki – uważa Michał Krupiński, prezes zarządu Banku Pekao SA.

Już dziś uczestniczymy w tej rewolucji. To właśnie w Polsce zawierana jest co trzecia transakcja M&A naszego regionu. W ostatnich trzech latach było ich ponad 400 o łącznej wartości 22 mld euro. To właśnie polskich podmiotów dotyczyła połowa spośród 30 największych transakcji tego okresu. Jednocześnie łączna wartość polskiego rynku wzrosła o ponad 20 proc. (w porównaniu z latami 2013–2015), mimo że inne kraje regionu odnotowały średnio 10-proc. spadek.

Dziś znaczna część fuzji i przejęć na naszym rynku odbywa się pomiędzy podmiotami z polskim kapitałem lub polskimi korzeniami. Jednak eksperci Pekao twierdzą, że w nieodległej przyszłości polskie firmy będą częściej zarówno podmiotem przejęć, jak i przedsiębiorstwami kupującymi firmy za granicą. Stąd też decyzja Grupy Pekao o zawiązaniu strategicznego sojuszu z jednym z globalnych liderów w doradztwie transakcyjnym, amerykańskim bankiem inwestycyjnym Lazard.

– Oprócz doświadczenia i posiadanych relacji Grupę Pekao wyróżnia też rozpoznawalność na międzynarodowym rynku finansowym. Uważamy, że globalna skala działania Lazard połączona ze znajomością regionu po stronie Pekao pozwoli wygenerować wiele pozytywnych efektów dla obu stron – twierdzi Bozidar Djelic, dyrektor zarządzający odpowiedzialny za Europę Środkowo-Wschodnią w Lazard.

Raport mówi nam, że najbliższe lata polskiego rynku fuzji i przejęć będą się charakteryzować nie tylko rosnącą aktywnością, lecz również coraz większym umiędzynarodowieniem, udziałem zawodowego inwestora w postaci funduszy Private Equity, korzystaniem ze skomplikowanego finansowania, a także z możliwości sukcesji.

W latach 2016–2018 średnia wartość jednej transakcji M&A w Polsce wyniosła 121 mln euro (o 31 proc. więcej niż w 2013–2015). Jednak – jak czytamy w raporcie – Polski rynek charakteryzuje przesunięcie w kierunku mniejszych transakcji (ponad połowa z nich o wartości poniżej 25 mln euro).



4/0319/F

I w regionie, i w Polsce rośnie rola funduszy Private Equity. To na tym rynku zanotowano ok. 30 proc. transakcji M&A. Oczekuje się, że Fundusze PE mogą pełnić funkcję integratorów rozdrobnionych rynków.

– Polska jest kluczowym krajem w regionie Europy Środkowo-Wschodniej w strategii globalnych i regionalnych funduszy Private Equity. To największy rynek w tej części świata, z dużymi firmami oraz „duchem przedsiębiorczości", który charakteryzuje polską transformację. Widzimy rosnące zainteresowanie polskimi firmami wśród funduszy, które są albo dopiero zamierzają być w Polsce. Obserwujemy także zainteresowanie przedsiębiorstwami z regionu Europy Środkowo-Wschodniej wśród tych podmiotów, które mają zespoły transakcyjne w naszym kraju – uważa Maciej Jacenko, prezes Pekao Investment Banking.

Motorem wzrostu polskiego rynku M&A w najbliższych latach może się okazać rozwój segmentu średnich transakcji (tzw. mid-marketu). W ostatnim czasie polskie średnie firmy znacząco rozwinęły swoją działalność, stając się dzięki temu atrakcyjnymi celami przejęć. Jednocześnie sięgają dalej: do roli aktywnego przejmującego w Europie Środkowo-Wschodniej i Zachodniej.

Nadchodzi era poszukiwania wzrostu przychodów i efektywności przedsiębiorstw poprzez zdobywanie nowych rynków zbytu czy konsolidację branżową. To właśnie fuzje i przejęcia mogą być bardzo ważnym czynnikiem sprzyjającym rozwojowi gospodarki.

AR

eprasa.pl 74b7eeeab6

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Prezydent w durszlaku



Aleksander Nalaskowski

Homoseksualna i w ogromnej części wyuzdana tzw. Parada Równości pokazała, że jest taka część społeczeństwa, zwłaszcza jego młodszych generacji, która z braku innych problemów ostentacyjnie zajmuje się własną cielesnością i poszukiwaniem dróg zaspokojenia swoich nienormalnych żądz. Ta parada ociekała śliną i lubrykacją, kleiła się od własnej obleśności, potu i pachniała słabo upraną bielizną.

Jeśli ktoś widział w niej piękno, radość, zabawę i wyraz miłości (jak Trzaskowski, Święcicki czy Piekarska), to znaczy, że jest wart tejże parady.

Tradycyjny seks hetero przestał być atrakcyjny. To zabawa dla frajerów. Bo ileż może facet z dziewczyną. To takie prostackie i do bólu normatywne. Chłopak z chłopakiem to jest coś! A jeszcze lepiej mężczyzna z chłopcem z jakiegoś dworca. To jest dopiero podniecające i inspirujące. W obrazie golizny niewieściej, golizny w filmach, reklamie, na domówkach, a nawet w szkolnych szatniach (tak!) czy na pokazach mody kobieta już nie podnieca albo kręci na krótko. Tak jak dwie–trzy panienki naraz. Za pomocą koki albo ecstasy podlanych piwkiem trzeba się wspinać wyżej. Na wyższe poziomy wtajemniczenia. Taki jak ja nie poda nikomu takiemu ręki, bo nie wie, co on w niej przed chwilą trzymał.

Miarą dostatku i nasycenia społeczeństw dobrami coraz bardziej wydaje się odchodzenie od norm obyczajowych

Obrzydzanie małżeństwa poprzez wołanie o „małżeństwa" homo, relatywizacja macierzyństwa przez chciejstwo adopcji czy ośmieszanie Kościoła to nic innego jak pokazanie, że żadna normalność nie istnieje i należy poważnie rozważyć jej nową wersję, czyli homonormalność. Już w Warszawie ruszył oddział zaciężny do nawracania na tolerancję i równość. Trzaskowski jak onegdaj Konrad Mazowiecki zaprosił najeźdźców, którzy lada moment wymkną mu się spod kontroli. Z Trzaskowskim & Co. nie należy dyskutować. Nimi należy się brzydzić. O ile jeden pederasta, jedna lesba zdeprawuje kilkoro dzieci, o tyle ów prezydent, „godny następca Starzyńskiego", otworzył możliwości dla deprawacji masowej, powszechnej, a przy tym sam się uobleśnił. Bo czy ktoś mógł jeść, patrząc na promowaną przezeń hucpę? Ja nie. Nawet nie próbowałem, bo wiem, czym by się to skończyło. W takich sytuacjach mój kolega z wojska zwykł mówić „do d...y z taką miłością". No i wykrakał. Po latach odnalazł kontekst.

Uświadommy sobie, że nazywanie tego zjawiska LGBT czy gejostwem odbywa się pod dyktando pederastów i lesbijek. Bo brzmi łagodniej, odwraca uwagę od istoty, czyli prymitywnego popędu i obślinionych podkoszulków. To zwykły eufemizm na coś, co ma od dawna swoją nazwę i społeczne restrykcje.

Ta część Warszawy, która przyklaskiwała temu wulgarnemu, chociaż zawoalowanemu, przedsięwzięciu, nie ma prawa chodzić na Powązki powstańcze, nie ma prawa stawać obok Syrenki i tak naprawdę nie jest tego warta, aby stolicę zamieszkiwać. I nie obchodzi mnie Londyn, Paryż czy Berlin, bo to nie moje stolice i nie moja bajka. I tylko niech nikt mi nie wypomina, że jestem pedagogiem i nie powinienem tak pisać, bo na tym polega pedagogika, aby prowadzić ku dobremu. Tacyście tolerancyjni, to wyobraźcie sobie, ale tak realistycznie z dźwiękiem i zapachem, na dużym zoomie, zabawy Biedronia ze Śmiszkiem. Naprawdę tak chcecie? Naprawdę wasz Kewinek, Kamilek, Brajanek, Alanek czy Fido mają tak się właśnie zabawiać? A pamiętacie, skąd i jakim sposobem znaleźli się na świecie?

Miarą dostatku i nasycenia społeczeństw dobrami coraz bardziej wydaje się odchodzenie od norm obyczajowych. Dobry samochód, otwarte granice, przyzwoita praca, poczucie bezpieczeństwa rodzą apetyt na coś więcej, na coś szczególnego, na agresywne atakowanie wszystkiego, co dobrobyt zbudowało. Bo to staje się zbyt nudne i przewidywalne. Majętni biznesmeni w garniturach od Armaniego, pachnący kosmetykami droższymi niż sprawne i niestare auto, sięgają po polowania w Afryce, narkotyki, erotyczne swingowanie, a w końcu po chłopców z Centralnego. Takoż i młodzi ludzie, którym „zgredy" mogą skoczyć, którym szkoła niegroźna, a praw w niej dziesięciokrotnie więcej niż obowiązków, zaczynają się interesować sprawami, którymi moje pokolenie, donoszące kurtki po starszym rodzeństwie i grające sto razy łataną piłką, w ogóle sobie głowy nie zawracało.

Konstruujemy bezbożny świat, aby wszystko było w nim dozwolone. Religię należy poniżyć, nazwać bajką o ufoludkach, a szkołę wziąć na smycz politycznej poprawności, by broń Boże nie próbowała wychowywać inaczej, niż sobie tego młódź życzy. Na rodziców trzeba ukręcić bat w postaci „niebieskiej karty" i już będzie OK. Będzie wszystko dozwolone. Ale co potem, co potem będzie jeszcze do obalenia, poniżenia i podeptania? A swoją drogą to czy obecny prezydent Warszawy nie boi się, że za karę będzie kiedyś trzymał wartę przed siedzibą „Krytyki Politycznej" z durszlakiem na głowie? Gniew ludzki bywa okrutny.

eprasa.pl 74b7eeeab6

PRZEZ ŚWIETLIK

Trzej tenorzy

„Kiedy słyszę słowo »kultura«, odbezpieczam rewolwer" – mówił bohater jednej z nazistowskich sztuk, a potem słowa te przez długie lata przypisywano a to Goebbelsowi, a to Göringowi. Częstszym podejściem jest jednak traktowanie kultury właśnie jako rewolweru, którym można wyeliminować przeciwników politycznych. To właśnie poprzez tę broń, bez względu, czy naszym zdaniem na miano kultury ona zasługuje, czy nie, III RP postanowiła odzyskać swój raj, władzę i pieniądze. Lenin mawiał, że film to najważniejsza ze sztuk. I właśnie dziesiąta muza ma pomóc przywrócić pełnię koryta delikatnie odstawionym świnkom.



Wiktor Świetlik

Ludzie pośmieją się na Vedze, przejdzie ich dreszcz na Smarzowskim, będą dyskutować o Sekielskim. A potem zagłosują po swojemu

Nie da się na polu ekonomii – od trzech lat czytam w krajowej prasie ekonomicznej i na rozlicznych portalach o zbliżającym się wyhamowaniu wzrostu, groźbie szalonej inflacji, wręcz recesji, którą będziemy musieli już wkrótce zapłacić za Morawieckiego. I – jak się okazuje – mamy jedne najlepszych prognoz na świecie. Nie dało się na polu polityki – jakoś dyktatury szalejącej w niemieckich mediach i wypowiedziach pani Thun nie widać. Nie dało się poprzez powymyślane afery – konstrukcje mające dowodzić nieprawości Kaczyńskiego czy Morawieckiego były na tyle złożone, że nawet na postmodernistyczną prozę by się nie nadawały.

No więc sprawę postanowiono rozwiązać na polu emocji, czyli kinematografii, która ponoć w największym stopniu je budzi. Przed wyborami europarlamentarnymi mieliśmy antyklerykalną ofensywę panów Smarzowskiego i Sekielskiego. Efekt był, jaki był. Teraz Patryk Vega stworzy swój film na bazie wykradzionego przez pisowskie służby scenariusza o strasznym PiS, gdzie powtórzy wszystkie sejmowe stereotypy. Smarzowski tym razem nabije elektorat Konfederacji, kręcąc film o Jedwabnem, a Sekielski będzie próbował powiązać SKOK Wołomin z całą strukturą kas spółdzielczych. O tym, że była to wyjątkowa na tym rynku przybudówka wojskowej organizacji tak cenionej przez prezydenta Komorowskiego, zapewne już nie wspomni.

I co? Ludzie pośmieją się na Vedze, przejdzie ich dreszcz na Smarzowskim, będą dyskutować o Sekielskim. A potem zagłosują po swojemu, bo się uodpornili. Truchło wodza rewolucji za sprawą zabiegu balsamowania ponoć jeszcze nadal znajduje się w jakimś tam szczątkowym stanie, ale wiele z jego myśli już nie. Dziś ważniejsze okazują się media społecznościowe, komunikatory internetowe i tym podobne niż to, że jakiś film wzbudzi emocje. Gdyby kino decydowało, to w USA wyborów prezydenckich od 50 lat nie wygrałby żaden republikanin.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia



Sprostowanie

W tygodniku „Sieci" nr 16-17 w dodatku historycznym „Sukcesy XX-lecia międzywojennego" tekst, którego bohaterem był prezes Lewiatana Andrzej Wierzbicki, z przyczyn od nas niezależnych zilustrowaliśmy błędnym zdjęciem.

Fotografię, która miała przedstawiać Andrzeja Wierzbickiego, zaczerpnęliśmy ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Rodzinę pana Wierzbickiego przepraszamy za tę pomyłkę.



Andrzej Wierzbicki

eprasa.pl 74b7eeeab6



Kierunek – cmentarz!

Dzielna Polka, walcząc o prawo do odmowy realizacji niegodziwych procedur medycznych, wygrała proces. Była ona pierwszym lekarzem, który pozwał norweską administrację publiczną

JAN POSPIESZALSKI

Konrad Szymański kilkanaście lat temu, zanim rozpoczął przygodę z polityką, na łamach prasy, w tekście dotyczącym zapaści demograficznej Europy, pytał: „Czy chce nam się żyć?". Dziś to pytanie dotyczy nie tylko postawy Europejczyków, którzy nie rodząc dzieci, nie chcą przedłużać egzystencji swoich rodzin, narodów, gatunku. To pytanie trzeba również postawić, obserwując zmiany, jakie nastepują w prawie i praktyce medycznej.

Właśnie się dowiadujemy, że w warszawskim szpitalu dziecięcym odłączono małego Szymonka od aparatury utrzymującej go przy życiu. Rodzice do końca nie zgadzali się z decyzją lekarzy, znaleźli inną placówkę, która była gotowa walczyć o życie dzieciaczka. Sytuacja przypominała dramat małego Alfiego z Wielkiej Brytanii. Tym razem także zamiast walki o życie wybrano śmierć.

„Eutanazja i wspomagane samobójstwo są porażką nas wszystkich" – powiedział papież Franciszek na wieść o dobrowolnej śmierci 17-latki z Holandii. Dziewczyna, skarżąc się na depresję, nieznośne cierpienie spowodowane gwałtami w dzieciństwie, domagała się prawa do zakończenia życia. Rodzina, pedagodzy, lekarze i administracja publiczna pozwolili jej to żądanie zerealizować. W sytuacji gdy samobójca próbuje skoczyć z wieżowca, wysyła się negocjatorów, psychologów, uruchamia się wszelkie służby ratunkowe. Czy w przypadku nastoletniej samobójczyni wykorzystano wszystkie możliwości? Jaką rolę odegrali psychologowie? Gdzie byli lokalni chrześcijanie, którzy mogli się podzielić z nią Dobrą Nowiną, osobistym doświadczeniem, jak Chrystus zmienił ich życie? Istnieje jakaś ponura prawidłowość, że w sytuacji, gdy są jeszcze szanse, choćby nawet bardzo nikłe, uruchamiane są bezduszne procedury, urzędnicze machiny, anonimowe gremia bioetyków, prawników, lekarzy, następuje bezalternatywne rozstrzygnięcie – śmierć!

O zderzeniu z tą ponurą prawidłowością mówi mieszkająca w Norwegii polska lekarka Katarzyna Jakimowicz, która przez cztery lata prowadziła sądową batalię o prawo do klauzuli sumienia. Dzielna Polka, walcząc o prawo do odmowy realizacji niegodziwych procedur medycznych, w ostatniej instancji, przed Sądem Najwyższym, wygrała proces. Aby zrozumieć skalę zwycięstwa polskiej lekarki, trzeba wiedzieć, że była ona pierwszym lekarzem, który pozwał norweską administrację publiczną. W Norwegii aborcja dopuszczalna jest na życzenie do 12. tygodnia, bez konieczności podawania jakichkolwiek argumentów. Stosowana jest również praktyka selektywnego uśmiercania jednego z dwóch dzieci ciąży bliźniaczej. Lekarz, przy zastosowaniu aparatury USG, igłą wstrzykuje do serca dzieciaczka truciznę. Przykład aborcji selektywnej służy teraz jako pretekst do rozszerzenia ram czasowych dopuszczalności aborcji o kolejne sześć tygodni. Ponieważ bliźniaki nieco wolniej kształtują się w łonie matki, łatwiej dokonać aborcji jednego z dwóch dzieci później, przy nieco bardziej zaawansowanym rozwoju.

Prawidłowość, z jaką najpierw zmieniane są mentalność, klimat społeczny, a potem prawo, nie dotyczy tylko krajów zachodnich. Partia homoseksualistów, która w wyborach do europarlamentu osiągnęła ponad 6 proc. poparcia, ogłasza, że będzie się domagać wprowadzenia w Polsce aborcji na życzenie i zniesienia klauzuli sumienia. Oznacza to, że cywilizacja śmierci w naszym kraju ma swoich zagorzałych zwolenników.

Większy niepokój budzi sprawa prof. Chazana. Odmowa aborcji niepełnosprawnego dziecka przez pięć lat wielokrotnie wracała do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej. Uporczywe przesłuchania, czterokrotne apelacje i nękanie profesora przez sądy izb lekarskich pokazują, że na najwyższych poziomach organizacji zawodowej lekarzy istnieje wpływowe lobby, które domaga się wyboru śmierci, a odmowę aborcji traktuje jako przestępstwo.

Na szczęście sprawa prof. Chazana, ze względu na przedawnienie, zakończyła się umorzeniem. Niemniej jednak pięcioletnie nękanie to wyraźny sygnał dla innych medyków, którzy będą stawali przed wyborem: życie czy śmierć.

Więcej o problemie w „Warto rozmawiać" TVP Info - poniedziałek godz. 20:50.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Mecenas ozdobą imprezy



Jerzy ***Jachowicz***

Życie ciągle jest pełne niespodzianek. Nikt do tej pory nie mógł przewidzieć, że o reputacji powszechnie podziwianego ze względu na dorobek artystyczny wybitnego aktora Kamila D. zdecyduje drobny przyrząd akustyczny. Niestety spór, który oparł się aż o sąd apelacyjny, pogrążył aktora w niesławie. O ironio losu! Zdecydował o tym defekt przyrządu stwierdzony przez biegłych. Wyrokiem sądu aktor został ukarany robotami porządkowymi na Skwerze Lecha Wałęsy przez okres jednego miesiąca, codziennie w godz. 10-16, a więc w okresie największego nasłonecznienia, gdyż zdaniem sądu „kara musi być dokuczliwa". Jak zapowiedział pełnomocnik Kamila D., od wyznaczonych godzin będzie składał wniosek kasacyjny ze względu na panujące w tym roku upały.

Powodem wszczęcia sporu sądowego była impreza w prywatnej willi aktora, na jednym z podwarszawskich osiedli, gdzie hucznie obchodzono rocznicę urodzin uroczej małżonki aktora. Liczne grono wspaniałych gości zaszczyciło swoją obecnością przyjęcie. Byli więc: niedawny wicemarszałek Senatu z małżonką, były prezydent Bronisław Komorowski (bez małżonki), poseł Michał Kamiński, aktorka Sonia Bohosiewicz. Ozdobą przyjęcia był znany mecenas słynący z tego, że od kilku lat bezpłatnie broni polityków PiS w wielu procesach wytaczanych im przez obecną opozycję. Adwokat, wspaniały gawędziarz, o urodzie i wzroście kawalerzysty, zwykle jest duszą towarzystwa. Tak było i tym razem. Nic dziwnego, że beztroskie towarzystwo świetnie się bawiło. I głośno. Czy za głośno? Tak uważali sąsiedzi, którzy ściągnęli na miejsce imprezy policję. Ta wystawiła gospodarzowi mandat za zakłócanie ciszy nocnej. Kamil D. odmówił uiszczenia mandatu, twierdząc, że ma sprzęt mierzący liczbę decybeli, a te nie przekroczyły norm określonych przez prawo. Policja podała więc sprawę do sądu. Sąd zarządził zbadanie przez biegłych sprawności „miernika do pomiaru poziomu hałasu" należącego do aktora. Przyrząd okazał się wadliwy.

Czy Kamil D. nie mógł kupić „miernika" w sklepie państwowym zamiast na pchlim targu?

CO MNIE ZADZIWIA

Stare i nowe wspomnienia



Katarzyna ***Łaniewska***

Wspomnienia odżyły w mojej pamięci po wysłuchaniu książki – albo jak nazywają to w nowoczesnym języku audiobooka – „Pamiętnik inteligenta" Jerzego Rakowieckiego.

Audiobook bardzo mnie wzruszył i przywołał wiele wspomnień. Jerzy Rakowiecki to mój profesor z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Był reżyserem moich poczynań artystycznych w teatrze, współpracowałam z nim w Polskim Radiu. Później był moim opiekunem, wprowadzał mnie w sprawy aktorskie i najwyczajniej pomagał. Pomimo różnicy wieku prawie dziesięciu lat staliśmy się przyjaciółmi. Los Jurka i jego rodzinę – tak jak i mnie oraz wspominaną w jego pamiętniku Małgorzatę Lorentowicz (z czasów Powstania Warszawskiego o pseudonimie Duda) – rzucił do domu w Śródmieściu, pełnego ludzi kultury. Jego syn i moja córka wychowywali się na wspólnym podwórku i na wspólnych wakacjach.

Wiele nas łączyło. Później los ich doświadczył. Choroba Zosi, żony Jurka. Śmierć Małgosi, ich córki, w bardzo młodym wieku. Potem choroba Jurka. Opieka z mojej strony była naturalną rzeczą, którą starałam się ich otoczyć. Mieszkali przez chwilę w Domu Aktora Weterana w Skolimowie, a potem syn zabrał ich do siebie. Zapamiętałam ich również z tego okresu. Był on też trudny dla mnie – widziałam, jak wspaniali ludzie odchodzą w niebyt. Jurka nie zapomnę na pogrzebie jego córki, kiedy stał jak Żona Lota nad grobem. Przypominam sobie też radosne rzeczy – np. ich mały drewniany dom w Wildze. Wiele się dowiedziałam, słuchając audiobooka. O pochodzeniu z majątku, o dzieciństwie w dworku. Wszystko mi się w głowie układało. Historie rodzinne i jego życie, okupacja, podziemne studiowanie i powstanie. Wszystko się splatało. To były opowieści o ludziach, których podziwiałam.

Najciekawsze dla mnie wspomnienia to te, które dotyczą ludzi teatru – Zelwerowicza, Kreczmara czy Bardiniego. Pomyślałam, że wszyscy oni odeszli, a ja z nimi dowcipkowałam, wódkę piłam i chodziliśmy do ZASP. To wszystko są wspomnienia, które powracają. Zapamiętałam ich – byli to wielcy przyjaciele. Może przez tego audiobooka uda mi się zadzierzgnąć na nowo przyjaźń z synem Jurka, który odskrobał jego szpargały. Oby tak było.

eprasa.pl 74b7eeeab6

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Przypadki Konrada M.

Życie pisze scenariusze naprawdę dziwne, a nawet jeszcze dziwniejsze



Ryszard Makowski

Można przeczytać tu i ówdzie, że szef KOD-kapeli Konrad M., skazany na 4,5 roku więzienia za handel ludźmi, a dokładnie sutenerstwo, ukrywa się. Był jednym z głównych oskarżonych w procesie grupy przestępczej. Prokuratura w Krakowie zarzuciła mu, że wykorzystując ciężką sytuację materialną kobiet, oferując im pracę za granicą, sprzedawał je do nocnych klubów w Grecji i we Włoszech. Mnie akurat Konrad M. kojarzy się z Krakowem, ale zupełnie inaczej.

W roku 1986 dostał pierwszą nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej, właśnie w tym historycznym mieście. Pamiętam to tak doskonale, bo grając notabene na jego gitarze, dostałem drugą nagrodę. Był dobrym wykonawcą, ale kariera mu podupadła, gdy redaktorzy Trójki dopatrzyli się, że utwory niby jego autorstwa są identyczne z piosenkami Bruce'a Springsteena. Nasze drogi skrzyżowały się ponownie pod koniec lat 80. Miałem zostać jego cichym wspólnikiem w interesie rozlewania wody mineralnej. Utopiłem tylko parę groszy, a konkretnie dolarów.

Kilka lat temu pojawił się na jakimś przeglądzie związanym z ruchem studenckim. Młoda żona, dostanie życie. Potem objawił się jako zapiewajło KOD-kapeli. Zasłynął też jako człowiek z helikopterem na głowie. Walcząc ostro z PiS, chciał się pewnie wkraść w łaski kasty. Wyrok zmniejszono mu z 6,5 do 4,5 roku. Dziwne jest tylko to, że nie trafia za kratki. Jest cały czas aktywny na FB. Prokurator może go tam zapytać, kiedy się zgłosi do więzienia.

eprasa.pl 74b7eeeab6

***Zawistowski prezentuje:* Powrót**



Wycinki z przeszłości

„Kobieta w Świecie i Domu" w jednym z wiosennych numerów w 1936 r. zapraszała czytelników do zagospodarowywania tarasów. Sprawa aktualna, zatem warto przedrukować ilustrację i fragment artykułu:

„Są takie szczęśliwe mieszkania, które z chwilą nastania dni ciepłych mogą rozszerzyć się przez wyzyskanie balkonów, tarasów lub oszklonych werand. Charakter ich urządzenia musi być zachowany w specjalnym stylu, ani wybitnie ogrodowym, ani przypominającym zimowe wnętrze.

Meble proste i pełne rozmachu z poduszkami z lnianych tkanin, niepłowiejących.

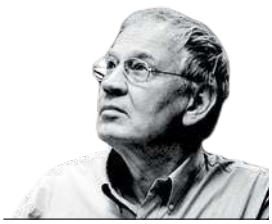
Dużo, dużo roślin.

Na tarasie meble drewniane, nie bojące się wilgoci, jasne i dość jaskrawe na tle szarego, kamiennego obramowania i murów domu.



Serweta na stół o charakterze ogrodowym. Jakiś ładny stołeczek kolorowy z donica glinianą i rośliną, o ładnym kształcie. Nie przeładowujmy letnich zakątków mieszkania. Wygoda i swoboda ruchów". ***(mk)***

Muzyka poranna



Leszek Długosz

Budzę się – a tu już Jan Sebastian
Na koźle czeka
Już sunie kawalkada suity
– Parskają kontrabasy
Sypią się klawesynowe iskry
A przodem flety niczym charty
Rwą na wyścigi
Do tej gospody nad ruczajem
Gdzie karczmarz w progu w pas się kłania
Z zapałem mknie muzyczna zgraja
– Już czeladź biegnie, dudnią stoły
Już cyna brzęczy, miedź już błyska
I po zielonej wnet murawie
Ot chwila patrzeć, słuchać tylko
Rozprysła się, już poszła kołem
Ta menuetów, allemandów
– Geometria tańców zamaszysta...

Górą? Sielanka niewzruszona!
– Cerera, macierz rubensowska
(I jak przystało, wprost z obłoków)
Sypie, w asyście skrzydlatych istot
Girlandy kwiatów i owoców
Obraz cokolwiek nierealny
Za to w konwencji trzyma się dokładnie
Daję słowo – jest biało, złoto
I błękitnie
I nade wszystko barokowo

O wielki, zacny jesteś Janie
I jakże przedni koncept miałeś
Że też to przyszło Ci do głowy
– W rubieże czasów przepaściste
Zapuścić się...
I pod mym oknem wraz z kompanią
Przystanąć dzisiaj z rana?

Przyjmij ten wierszyk, co poprzez wieki
W podzięce rzucam Ci przez lufcik
Imaginacji
– Weź go i przypnij do kamizelki
Albo podaruj tej Dróżniczce
Co na rozstajach fal radiowych
Tak Cię szczęśliwie do mnie skierowała

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 74b7eeeab6

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Styk płyt tektonicznych

Polska od tysiąclecia leży na styku cywilizacji Zachodu i Wschodu. To dla nas przekleństwo i szansa jednocześnie. Przekleństwo oddziałujących na nas niezbieżnych z sobą reguł kulturowych oraz sił politycznych, ale zarazem i szansa twórczej ich rekonfiguracji.

Od naszego społecznego i państwowego zorganizowania oraz roztropnej kreatywności zależy, czy potencjał szans będziemy potrafili wykorzystać, czy bardziej ulegać będziemy przekleństwu geografii.



PRZYSZNUROWANI

Ludzie tęczowi, parady równości, hasła, że możesz być, kim tylko zapragniesz – z niepokojącym impetem zawłaszczają przestrzeń społecznej codzienności. Na okrasę pojawiają się argumenty, że to przecież w imię wolności, tej wartości współcześnie uznawanej przez wielu za najwyższą. Oczywiście to jest jakaś abstrakcyjna wolność, bo gdy tylko spróbujemy doprecyzować, o jaką faktycznie wolność chodzi, okazuje się, że ludzie jako istoty i zwierzęce, i społeczne z natury rzeczy nie mogą być tak całkowicie wolni.

Wolność jest kulturowym konstruktem, ma swoje ramy, swoją filozofię. Dziś środowiska tzw. progresywne, promujące różnorodność i hiperkreatywność, zwalczają wszystko, co kojarzy im się z radykalizmem i opresją. Swą ideologię głoszą tak zapalczywie, że nie zauważają wpadnięcia w pułapkę opresji swych własnych wyobrażeń, nie widzą, że sami są jak przywiązani sznurkami do ram: pewnych stylów życia, jedzenia, zachowania, ubierania się, dbania o siebie, używania określonych gadżetów, form imprezowania etc. Wcale nie są tacy wolni, jak im się zdaje.

ALBO, ALBO

Wybór? Albo będziesz bardziej przysznurowany do swojej wspólnoty, albo bardziej do własnych – złudnie postrzeganych jako wolne – emocji. Kto zaś twoimi emocjami zarządza, jeśli nie czyni tego wspólnota? W naukach społecznych już nie raz na to pytanie odpowiadano, choć zwykle niekonsekwentnie (uczeni to też tylko ułomne istoty ludzkie). Oto spostrzeżenia profesor psychologii Wilhelminy Wosińskiej:

Po wyzwoleniu jednostek i całych grup ludzi spod władzy tradycji, religii, narodu, państwa trwa wyzwalanie spod władzy rodziny

„Przemysł reklamowy rozpoczął swoją karierę przed około 100 laty od prób, od razu skutecznych, skierowanych do dorosłego konsumenta. Jeśli idzie o produkty dla dzieci, to w tamtych czasach rodzice decydowali, jaka zabawka jest dla ich dzieci właściwa oraz jakie ubranka będą »budować« zgodny z rodzicielskimi wyobrażeniami system wartości dziecka. Trwało to parę dziesiątek lat; tak długo, jak długo rodzice mieli więcej do powiedzenia niż ich dzieci. W latach sześćdziesiątych w krajach zachodnich władza rodzicielska zaczęła słabnąć wraz z nasileniem się orientacji na wychowanie dziecka niezależnego, dokonującego własnych wyborów i polegającego na samym sobie. I na takiego odbiorcę-dziecko czekali producenci i zatrudnieni przez nich specjaliści od reklamy".

Po wyzwoleniu jednostek i całych grup ludzi spod władzy tradycji, religii, narodu, państwa trwa wyzwalanie spod władzy rodziny. Ale gdy człowiek – często właśnie jeszcze dziecko – już się od *bliskiej* mu kultury, tradycji, religii i rodziny wyzwoli, nader często staje się łupem *obcych*: wielkich korporacji. Tych samych korporacji, które w latach ostatnich chętnie włączyły się w popieranie różnorodności oraz ruchów LGBT.

PŁEĆ OTWIERA DRZWI PRZYSZŁOŚCI

W 1978 r. kardynał Joseph Ratzinger pisał: „Płeć posiada w dziele stworzenia ten sens, aby otworzyć drzwi przyszłości, aby otworzyć przestrzeń nowemu życiu. W ten sposób płciowość łączy się z duchową odpowiedzialnością i nic nie może człowieka uwolnić od tej odpowiedzialności i związanego z nią trudu".

Z naukowego punktu widzenia – jeśli przyjmiemy dominujące dziś pojmowanie naukowości, które nakazuje uprawianie badań wolnych od wartości – słowa Ratzingera wyrażają przede wszystkim pewien światopogląd. Jako taki nie daje się on naukowo uzasadnić. Nie ma jednak powodów, by naukę absolutyzować, tj. zakładać, iż zdolna jest ona udzielać nam odpowiedzi na wszystkie ważne pytania.

Czy dziś my, Polacy, będziemy potrafili tak zredefiniować styk płyt tektonicznych nauki i religii, by choćby uchylić drzwi ku dobrej przyszłości naszych dzieci?

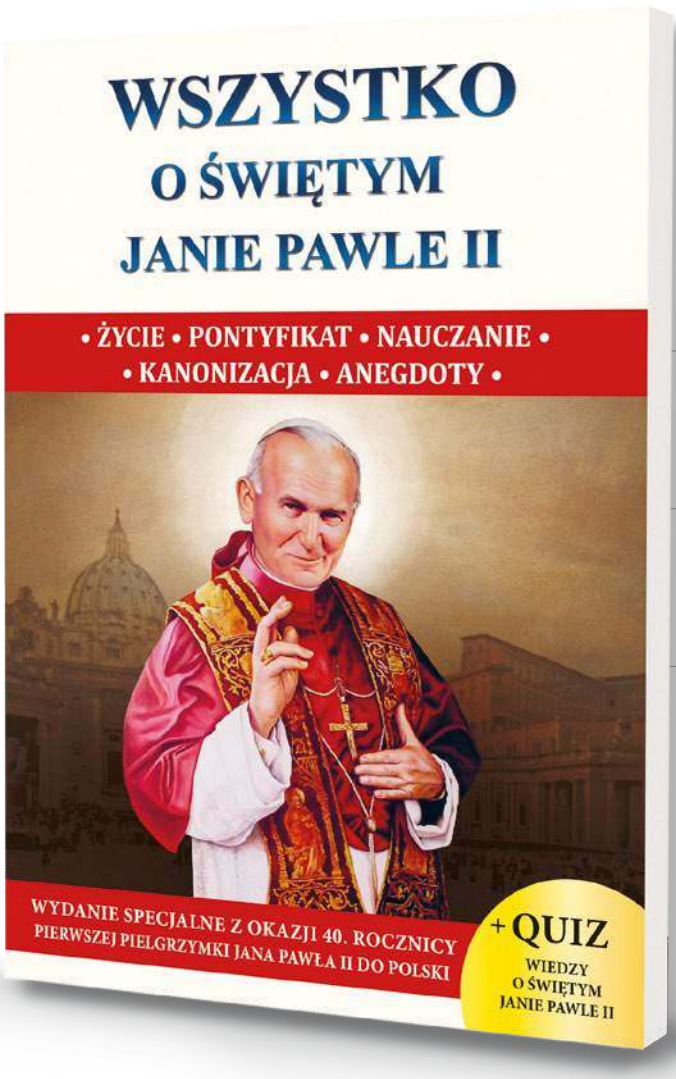
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 6/0619/F

eprasa.pl 74b7eeeab6

Już 1 lipca z tygodnikiem SIECI

wyjątkowa książka



- w 40. rocznicę pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski
- inspirujące cytaty z książek, poezji, homilii i encyklik Papieża Polaka
- piękne, unikatowe zdjęcia Ojca Świętego Jana Pawła II

Partner książki

LOTOS

KUP TYGODNIK Z KSIĄŻKĄ W CENIE 9,90 ZŁ W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY M.IN.:

• Empik • Relay • Inmedio • 1-Minute • Tabak • Świat Prasy • Poczta Polska
Salony Prasowe: • Kolporter • Ruch • Garmond Press

eprasa.pl 74b7eeeab6

WYPŁATA NA LATA



Paweł
jeszcze nie zagrał...

Ekstra Pensja

Tomek wygrał,
bo zainwestował 5 zł!

5000 ZŁ MIESIĘCZNIE PRZEZ 20 LAT

NOWOŚĆ! Ekstra Premia 100 000 ZŁ

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 74b7eeeab6